

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/561

1994



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

R. F. SCHARF: **Z OTCHŁANI**

M. JACKIEWICZ: **TRZY DNI W NOWOGRÓDKU**

R. KACZMAREK: **SOJUSZ ATLANTYCKI PO
UPADKU MURU**

M. DZIEWIĘCKA: **SZANSA DLA POKOJU**

K. WOLICKI: **IDZIE NOWE; A CZY DOJDZIE ?**

SPIS RZECZY

Rafael F. Scharf:	<i>Z otchłani</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Łuk Sprawiedliwości</i>	12
Mieczysław Jackiewicz:	<i>Trzy dni w Nowogródku</i>	18
Elżbieta Szadura:	<i>Święta Góra Grabarka</i>	30
Leszek Dzięgiel:	<i>Świat wrzasku i nudy</i>	33
WIERSZE		
Krzysztof Jeżewski:	<i>Kwartet na kres czasu</i>	39
Adam Lizakowski:	<i>To czego potrzebuję</i>	41
Edwin Muir:	<i>Podróż wstecz</i>	42
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Robert Kaczmarek:	<i>Sojusz Atlantycki po upadku Muru</i>	44
Małgorzata Dziewięcka:	<i>Szansa dla pokoju</i>	55
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Idzie nowe; a czy dojdzie?</i>	62
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	70
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	81
SPRAWY I TROSKI		
Jerzy Boniecki:	<i>Refleksje emigranta</i>	87
Piotr Daszkiewicz:	<i>Dziedzictwo ekologiczne II Rzeczpospolitej</i>	95
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	100
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina po wyborach: Czornowil, Juchnowski, Łanowyj</i>	106
Leszek Szaruga:	<i>Problem niemiecki</i>	112
NOTATKI REDAKTORA		
KRONIKA KULTURALNA		
Andrzej Biernacki:	<i>Szkice do portretu Stanisława Pigonia</i>	121
KSIĄŻKI		
Ludwik Flaszen:	<i>Spotkanie z pustelnikiem</i>	127
M. Broński:	<i>Polska niania</i>	135
M. Broński:	<i>Kłamstwo, fikcja, blaga</i>	137
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	140
WOLNA TRYBUNA		
Piotr Skórzyński:	<i>„Towarzyska szlachta”</i>	141
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kronika australijska i nowozelandzka</i>	149
•		
St. Bóbr-Tylingo, J.G. Görlich, A. Kempfi, S. Zabrowarny:	<i>Listy do Redakcji</i>	154
Nazwisko znane Redakcji:	<i>List na temat Wolnej Europy</i>	157

Warszawa
W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec/Juin 1994

INSTYTUT



LITERACKI

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOSZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego” bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288

Cena F. 145,00

Z otchłani*

Szukaliśmy tytułu na dzisiejszy wieczór poezji pisanej w getcie i w obozach — takiego aby nikogo nie zwiódł, aby wiadomo było o czym będzie mowa, a z drugiej strony — ani nie odstraszył. Wiadomo, większość ludzi — trudno się dziwić — od tych smutnych spraw ucieka. Jedni pytają po co to, dla innych stało się to wszystko bardzo odległe, jak grecka mitologia, ale dla niektórych jest to zaledwie wszechobecne wczoraj.

Tytuł który mi się wpierw nasunął brzmiał: „Z otchłani” — albowiem pod tym tytułem ukazał się, w Warszawie w roku 1944, zbiór wierszy pisanych w getcie i w obozach. Uważam to wydarzenie za całkowicie unikalne w historii literatury.

Wiersze zawarte w tym tomiku zostały przedrukowane i historia ich powstania została opowiedziana po raz pierwszy po wojnie w antologii pod tytułem „Pieśń ujdzie cało...”, zredagowanej w roku 1947 w Krakowie przez Michała Borwiczę, który był moim kolegą z ławy szkolnej w Hebrajskim Gimnazjum w Krakowie, jego prawdziwe nazwisko Maks Boruchowicz.

Boruchowicz znalazł się w czasie wojny w getcie na Janowskiej we Lwowie. Został stamtąd wyprowadzony przez przyjaciół z PPS'u i przetrwał wojnę jako dowódca partyzantki w mieleckim. Nie uchroniło go to od losu emigranta,

* Rafał F. Scharf: „Pieśń ujdzie cało”. Wprowadzenie do wieczoru poezji pisanej w getcie, który odbył się w londyńskim POSKu 1 marca 1994 z inicjatywy ZASPU pod kierownictwem Ireny Delmar. Utwory Władysława Schlegla recytowali: Tessa Ujazdowska, Stefan Gołębiowski, Daniel Woźniak.

wkrótce po wojnie musiał Polskę opuścić i w latach osiemdziesiątych zmarł w Paryżu.

Czytając te wiersze człowiek naraża się na to, że jego wrażliwość literacka tępieje pod ich obuchem. W porównaniu z tym, tradycyjne tworzywo poetyckie wydaje się sztuczne i trywialne. Kochanowski w „Trenach” oplakujący swą Urszulę; Słowacki w „Ojcu Zadżumionych” opisujący śmierć swej rodziny, Ugolino w „Piekle” Dantego wżerający się w czaszkę swego syna; Jeremiasz biadający nad upadkiem Jeruzolimy; Hiob, mąż boleści, wystawiony na szatańską próbę wiary — to są wspaniałe dzieła literatury, ale czymże one są w porównaniu ze stopniową zagładą narodu i prawdziwym cierpieniem na skalę, która jest nie do ogarnięcia?

Gdy prawdziwa dola człowieka objawia się w gettach, w obozach, w fabrykach śmierci, w komorach gazowych — czy literatura, kunsztowne metafory, „przędza myśli i uczuć kwiaty” jak mówił Mickiewicz; literatura która przynosi *katharsis* i pociechę nie zakrawa na jakieś okrutne urąganie? I sam fakt pisania, który jest wyrazem wiary w człowieka, nie przeczy sam sobie? To zapewne miał na myśli Adorno gdy wypowiedział słynne zdanie, że „pisanie poezji po Oświęcimiu jest barbarzyństwem”.

Wiersze pisane w getcie trzeba widzieć w tym kontekście. Osąd oparty o normalne kryteria, estetyczne normy, systemy krytyczne nie wchodzi tutaj w grę. Mierząc je przyjętymi kategoriami wiele z tych wierszy wypadaloby uznać za prymitywne, niedojrzałe, niektóre wręcz złe.

Banalna fraza, że to były wiersze „pisane krwią” nabiera tu świeżego, dosłownego znaczenia. Były one pisane przez ludzi stojących na krawędzi otwartego, masowego grobu, w pośpiechu, nim padnie strzał. One są jak przekaz wydrapany paznokciami na ścianie celi śmierci. Rozpacz dyktuje zdania które są okrutne, oskarżenia które są niesprawiedliwe, przekleństwa na oprawców, na widzów, na świat.

Są to głosy mężczyzn i kobiet poza obrębem prawa — ludzkiego i boskiego. One mówią o cierpieniu, o nadziei i jej utracie, o bezsile i samotności, o samym dnie egzystencji. One świadczą o odwadze, woli do życia w warunkach skrajnej agonii, o śmierci — własnej, swoich najbliższych, tych wszystkich których się kochało.

Były one także wyrazem walki i oporu. Były dowodem człowieczeństwa, na przekór wysiłkom Niemców, by Żydów zredukować do stanu podludzi. Parę ludzkich słów — napisać, albo bodaj ich wysłuchać — to był łyk świeżego powie-

trza, chwilowa ucieczka od rzeczywistości. To był rodzaj zaklęcia, magii co uzdrawia.

Borwicz opisuje moment, gdy w obozie na Janowskiej, który był jednym z bardziej wyrafinowanych miejsc kaźni, jeden z jego towarzyszy na „Apelplacu” jest u kresu wytrzymałości, gotów wyzionąć ducha, i jak on, Borwicz, szepce mu parę linijek wiersza który mu przyszedł do głowy. Ów towarzysz jakoś odżywa, wraca mu chęć i siła przetrwania. Jest takich przykładów wiele. Josif Brodski mówi, że trudniej jest złamać człowieka który czytuje poezję, niż takiego który na nią jest nieczuły.

Drobną ilustrację jak takie wiersze powstawały czerpie znowu ze wspomnień Borwicza. Trzeba pamiętać że za przekroczenie zakazu pisania w obozie groziła śmierć — a pisało się między jednym biciem a drugim, jedną egzekucją a następną.

„Lodowaty styczeń 1943” — pisze Borwicz. „Szesnaście godzin (bez przerwy) na dobę na siarczystym mrozie. Człowiek zamienia się w takich warunkach w sopel lodu. Rąbanie lodu i usuwanie śniegu we Lwowie, tym razem na ul. Zamarynowskiej. Podczas tego zajęcia zaczynają gnębić mnie coraz wyraźniej słowa twórczonego odruchowo wiersza. Uświadomiwszy sobie tę (zrazu instynktowną) czynność, zaczynam — nie przerywając pracy — uściślać i precyzować w myśli poszczególne linie wierszowe. Gdy pierwsza zwrotka była gotowa, pomyślałem o zanotowaniu jej. Odwołując wózek z lodem do kanału, znalazłem na ulicznej stercie śmiecia kartkę brudnego papieru. Zdołałem ołowek, za czym — zastępując biurko śmieciarskim wózkiem — zgrabiła od zimna ręką zanotowałem, w stosownej chwili, gotową zwrotkę. Papier i ołowek powędrowały do kieszeni. Zaczęło się budowanie w myśli następnej strofy”.

Gdzie tu jest jakieś porównanie z procesem „pisania” w normalnym tego słowa znaczeniu?

Pod jednym względem Niemcy nie mieli szczęścia w wyborze ofiary. „Naród Książki” umiał się obchodzić z piórem i wierzył w słowo pisane. Potrzeba utrwalenia wydarzeń na piśmie, pozostawienie śladu po sobie, była przemożna. Obawa, że te wydarzenia, których Żydzi byli świadkami i ofiarą, pozostaną nieznanne, albo będą niewiarygodne, była większa aniżeli troska o własne życie. Chaim Kaplan, w pamiętniku pisanym w getcie, który jest jednym z najbardziej przejmujących dokumentów naszych czasów, pisze w przededniu deportacji do Treblinki: „Jeśli ja zginę, co się stanie z moim dziennikiem?”

W warszawskim getcie, od czerwca 1940 do lipca 1942 ukazało się 56 różnych publikacji — 26 w jidysz, 20 w języku polskim, 10 w hebrajskim. To co się z tego zachowało, dzięki graniczącym z cudem splotom okoliczności, to jest zaledwie cypel lodowca — ale już to samo w sobie czyni ten okres zagłady Żydów najgruntowniej udokumentowanym okresem w historii. Dlatego sądzę, że poglądy tzw. „rewizjonistów”, którzy usiłują zaprzeczać temu co się stało, są irytujące ale nie są niebezpieczne i prawdzie nie zagrażają.

Jednym z najbardziej ponurych i serce rozdzierających obrazów jakie sobie można wyobrazić był widok getta po „akcji” — puste mieszkania z których wywleczono lokatorów, pierze fruwające z poduszek i pierzyn rozprutych w poszukiwaniu skarbów, porzucona odzież, zabawki, łachy, zwłoki tych którzy nie dotrzykali kroku i papiery — pojedyncze kartki albo zeszyty, na klatkach schodowych, na bruku, unoszone wiatrem — pismo, myśli, idee, uczucia stłamszone w pół słowa...

Niewątpliwie najbardziej popularnym poetą piszącym w getcie warszawskim w języku polskim był Władysław Szlengiel, którego nazwiska większość z Państwa na pewno nigdy nie słyszała. Urodzony w 1914, zginął w bunkrze w roku 1943, w czasie powstania w getcie. Przed wojną był to początkujący pisarz, autor piosenek, „szlagierów” w stylu Tuwima, Hemara, Własta, Jurandota czy Refrena („Jadziem Panie Zielonka”, „Dziś panna Andzia ma wychodne” — kto to pamięta?), satyrycznych tekstów, drukowanych od czasu do czasu w *Naszym Przeglądzie*, żydowskiej gazecie warszawskiej w języku polskim, albo — co nadawało specjalną rangę — w *Szpilekach*.

Szlengiel był zamknięty w getcie od jego utworzenia do zniszczenia i tam wyrósł na jego głównego piewę. Jak życie w getcie wyglądało jest nam dobrze znane. Szalał głód, tyfus dziesiątkował ludność tak szybko, że nie nadążano z uprzątnięciem zwłok z rynsztoków. Nikt nie wiedział kiedy go wyrwie ze snu zgiełk „akcji”, czy będzie wywleczony z łóżka, czy wyszedłszy z domu wróci cało.

Co wieczór Szlengiel ukazywał się na scenie w *sui generis* kabarecie, w kawiarni „Sztuka” na Lesznie. On był organizatorem wieczorów, konferansjerem, głównym autorem tekstów. W tych tekstach odbija się historia getta w jego wszystkich aspektach — od nostalgii za utraconym rajem przedwojennej Warszawy, poprzez upokorzenia życia codziennego, ustawiczny lęk, okrucieństwa okupanta, obcowanie ze śmiercią, pragnie-

nie zemsty, bunt. Gdyby nie było innych świadków, innego opisu, moglibyśmy odtworzyć sobie z tych wierszy pełny obraz życia w tych niewiarygodnych warunkach. Wiersze Szlengla wypełnią dzisiejszy wieczór.

Częstym tematem wierszy pisanych w getcie i obozach jest kłótnia z Panem Bogiem. Jest to w tradycji żydowskiej dysputy talmudycznej, gdzie argument pro i kontra jest uświęconym instrumentem dociekania prawdy. Opowiada się, że w getcie w Wilnie, *quorum* rabinów urządziło sąd nad Panem Bogiem i w świetle oczywistej niesprawiedliwości, krzywdy, cierpienia i okrucieństw, które On toleruje, orzekli że Bóg jest winny. Po czym spostrzegli że zbliżył się czas wieczornej modlitwy i poszli zmówić modły.

Izabella Gelbard-Czajka ma „Pieśń o kupcu żelaza Abramie Gepnerze”, zastępcy prezesa Czerniakowa w warszawskim Judenracie, człowieku nieskazitelnego charakteru, który widzi że ten rachunek sprawiedliwości boskiej szwankuje, „saldo wciąż się nie zgadza — bilans nieuczciwy”. Czajka dochodzi do wniosku: „Nie było Boga w getcie — chyba go teraz za to dławi wstyd”.

Józef Bau, w wierszu zatytułowanym „Głód”, modli się:

„...chleba mojego powszedniego
choćby na kredyt
— użyż mi, Panie!
Boże, byłeś Ty głodny kiedy?”

Stefania Ney opowiada o małym chłopcu, Herszku, który prosi Boga by mu pozwolił na bezpieczny powrót z jednej z jego szmuglerskich wypraw: „O Boże, żebym jeszcze dziś wrócił z tej drogi!” — modli się Herszek.

Ale Bóg w czasie wojny ma ważniejsze sprawy
I ciężko porozumieć się z getta do nieba.
Więc kiedyś Herszek poszedł i więcej nie wrócił,
Bo żandarm zabił Herszka, jak niósł kilo chleba.

Henryka Łazowertówna podejmuje temat dzieci-szmuglerów:

...Przez mury, przez dziury, przez cegły
Po nocy, o świcie i w dzień
Zgłodniały, zuchwały, przebiegły
Przesuwam się cicho jak cień.

*A jeśli dłoń losu zniemacka
Dosięgnie mnie kiedyś w tej grze,
To zwykła jest życia zasadzka,
Ty, mammo, nie czekaj już mnie.*

*Nie wrócę już do Ciebie,
Nie dotrże z dala głos.
Uliczny pył pogrzebie
stracony dziecka los.
I tylko jedną troską
Na wargach grymas skrzepł,
Kto Tobie, moja mammo,
przyniesie jutro chleb?*

Nie sposób w ramach krótkiej prelekcji wymienić nawet wszystkich nazwisk autorów, których „pieśń uszła cało...” Halina Nelken, Natan Gross, Henryk Vogler, Henka i Ilona Karmel — jest tu materiału na niejeden taki wieczór.

— Godzi się także wspomnieć tych którzy pisali w owym czasie poza gettem, w ukryciu, na tzw. „aryjskich papierach”. Zuzanna Ginczanka, piękna, czarująca dziewczyna, o wybitnie semickich rysach, ukrywająca się wpięrow we Lwowie, potem w Krakowie, zadenuncjowana, rozstrzelana zimą 1944.

Krzysztof Kamil Baczyński, który walczył w szeregach AK i stał się jednym z czołowych poetów podziemia — po wojnie ciążyła na nim ta akowska przeszłość, a żydowskie pochodzenie było całkowicie przemilczane, choć niektóre z jego najlepszych wierszy można rozszyfrować tylko rozumiejąc ukryte aluzje do losu Żydów.

Stanisław Jerzy Lec (ten od „Myśli Nieuczestnych”) w swych wierszach pisanych w ukryciu pisze o tym wiecznym strachu, że może być zdradzony przez nieopatrne słowo, przez gest, przez towarzysza czy sąsiada, przez własne oczy na których tęczówce wypalony jest obraz zagłady Żydów.

Mieczysław Jastrun, nazwisko rodzinne Agatstein, urodzony w roku 1903, uznany już był przed wojną za wybitnego poetę, w wierszach pisanych w ukryciu — „Godzina Strzeżona” i „Tu także jak w Jeruzalem” daje wyraz swemu osamotnieniu, że wciąż umiera „obcy i sam”.

Sytuacja ludzi na „aryjskich papierach” miała swoją tragiczną specyfikę (moja Matka się tak uchowała). Wielu ludzi, którzy ryzykowali życie i wszystko co mieli, by wydostać się z getta, nie potrafiło znieść tego odwiecznego strachu ściganej zwierzyny i wracało do getta by dzielić do końca los swego ludu.

U poetów piszących w tych warunkach powtarza się nuta goryczy i wyrzutu wobec wrogości czy obojętności otoczenia. Baczyński mówi o „winie przez zaniedbanie”. Ginczanka, w parafrazie Słowackiego, tak kończy swój wiersz „Non omnis moriar”:

*...Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
I zapiją mój pogrzeb i własne bogactwo:
Kilimy i makaty, półmiski, lichtarze —
Niechaj piją noc całą, a o świcie brzasku
Niech zaczną szukać cennych kamieni i złota
W kanapach, materacach, kołdrach i dywanach,
O, jak będzie się palić w rękach im robota,
Kłęby włosia końskiego i morskiego siana,
Chmury prutych poduszek i obłoki pierzyn
Do rąk im przylgną, w skrzydła zmienią ręce obie;
To krew moja pakuły z puchem zlepi świeżym
I uskrzydłonych nagle w aniołów przerobi.*

Jastrun wspomina:

*...nie rzucił nikt dobrej ziemi
na ten masowy grób —
milczeniem pozdrowieni
wolni od zdrady słów!*

*Gdyście ustami jak rany
pragnący wołali wody
Z pociągów odrutowanych
Nikt wody nie podał...*

Ale najbardziej przejmujący głos na ten temat samotności umierania i porachunku z własnym sumieniem pochodzi od samego Miłosza, wpięrow w słynnym „Campo di Fiori” pisany podczas wojny i opublikowanym, w pierwszej wersji, w tym tomiku „Z otchłani” o którym wspominałem, a o wiele lat później we wstrząsającym wierszu „Biedny Chrześcijanin patrzy na getto”. W nietypowym dla niego, surrealistycznym opisie, od którego ciarki przechodzą, Miłosz przedstawia scenę, pod ziemią zburzonego, spalonego getta, gdzie tajemniczy strażnik-kret przedziera się przez zwały trupów:

*...Powoli, drążąc tunel, posuwa się strażnik-kret
Z małą czerwoną latarką przypiętą na czole.*

*Dotyka ciał pogrzebanych, liczy, przedziera się dalej,
Rozróżnia ludzki popiół, po tęczującym oparze,
Popiół każdego człowieka po innej barwie tęczy.*

*Boję się, tak się boję strażnika-kręta.
Jego powieka obrzmiła jak u patriarchy
Który siadywał długo w blasku świec.
Czytając wielką księgę gatunku.*

*Cóż powiem mu, ja, Żyd Nowego Testamentu,
Czekający od dwóch tysięcy lat na powrót Jezusa?
Moje rozbite ciało wyda mnie jego spojrzeniu
I policzy mnie między pomocników śmierci:
Nieobrzezanych.*

Miłosz porusza tu ten bolesny i skomplikowany problem którego nie można przeoczyć i nie wolno przemilczać, problem polsko-żydowskich stosunków, przed wojną i po wojnie, ale nade wszystko w czasie wojny. Trzeba o tych sprawach mówić, z wzajemnym respektem; trzeba mówić prawdę, tak jak ją widzimy — choć ją często widzimy nie tak samo. Nie godzi się nam licytować w cierpieniu, ale trzeba pamiętać że losy Polaków i Żydów pod okupacją były nieporównywalne. Musimy widzieć w sobie nawzajem to, co najlepsze, a nie to, co najgorsze. Musimy wierzyć, że wyrasta nowe pokolenie wolne od wzajemnych przesądów i uprzedzeń. Wydaje mi się, że takie spotkanie jak dzisiaj stanowi dobry omen.

Proszę Państwa, mam dla Was dobrą wiadomość — zbliżam się do końca. Ograniczyłem się do powierzchownego omówienia kilku utworów powstałych w getcie i obozach, to wszystko na co zezwala czas. Temat zagłady Żydów zajmujeoczesne miejsce w literaturze polskiej. Tuwim, Wittlin, Słonimski, Wierzyński, Broniewski, Borowski, Nałkowska, Kamińska, Szymborska, Ficowski, Rudnicki, Wojdowski, Wygodzki, Grynberg — ich utwory zostawiają niezatarty ślad w świadomości współczesnych czytelników i będą pożywką dla czytelników w przyszłości. Nasuwa się pytanie czy to piśmiennictwo które ilustruje głębie, do których człowiek, *homo* zwany *sapiens*, zdolny jest się stoczyć, a także, choć rzadziej, wyżyny do jakich może się wznieść — czy to piśmiennictwo podtrzyma w ludzkości promyk nadziei czy też tylko pogłębi jej cynizm i rozpacz — pytanie na które nikt z nas nie ma odpowiedzi.

Chciałbym zakończyć paru prostymi słowami — nie moimi. Są to słowa dzieci, podchwycone przez kogoś, potem utrwalone na papierze:

„Tato — mówi żydowski chłopiec — jak ja podrosnę, ja chcę być Niemcem”.

Głos dziecka, zasłyszany w obozie śmierci w Bełżcu:

„Mamusiu, ja przecież byłem grzeczny... Ciemno, ciemno...”.

W dzień wyzwolenia, po wyjściu z kryjówki: „Mamo, czy wolno już płakać?”.

I inny jeszcze głos dziecka: „Mamusiu, czy jak nas zabijają, to będzie bolało?”. „Nie, kochanie, tylko chwileczkę....”.

To trwało tylko chwileczkę, ale wystarczy by spędzać nam sen z powiek po wsze czasy.

Rafael F. SCHARF

Łuk Sprawiedliwości

Rynki, targi, moja stara fascynacja. Od wczesnej młodości, a nawet chłopięctwa, widziałem i czułem w nich (rzecz jasna, nie umiając tego dobrze wystłować) cały wielki świat pomniejszony i zredukowany do rozmiarów, dostępnych dla ludzkiego spojrzenia. Być może, pozostało mi to z okresu, gdy jako kilkunastoletni uczeń mieszkałem krótko w moim rodzinnym mieście na stacji, której okno wychodziło na Rynek, duży i codziennie od rana do obiadu zastawiony gęsto straganami i chłopskimi furmankami, a o świcie i po południu używany do ćwiczeń przez wojsko zakwaterowane w koszarach po przeciwnej stronie placu. Sąsiedztwo komend wojskowych i płataniny targowych głosów i krzyków, jednokolorowych kolumn żołnierskich i chaotycznej, barwnej pstrokacizny targowego tłumu, musiało w mojej młodocianej wyobraźni złożyć się na obraz czegoś ograniczonego i zarazem bardzo rozległego. Ten obraz, synonim świata odbitego w odprysku wielkiego lustra, nie zatarł się nigdy w mojej pamięci i towarzyszył mi nieraz w moim późniejszym, dojrzłym życiu.

Wiele potem widziałem Rynków, targów — w Anglii, w Niemczech, we Francji, we Włoszech, w Persji, w Palestynie, w Indiach, w Burmie. Nie były tym co sobie w młodości uroiłem; spełniały gorzej czy lepiej swoje funkcje lokalne, lecz brak im było owego posmaku uniwersalnego, jakim otoczyła je niegdyś moja fantazja. Dopiero tu, w Neapolu, ujrzałem pełniej jeszcze i bogaciej niż za młodu, czym może być *Mercato*.

Piazza del Mercato znajduje się między ulicą portową i główną, antyczną arterią miasta, którą lud — łącząc w jedną ca-

łość równy rząd dawnych zaułków cechowych — nazywa *Spaccanapoli*, linią rozłupującą Neapol. Jest to jakby kręgosłup miasta, z odgiętymi żebrami bocznych zaułków po obu swoich stronach. Jednym z takich bocznych zaułków można dojść na Rynek, jeśli się jest akurat w centrum starego miasta, a nie w okolicach portu.

Zanim na mocy dekretu Karola I Andegaweńskiego puste pole na peryferiach średniowiecznego grodu zostało w roku 1270 wytyczone i otoczone jako obszar przyszłego Rynku, odegrało dwa lata wcześniej, w roku 1268, rolę miejsca kaźni. Taki był początek: tutaj ścięto ostatniego z Hohenstaufów, młodziutkiego księcia Konrada, zwanego Corradino. I nic kaźni nie zanikła, wśród ciągłego przyrostu sklepów i straganów, aż do końca XVIII wieku, dokładnie do roku 1799, gdy na *Piazza del Mercato* powieszono grupę animatorów i przywódców nieudanej (jakobińskiej) Rewolucji Neapolitańskiej. Szubienica zastąpiła więc katowski topór, na jej stopnie wchodzili skazani na śmierć złoczyńcy i mordercy, dla mieszkańców miasta i przyjezdnych wrosła w wygląd Rynku. W epoce toporu Masaniello głową przypłacił krótką rewoltę plebejską: mieszkał i był sprzedawcą ryb na Rynku, stąd kierował rewoltą, na Rynku też, w kościele *Del Carmine*, pojmano go, zabito i martwemu odcięto głowę. Kościół *Del Carmine* ufundowała przybyła z Niemiec matka księcia Corradino, której Karol I nie pozwolił zabrać zwłok syna do dalekiego grobowca rodowego. Nie jest to jedyny kościół na Rynku. Francuscy mnisi wzniesli drugi, *Sant'Eligio*. I dokoła niego krążyć będzie to opowiadanie.

Z biegiem czasu pęczniał targ, przekraczał swoje pierwotne granice, stawał się osobnym światem, takim właśnie jaki oglądałem z okna stacji w moim mieście rodzinnym. Dziwne to, niezbyt może zrozumiałe, ale nie mogę uwolnić się od głównej cechy owej „osobności”, cechy świata wyłączonego i równocześnie zamkniętego w ramach swego odbicia, swego refleksu uniwersalnego. Mój Rynek z lat młodości był placem targu i broni; neapolitański *Mercato* — placem targu i sprawiedliwości. Wszystko jedno jakiej, z małej czy dużej litery, pohańbionej czy wywyższonej, prawdziwej czy opartej na kłamstwie i przemocy, ale sprawiedliwości bez której człowiek czuje się zagubiony; jak czuje się uspokojony, patrząc na ćwiczenia swoich potencjalnych zbrojnych obrońców. Innymi słowy, splot elementów stanowi o głębszej istocie Rynku.

Zbudowany przez francuskich zakonników, kościół andegaweński Świętego Eligiusza rzuca się na Rynku od razu w oczy z dwóch przyczyn: po pierwsze, choć skromny, jest dość ładny; po drugie, połączony jest łukiem z budynkiem naprzeciwko, w którym kiedyś mieścił się szpital. Duży łuk z oknem w górze służył zapewne kiedyś jako pilne przejście z kościoła do szpitala. Pod oknem pół ściany zajmuje *grosse horloge*, nadając łukowi nadzwyczajną lekkość i elegancję. Pod zegarem, po obu stronach, dwa niewielkie medaliony tuż nad wygięciem łuku, w których turysta lub przypadkowy przechodzień mógłby dojrzeć dwie osobliwe ozdoby architektoniczne, gdyby miał dość czasu i ochoty na dłuższą chwilę uwagi, a nie tylko na przelotne przemknięcie wzroku. Jeden medalion obejmuje dwie małe główki z marmuru, wyraźnie męskie. Drugi również dwie główki tych samych rozmiarów, męską i kobiecą. Nikt nie zdołał odcyfrować znaczenia medalionów, a niewątpliwie starają się coś powiedzieć, bo jako zwykłe ornamenty byłyby chyba identyczne — ot naturalny i częsty motyw dekoracyjny.

Łuk nazywany jest po prostu *L'arco di Sant'Eligio* przez tych, którzy odnoszą się nieufnie do wszelkich legend i wierzą jedynie zapisom historycznym. Kto zaś ufa legendom, albo nawet uważa je za ustną historię, ważniejszą w pewnym sensie od historii pisanej i zarejestrowanej w kronikach, ten mówi o „łuku sprawiedliwości wzorowej”, *L'arco della giustizia esemplare*. I w marmurowych główkach dostrzega coś więcej, niż drobiazg zdobniczy budowniczego.

A zatem dla czystych historyków chodzi wyłącznie o legendę. Można ją zapisać, jak zrobił Summonte w *Historia di Napoli*, zaznaczając jednak wyraźnie, że jest legendą a nie faktem historycznym, a tego Summonte nie zrobił, przeciwnie, zwykłą formułą legend „starzy ludzie opowiadają” podniósł do roli źródła historycznego. Zgadzam się z nim, choć naturalnie moja opinia jest dla zawodowych dziejopisów bez znaczenia. Zgadzam się z nim jako pisarz, gdyż wierzę, że formuła „starzy ludzie opowiadają” odtwarza to pasmo przeszłości, które miniony czas czyni wciąż żywym, zwłaszcza jeśli opowiadania starych ludzi przekazywane są z pokolenia na pokolenie. A tak było, w opisywanym tu wypadku legendy o „sprawiedliwości wzorowej”, od początków XVI wieku do końca zeszłego stulecia. Czy legenda przygasła stopniowo, bo powoli umierała również „sprawiedliwość wzorowa”? Tego nie wiem, to jest typ dociekań wymagających specjalnego przygotowania. Dla mnie ważne jest tylko długie, czyli znaczące, trwanie legendy.

Na użytek czytelnika należy jeszcze wspomnieć, przed narracyjną przechadzką pod Łukiem Sprawiedliwości, o moim słynnym poprzedniku Aleksandrze Dumas. W *Corricolo*, książce o Neapolu, w rozdziale zatytułowanym *Ślub na szafocie* porusza ten sam co ja temat. Ale gęsie pióro Dumasa zanadto jest rozpędzone w pogoni za łatwymi efektami literackimi w porównaniu z moim długopisem, który chce tylko oddać sprawiedliwość legendzie i podsycić jej gasnące płomienie.

Starzy ludzie opowiadali w ciągu trzech i pół stuleci, że około roku 1500 młody i dorodny hrabia neapolitański Adriano Caracciolo, właściciel licznych pałaców w mieście i bogaty latyfundysta kalabryjski, odkrył pewnego dnia w swoich włościach dziewczynę (i dziewicę) niezwyklej urody, skromną i pobożną jak jej rodzice, wasale hrabiego zamieszkali w zagrodzie daleko od magnackiego zamku. Nazywała się Patrizia Burrone, wpadła w oko swemu Panu podczas polowania w okolicach zagrody. Starzy ludzie opowiadali, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, bardziej powściągliwi dorzucali z przymrużeniem oka, że owaładnęła nim tylko przelotna pasja, jakich wiele w osobach jego stanu, wieku i feudalnej wszechwładzy. Rodzina Burrone nie była chłopska, stała trochę wyżej na drabinie społecznej, nie łatwo więc było zaspokoić nagłą zachciankę w drodze gwałtu, może nawet w obecności bezsilnych rodziców. Hrabia pragnął spędzić noc z dziewczyną za jej zgodą, choćby wymuszoną. I zabrał się energicznie do dzieła. Oplątał ojca fałszywym oskarżeniem o zabójstwo, domagając się jego córki za uniewinnienie i zwolnienie z więzienia. Warunek został spełniony, starzy ludzie wyrażali to jednym zdaniem: „Patrizia poddała się jego żądom”. Incydent byłby zamknięty, gdyby rodzina przeżywała tragedię w milczeniu, pogodziwszy się z hańbą jagnięcia ofiarnego. Ale ręce opuszczone na chwilę w geście rezygnacji podniosły się niebawem w gwałtownym żądaniu sprawiedliwości. Cała rodzina — ojciec, matka, córka — wyruszyła do Neapolu. Nie jest w legendzie jasne, jak zdołała dotrzeć przed oblicze regentki Izabelli Aragońskiej. Oburzona Izabella upewniła się o prawdziwości skargi, po czym wysłała oddział zbrojnych do Kalabrii z nakazem dostawienia winnego do Neapolu. Udało mu się zbiec i ukryć. Dano mu osiem dni na wyjście z ukrycia. Gdy wyznaczony okres minął, Izabella poleciła burzyć pałac hrabiego w Neapolu. To poskutkowało, winny stawił się na królewskim dworze

przed ukoronowanym sędzią. Na mocy wyroku Izabelli, określanego przez starych ludzi mianem sprawiedliwości wzorowej, hrabia Adriano Caracciolo poślubił w kościele Świętego Eligiusza piękną Patrizię, a prosto od ołtarza przeszedł na szafot ustawiony pod łukiem; małżeństwo było zmyciem hańby wobec ludzi, ścięcie karą za zbrodnię w obliczu Boga i Prawa. Summonte twierdzi, że marmurowe główki nad łukiem „miały upamiętnić akt sprawiedliwości wzorowej”, ale zdaje się temu przeczyć ich dziwny dobór. Oznaczały coś innego; można tylko snuć domysły co.

Zastanawiające, że schemat sprawiedliwości wzorowej (ślub jako rekompensata za obrazę czystości i dziewictwa, egzekucja winnego za zbrodnię gwałtu) powtarzał się kilkakrotnie w następnych stuleciach, i to w formie historycznej bardziej wiarygodnej od legendy wysnutej z ustnych opowiadań. Na dodatek w różnych miejscowościach, odległych od Łuku Sprawiedliwości na *Piazza del Mercato* w Neapolu: w mieście flamandzkim, nad jeziorem Como, w Padwie (z woli księcia Ferrary), w Hiszpanii (z woli Filipa IV). Wdzięczny temat do rozważań: czy przeniknął przykład neapolitański, czy też bez żadnych wpływów zewnętrznych rozpowszechniła się w Europie „sprawiedliwość wzorowa”? Zainteresowanie pisarzy (Szekspir, Lope de Vega) zdawałoby się przemawiać za tym drugim.

Górę jednak bierze wśród badaczy przekonanie, że w grę wchodzi od początku do końca „konstrukcja idealna rygorystycznej sprawiedliwości”, w której kara małżeństwa „reparacyjnego” i kara śmierci za gwałt musiały iść razem, jak w owym harmonijnym łuku opartym na dwóch podstawach.

A jeśli uwierzyć wersji, która raz jeden tylko pojawiła się nieśmiało w opowiadaniach starych ludzi, w legendzie o sprawiedliwości wzorowej, by szybko zniknąć po krótkim życiu? Opowiadano, że w momencie wprowadzenia winnego na szafot, jego nowopoślubiona żona upadła na kolana przed nadzorczą kaźni z okrzykiem „Nie!” i zemdląca. I że hrabia spojrzawszy na nią wtędy z szafotu wzrokiem pełnym miłości. Ta wersja kazała młodej wdowie wstąpić natychmiast po śmierci męża do klasztoru, pozwalając więc podejrzewać, że jedyna noc wymuszonego gwałtu zamieniła się w noc nieklamanej miłości, o czym nie wiedzieli ani rodzice dziewczyny, ani Izabella Aragońska. A gdyby nawet wiedzieli, nie zmieniliby postanowienia, skoro sprawiedliwość wzorowa nie może być połowiczna. Myślę, że ta wersja, choć naprędce odrzucona

przez twórców i kontynuatorów legendy, była prawdopodobna. Więcej — mogłaby najlepiej uzasadnić dwa medaliony na łuku: podwójna marmurowa podobizna zbrodniarza i ściętego skazańca; takąż podobizna rozłączonych toporem katowskim kochanków.

Ale nie powinienem rozpędzać się dla efektu (innego zresztą), jak to w *Corricolo* uczynił Dumas. Gdy zachodzę czasem na *Piazza del Mercato* i obserwuję kupców, kramarzy, nabywców, rozgadanych i krzykliwych w przejściu pod Łukiem Sprawiedliwości, nieświadomych wiekowej już i umarłej pewnie na zawsze legendy, zadaję sobie pytanie, czy pragnienie sprawiedliwości nie jest w człowieku silniejsze od pragnienia wolności, równości i braterstwa.

listopad 1993

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Trzy dni w Nowogródku

W grudniu 1993 roku minęła 195 rocznica urodzin Adama Mickiewicza. Z tej okazji oraz 55-tej rocznicy założenia Muzeum Poety w Nowogródku dyrekcja tego Muzeum zorganizowała w dniach 18-19 grudnia 1993r. konferencję naukową „Mickiewicz wiecznie żywy”, na którą zaproszono też naukowców z Polski.

Wyjeżdżam z Olsztyna do Grodna pociągiem pośpiesznym relacji Gdynia-Grodno. Jest to jeden z najgorszych, najbardziej zaniedbanych pociągów w Polsce. Jedzie do Grodna całą noc. W pierwszym wagonie niewielu pasażerów, bo chłód, jaki tu panuje, odstrasza wszystkich: ludzie szukają ogrzewanych przedziałów. Przechodzę do drugiego wagonu, ale i tu jest chłodno. Konduktor bezradnie rozkłada ręce. Takie wagony wypuszczono z Gdyni. Okazuje się, że na PKP nic się nie zmieniło. Był bałagan za czasów PRL, tak samo jest w III Rzeczypospolitej. Przechodzę do wagonu trzeciego: tutaj jest ciepło, ale i pusto. Jedzie kilku pasażerów, przeważnie są to handlarki z Białorusi.

Do Białegostoku przyjeżdżamy nad ranem. Do pociągu wsiadają „turystki” z ogromnymi torbami. Jadą na jeden dzień. W Grodnie na bazarze sprzedadzą damskie bluzki, później kupią alkohol i papierosy, „bo są znacznie tańsze” i popołudniowym pociągiem przywiozą do Białegostoku, jeśli celnicy nie odbiorą... Kobiety z Białegostoku znają się, rozmawiają o cenach, o sprzedanych przedmiotach, o zarobkach. Wchodzi konduktor, wsuwają mu do dłoni jakieś pieniądze, biletów nie biorą. Niedaleko granica, więc kontroler nie przyjdzie, a konduktor zarobi.

W Kuźnicy Białostockiej pociąg stoi długo i nikt nie wie dlaczego. Polscy celnicy nie przyszli. Podszedł tylko żołnierz-

wopista, który grzecznie wbił do paszportu stempel wyjazdowy. Wreszcie pociąg rusza. Przed nami granica państwa. Nic się tu nie zmieniło: po tamtej stronie zasięki z drutu kolczastego, zaorany i zabronowany „pas ziemi niczyjej”. Wreszcie Białoruś. Pociąg staje i do wagonu wchodzi rosyjscy (a może już białoruscy?) pogranicznicy. Podoficer grzecznie wszedł do przedziału, za nim stał szeregowy. Tym razem nie wyprosił pasażerów na korytarz. A więc coś się zmieniło. Kiedyś pogranicznicy zawsze wyprasali pasażerów na korytarz, w przedziale świecili latarkami, ostukiwali ściany, zaglądali pod siedzenia. Tym razem pogranicznik poprosił o paszport, obejrzał i spokojnie wbił stempel wizy. A więc wjazd na Białoruś wolny. Pociąg przejeżdża Niemen i wkrótce zatrzymuje się na stacji Grodno, przy jednym z peronów. Żołnierze wychodzą, a pasażerowie zostają w przedziałach, cierpliwie na coś czekają. Pytam dlaczego nie wychodzą na peron. Okazuje się, że czekają na białoruskich celników, którzy po sprawdzeniu pakunków pozwolą na wyjście do miasta. Czekamy już ponad 20 minut, a celników nie ma. Jest wczesny grudniowy poranek, z tzw. „polskiej” strony dworca w Grodnie ruchu prawie nie ma. Do jakiegoś dalszego pociągu, chyba towarowego, prowadzą gromadę rekrutów. Chłopcy niosą na ramionach tobołki, plecaki, torby. Są wychudzeni, źle ubrani, niskiego wzrostu. Minęło pół godziny, a celników wciąż nie ma. Drzwi są otwarte, więc decyduję się wyjść z pociągu nie czekając celników. I tak nie mam nic do oclenia. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, przechodzę przez tory i za chwilę jestem w hali dworca.

Dworzec okazały, duży, nowoczesny, ale brudny i zaniedbany. Tłum ludzi kłębi się w hali, ogromne kolejki do kas biletowych, ogonek do komory celnej i do przejścia, gdzie pogranicznik stempluje paszporty. Jest okres przedświąteczny i cały ten tłum z tobołami oczekuje na pociąg do Polski. Ludzie wiozą jakieś towary do Białegostoku, Warszawy a może dalej, by później złote polskie zamienić na dolary i przewieźć je do domu na Białoruś. Języka białoruskiego nie słycać, pasażerowie pokrzykują po rosyjsku, zachowują się głośno, ale potulnie, zdyscyplinowanie stoją w kolejkach, nikt nie stara się przejść na stronę „polską” bez kolejki. Kobiet jest więcej niż mężczyzn, są okutane w chustki, taszczą za sobą wypchane torby. Wszyscy dążą do Polski, jakby to była ziemia obiecana.

Spoglądam na zegarek: jest 7.30 według czasu miejscowego, więc jeszcze zastanę w domu znajomego, dr. Andreja

Majsiajonka, który ma mnie spotkać i zorganizować przejazd do Nowogródka. Aparaty telefoniczne działają bez wrzucania monet czy żetonów. Podobnie było w Wilnie: każdy mógł telefonować bez monet. Zresztą monet nie ma ani na Litwie, ani na Białorusi. Żetonów jeszcze nie znają, nie ma tam aparatów na karty magnetyczne. Telefon jest dostępny dla każdego za darmo!

Andrej Majsiajonak jest w domu. Prosi, abym zaczekał na niego w Fundacji Kultury Białoruskiej, która mieści się w budynku obok dworca. Już o godzinie 8 ktoś tam będzie. Mam trochę czasu, więc postanowiłem wymienić kilka dolarów na ruble. Obok kantoru wymiany kręci się kilka osób, przeważnie są to młodzi mężczyźni i młode kobiety. Kasa kantoru zamknięta i nikt nie wie kiedy otworzą. Kurs dolara podany na wywieszonej tablicy. Dość młoda kobieta pyta czy chcę wymienić dolary. Odpowiadam, że owszem mam do wymiany 5 dolarów. Kobieta proponuje mi 5.350 rb za 1 dolar, jak w kantorze. Zgadzam się. Kobieta odprowadza na bok, dyskretnie ogląda się i odlicza, jak mi się wydawało, dużą sumę — ponad 26 tysięcy rubli. Okazało się potem, że nie jest to duża suma. Za obiad, dość skromny, trzeba zapłacić 10-15 tysięcy rubli.

Fundację Kultury Białoruskiej znajduję dość szybko. Jeszcze nikogo tam nie ma, ale poczekalnia otwarta. Trzeba poczekać aż ktoś przyjdzie. W korytarzu-poczekalni siedzi już jakaś dziewczyna, która również czeka na urzędnika z Fundacji. Ciekawię się kim jest, na kogo czeka. Chętnie odpowiada, że jest Polką z Indry, nazywa się Irena Żuk, pracuje w stołowie przy ulicy Sowieckiej, przysłano ją tu z jakimiś papierami. Po polsku mówić nie umie, chociaż wszystko rozumie. Babcia nauczyła ją pacierza po polsku. Po białorusku też nie mówi, tylko po rosyjsku. Ale z dumą podkreśla, że w „paszporcie ma napisane Polka”.

Przychodzi wreszcie prezes Fundacji Kultury Białoruskiej profesor Siarhiej Habrusiewicz. Wchodzę za nim do gabinetu, przedstawiam się po białorusku, wyjaśniam w tym języku po co tu jestem. Habrusiewicz serdecznie się ucieszył, że gość z Polski stara się mówić po białorusku. Profesor Habrusiewicz jest historykiem, świadomym Białorusinem. Z urzędnikami rozmawia wyłącznie po białorusku, chociaż niektóre, jak słyszę, odpowiadają po rosyjsku. Nie znają języka państwowego. Habrusiewicz nie przerywa, nie żąda, by mówiły po białorusku. Podoba mi się, że jest tu tolerancja językowa. A mnie wyjaśnia, że ludzie na Białorusi nie znają

języka białoruskiego, że okres sowiecki dokonał ogromnych spustoszeń. Ludzie nie wiedzą kim są: ani Rosjanie, ani Białorusini! — „Ot —mówi — *sawieckije ludi!*”.

Profesor Siarhiej Habrusiewicz opowiada jak trudno żyje się na Białorusi, szczególnie ciężko jest patriotom, świadomym Białorusinom, którzy niby mają swoje państwo, ale czy to jest państwo białoruskie — zadaje retoryczne pytanie. Ogromne trudności ekonomiczne, które męczą ludzi. W Grodnie na przykład brakuje paliwa i autobusy jeżdżą tylko do godziny 9-tej, potem mają przerwę i dopiero po 16-tej zaczynają kursować, by odwieźć z pracy ludzi do domów. Jeżdżą tylko tramwaje, w których jest ogromny tłok, a taksówki są bardzo drogie. Zarobki niewielkie. Przeciętnie otrzymują tu 100-120 tysięcy rubli miesięcznie. Poznana Irena Żuk zarabia zaledwie 70 tysięcy rubli. W prawie 300-tysięcznym Grodnie żyje się ludziom bardzo ciężko. Są problemy z przemieszczaniem się. Zbudowano wiele nowych dzielnic, miasto stało się rozległe, a autobusy i tramwaje są przepełnione. Wszędzie jest tłok i ścisk.

Zatelefonował Andrej Majsiajonak, przeprosił, że nie może przyjechać. Jest zastępcą dyrektora Instytutu Biochemicznego i akurat ma ważne sprawy do załatwienia. Przyśle pracownicę, panią Tamarę, która oprowadzi mnie po mieście, a po obiedzie z Siarhiejem Habrusiewiczem pojedziemy do Nowogródka.

Z panią Tamarą idziemy zwiedzać Grodno. Moja opiekunka mówi wyłącznie po rosyjsku, choć sama nie wie kim jest. „*Po pasportu ja Bielaruska*” — mówi. — *Ale wychowana po rosyjsku*”. Idziemy ulicą Elizy Orzeszkowej. Tłoku nie ma. Z lewej strony widzimy odrestaurowany dom pisarki Orzeszkowej. Będzie tu muzeum jej poświęcone. Dom jest zrekonstruowany i prezentuje się dość ładnie. Białorusini szanują polską pisarkę, bo dobrze pisała o wsi okolicznej, o prostych, białoruskich ludziach. Sklepów niewiele, w środku tłok, ludzie stoją, czekają na towar, którego nie ma i nie wiadomo czy będzie. Przechodzimy obok cerkwi, jest otwarta, bo „*otpiewają*” nieboszczyka. Przez park skręcamy na ulicę Feliksa Dzierżyńskiego, niedaleko parku zbudowano „Dom Polski”. Jest to ładny, niedawno wzniesiony budynek. Mieści się tu Zarząd Główny Związku Polaków na Białorusi, redakcja *Głosu Znad Niemna* i *Magazynu Polskiego*. Nikogo z zarządu nie ma, więc sekretarka kieruje mnie do instruktorki d/s kultury pani Aramowicz. Ta sympatyczna młoda kobieta opowiada, że budynek zaczęto stawiać w 1992 r. a za-

kończono budowę w maju 1993 r. Już latem wprowadziły się tu wszystkie polskie instytucje. Cały dom przeznaczony jest dla Polaków. Prócz zarządu ZPB i redakcji mają tu siedzibę harcerze, akowcy, kombataneci. Związek Żołnierzy Armii Krajowej nie jest zarejestrowany, działa półlegalnie przy ZPB. Dział Oświaty organizuje polskie klasy przy szkołach białoruskich i rosyjskich, których jest naturalnie więcej. Szkół polskich, niestety, jeszcze nie ma. Obecnie w Grodnie czynnych jest w różnych szkołach 11 klas polskich, w obwodzie istnieją klasy polskie w 18 szkołach. Są to przeważnie klasy początkowe. Dzieci dopiero uczą się języka polskiego.

Związek Polaków na Białorusi pod kierownictwem Tadeusza Gawina, byłego pułkownika Armii Sowieckiej, dobrze sobie radzi, stosunki z władzami białoruskimi układają się pomyślnie. W Grodnie czynnych jest około 2 tys. członków Związku Polaków. W każdy wtorek w Domu Polskim są jakieś imprezy, na które chętnie przychodzą Polacy. Na imprezach zawsze jest pełno. Przychodzi wiele młodzieży, jest to na pewno zjawisko pozytywne. Młodzi Polacy są dumni ze swej polskości, wszyscy bywali w Polsce. Nie zamierzają jednak przeprowadzać się do Polski. — „Tu jest nasze miejsce” — odpowiadają, gdy się ich zapyta czy chcieliby wyjechać do Polski.

Z powrotem do Fundacji przechodzimy przez plac obok siedziby władz obwodowych Republiki Białoruś. Na środku placu nadal stoi pomnik „wodza” Włodzimierza Iljicza Lenina. Duch sowiecki, rosyjski ciągle tu żywy. Nikt nie śmie usunąć z placu tego pomnika.

Nadchodzi wreszcie czas spotkania się z dr. Andrejem Majsiajonkiem. Zaprasza mnie do Instytutu Biochemii. Od dworca jest autobus do Bulwaru Leninowskiego Komsomół, który ostatnio przemianowano na Bulwar Bronisława Taraszkiewicza, w latach dwudziestych działacza „Hramady”, senatora Rzeczypospolitej, komunisty, a później więźnia łagrów sowieckich. Przy tym bulwarze stoi Instytut Biochemii. Okazuje się, że autobus nie kursuje, decyduje się więc na taksówkę. Jest tu taki zwyczaj, że trzeba się z taksówkarzem targować, bo każdy wymienia inną cenę. Jeden zażądał za kurs 10 tys. rubli, drugi — 7 tys., wreszcie trzeci zgodził się zawieźć nas za 6 tys. rubli czyli 600 „zajczyków”. Te „zajczyki” to tymczasowe ruble białoruskie.

Instytut Biochemii w Grodnie był kiedyś ważną placówką naukową, podlegał władzom moskiewskim. Dziś nieco zaniedbany. Wielu pracowników zwolniono z pracy, brakuje

nakładów na rozwój instytucji, przyszłość tej placówki naukowej niezbyt jasna. W Grodnie istnieje uniwersytet, gdzie m.in. od kilku lat działa Katedra Filologii Polskiej. Kształcą tu nauczycieli polonistów do szkół polskich, które może kiedyś na Białorusi powstaną. Z wyższych uczelni działają w Grodnie m.in. Instytut Medyczny (od 1958 r.) i Instytut Rolniczy (od 1951 r.), jest kilkanaście szkół średnich zawodowych różnego typu. Na ulicach widać sporo młodzieży.

Dr Andrej Majsiajonak mówi po polsku. Urodził się po wojnie w Dziśnie w rodzinie lekarza. Jego ojciec przed wojną ukończył medycynę na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Tradycje polskie w domu rodzinnym Andreja były zawsze. Jest przyjazny Polsce i Polakom. Opowiada, że grupa działaczy białoruskich chce w Grodnie założyć Fundację im. Adama i Joachima Chreptowiczów, na wzór polskiego Ossolineum. Już zbierają książki do przyszłej biblioteki naukowej. Dr Majsiajonak chciałby, by w bibliotece był specjalny dział polski.

Przed godziną 15-tą wyjeżdżamy wreszcie do Nowogródka. Na umówione spotkanie z prof. Habrusiewiczem idziemy piechotą. Ulice w nowych dzielnicach są szerokie, budynki mieszkalne wysokie, sklepów niewiele. Ludzie rozmawiają przeważnie po rosyjsku, choć — jak mówi Majsiajonak — pochodzą z okolicznych wsi białoruskich i katolickich, tzn. polskich. Zapomnieli języków ojczystych, są tu, jak wszędzie na Białorusi — ludźmi sowieckimi. Czy uda się patriotom białoruskim przywrócić im świadomość białoruską? Nie wiadomo. Jest to problem, który nurtuje wszystkich, komu na sercu leży wolne państwo białoruskie.

Do Nowogródka jedziemy „wołgą”. Oprócz Habrusiewicza i mnie jedzie profesor Aliaksiej Pietkiewicz, historyk kultury i literatury białoruskiej Uniwersytetu Grodzieńskiego. Jest żarliwym propagatorem białoruskości, sam pochodzi spod Stołpców, ale od lat mieszka w Grodnie. Przejeżdżamy obok Starego Miasta, przed nami góruje grodzieńska fara, spoglądam na wieże barokowego kościoła jezuitów. Przemykamy obok cmentarza, gdzie jest grób Elizy Orzeszkowej. Jedziemy w kierunku Nowogródka dobrze utrzymaną szosą lidzką. Ruch niewielki: brak na Białorusi paliwa, ludzie samochodami nie jeżdżą. Wszędzie wyziera bieda.

Jedziemy przez Skidel, obok Szczuczyna, zatrzymujemy się w miejscowości Bierozauka, dawniej Brzozówka. Tutaj w 1891 r. Juliusz Stolle i Wilhelm Krajewski założyli hutę szkła.

Przed wojną istniały tu dwie fabryki, a szkło z Brzozówki znane było daleko poza granicami Polski. Obecnie działa tu huta szkła „Niemen”, której wyroby również są poszukiwane, m.in. kryształ. Miasteczko rozbudowało się, jest dom kultury, kilka sklepów, w których brakuje towarów. Masło, cukier, sery sprzedawane są tylko na kartki i dla „kombatan-tów”, za okazaniem legitymacji. Jak ludzie tu żyją — trudno pojąć. W sklepie słyszę język wyłącznie rosyjski. Prof. Habrusiewicz wyjaśnia mi, że mieszka w Brzozówce ludność przeważnie napływowa. Władze miejscowe z dumą ponoć podkreślają, że żyją tu przedstawiciele 30 narodowości.

Pod wieczór przyjeżdżamy do Nowogródka. Na ulicach wiele wody. Prof. Habrusiewicz wyjaśnia, że są tu jakieś podziemne źródła, a może jezioro, często woda wybija na wierzch. Władze miasta mają z tym kłopoty. Prof. Pietkiewicza i mnie wysadzają przy Muzeum Adama Mickiewicza. Stoimy przed ładnym odnowionym dworkiem Mikołaja Mickiewicza, adwokata nowogródzkiego.

Komitet Mickiewiczowski w 1930 roku postanowił w domu Mickiewiczów urządzić muzeum poety. Dom wówczas należał do Antoniego Dąbrowskiego, a po jego śmierci przeszedł na syna Tadeusza. Ten wydzierżawił budynek Marii Wierzchowskiej, która mieszkała w byłym domu Mickiewiczów do 1937 roku. Dopiero po wyprowadzeniu się Wierzchowskiej, w czerwcu 1937 r. Komitet Mickiewiczowski odbył w Domu Poety pierwsze uroczyste posiedzenie pod przewodnictwem wojewody nowogródzkiego Adama Sokołowskiego. Otwarcie Muzeum Adama Mickiewicza nastąpiło 11 września 1938 r. 22 czerwca 1941 r. niemiecka bomba zniszczyła budynek, zli ludzie częściowo rozgrabili zebrane z trudem eksponaty.

Na jubileuszowy Rok Mickiewiczowski 1955 władze Białorusi odbudowały dworek (oryginalny spalił się w 1881, a odbudowany został w 1887 i przetrwał do 1941) w kształcie przedwojennym i w setną rocznicę śmierci wieszczą otworzyły tu „Dom-Muzeum Adama Mickiewicza” z wystawą biograficzną urozmaiconą kilkoma pamiątkami i kopiami portretów oraz fotografiami przysłanymi przez ówczesne Muzeum Adama Mickiewicza w Warszawie (obecne Muzeum Literatury). W 1987 roku podpisano umowę o współpracy między warszawskim i nowogródzkim Muzeum. Dzięki temu współpraca się ożywiła i w tymże 1987 r. władze miasta Nowogródka i Dyrekcja nowogródzkiego Muzeum wraz z warszawskim Muzeum Literatury, Przedsiębiorstwem „Budi-

mex” i Kombinatem Budowlanym w Białymstoku przystąpiły do prac renowacyjnych, przygotowujących dworek, oficynę i otoczenie do zorganizowania stałej ekspozycji muzealnej. Prace budowlane i przygotowawcze do wystawy trwały 3 lata. W 1990 r. przystąpiono do urządzeń odbudowanych pomieszczeń dworku i 12 września 1992 r. nastąpiło uroczyste otwarcie.

Z całego dworku wydzielono dawny pokój chłopców, w którym umieszczono pamiątki rodziny Mickiewiczów i z okresu dzieciństwa Poety; w pokoju Mikołaja Mickiewicza stworzono wystrój czasów nowogródzkiego prawnika, tj. przełomu XVIII i XIX wieku. Przywiezione z Polski oryginalne meble nawiązują do skromnego i praktycznego wyposażenia pokoju-gabinetu. Pokój gościnny zawiera eksponaty z przełomu XVIII i XIX wieku. Oryginalne przedmioty zostały również przywiezione z Polski i stanowią tu główny trzon wystawy. W dawnym pokoju jadalnym urządzono ekspozycję nawiązującą do wileńskiego okresu poety. Meble w tym pokoju pochodzą z dworu Wereszczaków w Tuhanowiczach. Jest tu miniatury portret Maryli, także widok Świłczy. W dawnej sypialni matki umieszczono pamiątki związane z pobytem Adama Mickiewicza w Rosji w latach 1824-1829. Jest tu więc oryginalna grafika przedstawiająca panoramyczny widok Petersburga z roku 1834. Wiszą tu też dwa portrety młodego Mickiewicza: jeden pędzla Józefa Oleszkiewicza z 1827 roku, drugi „Na Judahu skale” Walentego Wańkowicza z 1828 roku.

W odbudowanej oficynie zlokalizowano salę koncertowo-odczytową, szatnię i salę obejmującą wystawę poświęconą życiu i twórczości Mickiewicza na emigracji po 1829 roku. Dworek z oficyną łączy wygodne przejście podziemne. Całość prezentuje się bardzo schludnie. Przed dworkiem jest obszerny skwer, który również będzie rekonstruowany.

Jeszcze zastaliśmy w Muzeum dyrektorkę Lilię Usenko i starszą kustosz Sofię Anisimową. Obie są Białorusinkami, a nazwiska noszą po mężach, oficerach dawnej Armii Sowieckiej. Pani Anisimowa ładnie mówi po polsku. Obie są zauroczone Mickiewiczem, dbają o eksponaty, o dworek. To właśnie one wymyśliły tę konferencję, chciały, by ludzie z Mińska, z Grodna i z Polski zobaczyli co się tu dzieje, z jakim pietyzmem w ciężkim ekonomicznie okresie pracują, szereg pamięć o wielkim polskim poecie.

Z Muzeum idziemy do hotelu, gdzie spotyka nas kustosz Irena Syczewska, Polka, absolwentka filologii angielskiej uniwersytetu w Mińsku. Pani Irena ucieszyła się, gdy się dowiedziała że przyjechali Polacy. Pochwaliła się, iż jest człon-

kiem Związku Polaków, że uczy dzieci polskie języka angielskiego. Nie kryje, iż jest Polką, i z tego powodu nie ma żadnych kłopotów. Powiedziała, że jej ojciec pochodzi z Nowogródka i od dziecka, jak pamięta, zawsze w domu rozmawiano po polsku. Wycieczki polskie, których, niestety, nie ma obecnie wiele, oprowadzają po Muzeum wyłącznie Irena Syczewska i Sofia Anisimowa. Obie znają dobrze języki białoruski i rosyjski. Ale teraz przeważnie rozmawiają po białorusku, bo jest moda wśród inteligencji by mówić wyłącznie po białorusku.

Miasto wieczorem jest senne, puste, na ulicach nie ma żadnego ruchu. Nowogródek wygląda jak wymarły. Na tle ciemnego nieba widoczny jest kontur wieży kościoła. To fara, gdzie był ochrzczony Mickiewicz. Proboszczem jest ksiądz prałat Antoni Dziemianko, pochodzi spod Stołpców, w Nowogródku zna wszystkich. Jest lubiany i szanowany.

W hotelowej restauracji pusto, przy jednym stoliku siedzą jacyś pijackowie, rozmawiają łamaną ruszczyzną. Bufetu nie ma, w kuchni też niczego nie ma... Smętnie i nędznie, chociaż to okres przedświąteczny. W Nowogródku mieszka sporo katolików. W kościele jest zawsze pełno wiernych. Wprawdzie ks. Dziemianko nie potrafił, a może nie chciał powiedzieć ile osób liczy jego parafia. Widocznie nieufność wynika jeszcze z czasów sowieckich kiedy to nie ujawniano ilu jest wierzących. Oto w restauracji hotelowej jeden z pijacków słysząc polski nagle wstaje i pyta: „Pan Polak?” — „Tak” — mówię. — „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” — pozdrawia mnie bardzo poważnie. — „Na wieki wieków” — odpowiadam. Widocznie młody człowiek chciał mnie pozdrowić po polsku, właśnie tak jak to czynią tu jeszcze starsi ludzie, Polacy.

Jaki jest współczesny Nowogródek? — myślałam. Polski? Białoruski? Rosyjski? Czy po prostu sowiecki? Tak, chyba jest sowiecki, chociaż budzą się nowe tendencje: białoruskie i polskie. Ale czy Białorusinom uda się przezwyciężyć rosyjską sowieckość? Duch sowieckości krąży po Nowogródku.

18 grudnia w dawnym budynku Komitetu Rejonowego Partii Komunistycznej (obecnie mieści się tu Średnia Szkoła Muzyczna) odbywa się konferencja pod hasłem „Mickiewicz wiecznie żywy”. Przyjechali naukowcy z Mińska, Nowopola i Grodna, z Moskwy przyjechał pracownik jednego z muzeów Bogatyriow. Z Polski przybyli muzealnicy Elżbieta Bańko-Sitek z Warszawy i Andrzej Kosztolewski ze Śmiełowa w Wielkopolsce, ponadto profesorowie Zdzisław Nie-

dziela z Krakowa, Aleksander Barszczewski z Warszawy, Rafał Leszczyński z Łodzi i niżej podpisany.

Konferencję otwiera przewodniczący Fundacji Kultury Białoruskiej w Grodnie Siarhiej Habrusiewicz. Wita przybyłych, a wspominając poetę m.in. mówi: „Mickiewicz jest polskim poetą, ale też ważną postacią naszej białoruskiej kultury. Jako naród z ogromnym trudem dążymy do Europy i Adam Mickiewicz na tej drodze jest naszym sprzymierzeńcem. Ziemia nowogródzka jest ziemią Mickiewicza. W nowych warunkach odrodzenia narodowego powinniśmy inaczej spojrzeć na nasze dotychczasowe stosunki z Polakami. Na grodzieńskiej i nowogródzkiej ziemi mieszkało wielu Polaków, powinniśmy więc stworzyć lepsze warunki, by polscy badacze mogli tu przybywać, swobodnie badać życie twórców kultury i literatury polskiej, na przykład Elizy Orzeszkowej czy Zofii Nałkowskiej, która przez pewien czas mieszkała w Grodnie”.

Burmistrz miasta Jehorej Baka (Jerzy Baka) również przemawiał po białorusku i z sympatią wspominał polskie firmy, które odbudowały dworek Mickiewiczów. Powiedział, że władze i społeczeństwo Nowogródka są wdzięczne Polakom za pomoc w pracach nad organizacją Muzeum. Były to więc niewątpliwie sympatyczne akcenty pod adresem Polaków. Obecni Białorusini, pochodzący zwłaszcza z terenów, które do 1939 roku należały do Polski, są gościnni, życzliwi i przyjaźni. Starają się mówić po polsku, choć trudno im to przychodzi, wypytują o nasz kraj, zapraszają do współpracy.

Na konferencji referaty wygłaszano przeważnie po białorusku, tylko Polacy mówili po polsku i Rosjanin Bogatyriow z Moskwy — po rosyjsku. Wyczuwało się żal, że nikogo nie było z ambasady polskiej w Mińsku, nie przysłano nawet życzeń. Z Grodna, z Zarządu Głównego Związku Polaków na Białorusi, przyjechała jedynie Maria Aramowicz. Białorusini z Nowogródka, Grodna i Mińska poświęcili Mickiewiczowi wiele uwagi, uczcili 195 rocznicę jego urodzin, zainaugurowali przygotowania do 200-ej rocznicy urodzin Poety. W Mickiewiczu widzą oni polskiego wieszca, ale też ich, Białorusinów, ziomka, urodzonego i wychowanego na ziemi białoruskiej.

Wieczorem tego dnia, w czasie spotkania towarzyskiego, dowiaduję się, że w Nowogródku aktywnie działa patriotyczna organizacja białoruska „Baćkauszczyna” („Ojczyzna”). Działaczką jest Taćciana Caruk, przewodniczką turystyczną i fotografką. Taćciana mówi, że do organizacji należą nauczyciele, lekarze, słowem przedstawiciele inteligencji. Działa tu

też aktywnie Białoruski Narodny Front Zianona Paźniaka. Do tej organizacji również należą głównie inteligenci, jest wiele młodzieży. Tak zwani prości ludzie są przeważnie narodowo obojętni, wspominają dawne sowieckie czasy z nostalgią, mówią łamanym językiem rosyjskim. W ogóle ludność na Białorusi jest politycznie zdezorientowana. Ludziom w głowie tylko by jakoś przeżyć, przetrwać do następnego miesiąca.

19-go grudnia praca konferencji toczy się w Muzeum Mickiewicza. Referaty wygłaszają przeważnie gospodarze, wiele się mówi o życiu poety na Białorusi, w Nowogródku, o tradycji Mickiewiczowskiej w poezji białoruskiej. Pracownicza Muzeum Krajoznawczo-Historycznego w Nowogródku, Ala Snitko, wygłasza referat o obchodach Mickiewiczowskich w okresie międzywojennym, tj. w II Rzeczypospolitej.

Poznaję na konferencji działaczkę Związku Polaków na Białorusi, przewodniczącą Oddziału ZPB w Nowogródku, Zofię Boradyn. Jest córką b. policjanta z Nowogródka. Ojca w 1939 aresztowano i wywieziono w głąb Rosji do łagru, ale jakoś przeżył i przeszedł cały szlak II Korpusu. Po wojnie emigrował do Argentyny, skąd już nie wrócił. Tam zmarł. Marzeniem pani Zofii jest odwiedzenie grobu ojca. Wie, gdzie jest pochowany, ale nie ma pieniędzy na podróż. Mąż pani Boradynowej również swoje wycierpiał: przebywał w sowieckich łagrach, a później również go przesładowano. Zofia Boradyn jest w wieku podeszłym, jednakże bardzo aktywna, ruchliwa, dobrze znana w Nowogródku. Potrafiła skupić wielu Polaków, zorganizować nauczanie języka polskiego, zgromadzić pokaźną bibliotekę polską. Władze miasta przydzieliły dla Związku Polaków cztery pokoje w schludnym domku przy ulicy Korelickiej. Zofia Boradyn z dumą pokazuje mi bibliotekę, pokój do nauki języka polskiego i angielskiego, salę zebrań i swój gabinet. Pytam jakie są stosunki z Białorusinami. Odpowiada, że władze nie wtrącają się do działalności ZPB, a „Białorusini — to przecież nasi sąsiedzi — mówi. — Znamy się od dziecka. Niektórzy chodzą do naszego kościoła, a ksiądz Dziemianko głosi kazania po białorusku i po polsku, naucza, by ludzie żyli godnie”.

W niedzielne popołudnie zaśniewiony Nowogródek wygląda spokojnie i sennie. Gdzieśgdzie przemknie przechodzień, jakieś kobiety śpieszą do kościoła, ktoś idzie w stronę cerkwi. Nie widać tu ani pośpiechu, ani zwiększonego ruchu.

Mija trzeci dzień pobytu w Nowogródku. Czas wracać do Grodna i do Polski. Serdeczność i troska gospodarzy przyćmiła biedę, jaka jednak wyciera z domów mieszkańców,

wygląda z ubrań i zachowań spotkanych na ulicach ludzi. Widoczna jest niepewność: co nas czeka? Białorusini pragną wolności i niezależności, ale nie są pewni czy bez Rosji dadzą sobie radę, czy będą samowystarczalni. A Polska jest dla nich jeszcze krajem obcym i dalekim. Sowiecka propaganda o „pańskiej Polsce” zrobiła swoje. Białorusini, jak się zdaje, dopiero teraz zaczynają odkrywać Polskę. Na razie znają nasz kraj od strony targowisk i bazarów.

Na dworcu kolejowym w Grodnie znowu widzę kotłujący się tłum przed komorą celną i przy odprawie granicznej. Na piętrze brudna restauracja, przy stołach zaledwie kilku konsumentów. Wybór dań niewielki, a ceny wysokie. Kiedyś, za czasów sowieckich, był to lokal dla *inostranców* — wszystko było wystawne, na pokaz i tanie potrawy.

Przy odprawie granicznej ogromny tłok, długo czekamy w kolejce, by pogranicznik mógł wbić do paszportu stempel na wyjazd. Wreszcie wchodzimy do niewielkiej sali. Drzwi z sali na „polski” peron zamknięte. Prawie godzinę stoimy stłoczeni, jak sardynki w puszcze. Przy peronie stoi już polski pociąg Grodno-Warszawa, prawie w zasięgu ręki. Ale żołnierze pilnują drzwi, nikogo nie wypuszczają. Dlaczego tak jest, nikt nie wie. Na zadawane pytania nikt nie odpowiada. Wszyscy pokornie czekają aż starszy pogranicznik da sygnał: wypuszczać! Na pięć minut przed odjazdem pociągu drzwi się nagle otwierają i tłum jak stado pędzi do przodu, do wagonów. Silniejsi, młodzi popychają starszych i kobiety, niektórzy padają, gubią swoje torby, łapią je, chwytają i pędzą do wagonów, zajmują miejsca: przed nimi polskie bazyry i targowiska, cel ich podróży!

Mieczysław JACKIEWICZ

Święta Góra Grabarka

Przed trzema laty, w święto Przemienienia Pańskiego, obchodzonego przez wyznawców prawosławia 19 sierpnia, na wzgórzu Grabarki stał tylko krzyż i skrzynka na ofiary. Osmalone ogniem drzewa i krzyże przypominały o tragedii sprzed kilku miesięcy, kiedy to spłonęła zabytkowa cerkiew, a ogień strawił również cenne przedmioty kultu znajdujące się wewnątrz.

Przed obchodami święta w roku 93, wiele osób krząta się wokół nowej cerkwi, stojącej dokładnie na miejscu spalonej. Miedziany dach połyskuje w świetle prawie już jesienno-śnieżnego słońca, zapach świeżego tynku, farby i cegły miesza się z żywicznym zapachem okalających wzgórze drzew. Drzewa rosną w zadziwiająco nachyleniu w kierunku cerkwi, jakby ją ochraniały.

Przed wejściem do świątyni kilka dziewcząt, zakutanych zgodnie z obyczajem w chustki, pomaga młodemu popowi w przystrajaniu ikon. Chłopcy, wysoko na rusztowaniach, przymocowują wieńce z dębowych liści. Język białoruski i polski miesza się z ukraińskim, z różnymi lokalnymi zaśpiewami.

— Batuszka, czy tak dobrze? — zwracają się do pracującego na drabinie popa. Zapracowany, umorusany wzbrania się przed fotografowaniem, nie ma czasu na rozmowę. Odśyla mnie do matki przełożonej.

Obok męskiego klasztoru w Jabłecznej, Grabarka jest drugim miejscem religijnego skupienia wyznawców prawosławia w Polsce.

Na terenie klasztornym czuję się jak intruz naruszający dostojną harmonię dnia. Mniszki z głowami przykrytymi białymi lub czarnymi chustkami pracują w skupieniu. Jedna

idzie zapowiedzieć mnie u matki przełożonej. Siadam z innymi, przygotowującymi posiłek. Młoda, może 17-letnia, dziewczyna nieśmiało odrywa wzrok od swoich rąk.

— Ja tu posługaczką jestem. No tak, jako zakonnica... A lat moich nie powiem, nie trzeba. Ja tu z Polesia.

Wraca siostra od matki przełożonej.

— Matka przeprasza ale nie może rozmawiać, nie czas i zmęczona, jutro święto. Nam nie trzeba rozgłosu, rozgłos więcej złego przynosi...

Wracam do cerkwi mijając kilka rzędów krzyży. Starych i nowych, okazałych i małych. Wbijanych w ziemię z nadzieją wysłuchania przez Boga próśb, tych ważniejszych i mniej ważnych, ale z jednakową nadzieją przynoszonych tutaj, na świętą górę.

Wieś Sycz, kilka kilometrów od Grabarki, wciśnięta między lasy i piaszczyste drogi Polesia. Wieczorem, po pracowitym dniu jest czas, aby się przed sklepem i pogwarzyć z sąsiadami. Starszy gospodarz, znany w okolicy znachor, opowiada o swoich umiejętnościach.

— Ja to wszystko robię przez modlitwę. Znam modlitwę na paraliż konia, na niemoc w nogach ludzi, na deszcz. W tym roku modliłem się dziewięć razy — i widzi pani — u nas padało.

Narzeka na czasy, na ludzi, którzy nie potrafią wytrwać w nadziei. Ubolewa, że coraz więcej młodych nie wierzy w moc jego praktyk.

— A ja dar ten od Boga mam. A Bóg sprawiedliwy — wszystkich równo traktuje. Rok temu zem się modlił za konia naszych prawosławnych, a po drugiej stronie wsi za konia katolików. I u naszych zdechł, katolików wyzdrowiał. Taka była wola Boża.

Wyciąga pieczołowicie złożony w portfelu kwit, poświadczanie o przekazaniu cerkwi dwóch ikon.

— Pani! Co ja się ich z targu nadzwigał. Widziała może na Grabarce, takie duże w złożonych ramach?

Przytaknięcie sprawia mu wyraźną przyjemność.

— Dał ja też ponad dwa miliony ofiary. Gdyby każdy był taki mieliby my cerkiew pod samo niebo.

Po kilku dniach pielgrzymowania dotarła grupa wiernych z Hajnówki. Prowadzeni przez swoich batuszków, odpoczywa-

ją u kresu wędrówki za wsią Sokół. Zagajnik upstrzony kolorowymi chustami kobiet rozbrzmiewa kojącym, jak ten wieczór, śpiewem. W grupie prawie stu osób przeważają młodzi. Niektórzy niosą krzyże — swoje prośby, które zostawione na świętej górze zaowocują może spełnieniem.

Na przywitanie wyszli miejscowi: katolicy i prawosławni. Jakaś gospodyni wysłała córkę po wodę. Inna częstuje pielgrzymów jabłkami i kompotem. Rozmawiają z przybyłymi jak z dobrymi znajomymi.

Okolica przez rok czeka na największe święto — odpust w Grabarce. Tylu samochodów, obcych twarzy, rzeczy do kupienia i popatrzenia, rozłożonych na straganach nie zobaczy się w żadnym innym dniu.

Miejscowi czekają, kiedy „świat” przyjedzie do nich, w raz na dzień kursującym autobusie. Im do niego nieporęcznie. Czas wydaje się tutaj aż gęsty od nadmiaru; nie popędza, nie zmusza do niczego. Każda nowa informacja jest hołubiona, pieczołowicie przekazywana, aż dowiedzą się wszyscy. Dowiedzą się, że tej straganiarce spod lasu mąż wyzdrowiał dzięki wodzie ze świętego źródła. Jadł właśnie trzeciego kotleta i wstał...

W przeddzień obchodów święta Przemienienia Pańskiego jest już tłum ludzi. Atmosfera festynu, jarmarcznej tandety, pieczonych kiełbasek i ryczących ostatnie przeboje głośników. Bliżej wejścia na Grabarkę coraz więcej kwestujących: zakonników i świeckich. „Na budowę cerkwi w Zamościu”, „Na budowę cerkwi w Zapałowie”..., „Bydgoszczy”, „Siedlcach”. Ręce z datkami wyciągają się często. Natomiast kilka metrów dalej wyciągają się po uzdrawiającą wodę ze świętego źródła. Twarze zniekształcone chorobą, wózki inwalidzkie, rzędy szmatek moczających się w strumyku. I nadzieja w oczach. Nadzieja, że cuda, o których mówią powtórzą się.

Koloryt niczym z obrazów Riepina. Zanim opadnie kurz i ukażą się zmęczone, rozgrzane upałem twarze kolejnych pielgrzymów, widać uniesione krzyże, ikony, słyhać dziękczynne śpiewy i modły. Ostatni odcinek trasy, przed wejściem do cerkwi, pątnicy pokonują na kolanach. Ręka przygotowana do fotografowania opada przed taką kondensacją intymności, rozmodlenia.

Elżbieta SZADURA

Świat wrzasku i nudy

Nie spodziewając się niczego nadzwyczajnego sięgnąłem po zbiorek wspomnień Mariusza Paska „Tropy, szweje i bażanty”*. Książka traktuje o losach autora i jego kolegów, odbywających po studiach w roku 1988 roczne przeszkolenie w jednej ze szkół oficerów rezerwy.

O wojsku, podobnie jak o dzieciach można mówić i pisać bez końca. Na wojnie, jak wiadomo, ludzie stają w obliczu zagrożeń elementarnych. Mogą dokonywać czynów bohaterskich lub przynajmniej rozpaczliwie walczyć o przeżycie. Heroizm i tchórzostwo, poświęcenie lub zdrada, przesłaniają w takich opowieściach inne problemy natury bardziej przyziemnej. Na szczęście wojny, nawet najdłuższe kiedyś się kończą. Armie jednak trwają, reorganizują się, szkolą i przygotowują do ewentualnych nowych konfliktów. Czasem okresy pokoju ciągną się jednak długo, a nawet bardzo długo. I wtedy na widownię wkracza właśnie literatura beletrystyczna lub czysto wspomnieniowa o wojsku jako takim. O instytucji, w której spędza odcinek swego życia znakomita większość młodych mężczyzn. O doli i niedoli ludzi, którzy znaleźli się w trybach maszyny militarnej.

Armie w okresie pokoju, prowadzące rutynowe szkolenie setek tysięcy ludzi, narażone są na rozliczne wynaturzenia i dewiacje wynikające z elementarnych skłonności ludzkich.

W latach 1950–1953, jako student Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie osobiście zetknąłem się z LWP, najpierw jako uczestnik ćwiczeń Studium Wojskowego, a następnie miesięcznego poligonu piechoty. Mogłem więc z autopsji zapoznać się z tą instytucją, której losy śledziłem

* Mariusz Pasek, *Tropy, szweje i bażanty*, Warszawa 1994, ARES, ss. 192, rysunki.

przez następne lata bez szczególnej sympatii, choć nie bez zrozumienia. Opisałem te przygody w fragmencie moich wspomnień (*Kultura* nr 5/560). Wspominałem tam błazenadę reklamową wokół wojska, uprawianą przez ostatnie 31 lat. Już jednak coraz wyraźniej miało się pod koniec komunistycznego świata. Nawet najgłówniejszy adiutant, który prężył przed kamerami swoją wątłą pierś, opiętą kapitańskim mundurem, bardziej drażnił niż straszyl.

Na koniec przyszły czasy, kiedy armia — nosząca obecnie miano Wojska Polskiego — byłaby rzeczywiście potrzebna. Jej siła mogłaby dodawać otuchy pełnym obaw i zwątpienia obywatelom Trzeciej Rzeczypospolitej. Mogłaby, lecz z kolumn prasowych, głośników i telewizorów codziennie niemal dudnić wieści o wzroście... słabości naszych sił zbrojnych. O politycznych przetargach wokół stanowiska wiceministra. O tym, że wojsko kupi samolot szkolno-bojowy. Albo że go chyba jednak nie kupi. O projektowanej strażnicy granicznej, na której budowę brak pieniędzy. O tym, że w armii brakuje tego i tamtego. A najczęściej owych anegdotycznych armat z opowieści o Napoleonie.

Uprawiany przez dziesiątki lat biurokratyczny optymizm ustąpił miejsca modnemu katastrofizmowi, a tak naprawdę co się dzieje w Wojsku Polskim nie wiemy. Zabawna, choć dosyć błaha skądinąd książeczka Mariusza Paska niewiele w tej materii wnosi.

Autor, absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, opublikował swoje wspomnienia w roku 1989. W jednym z końcowych rozdziałów wspomniane są przygotowania do obrad Okrągłego Stołu, torpedowanych jakoby przez Kuroń i Michnika. Tak zwane NOWE pełnie zatem i jest tuż, tuż. Z czego naturalnie nie zdaje sobie sprawy ani kadra oficersko-podoficerska ani spędzeni na szkolenie podchorążowie. Dowódca w trybie pilnym poleca wzniesienie z betonu pomnika patrona ośrodka, Feliksa Dzierżyńskiego, który to monument z powodu wadliwej technologii traci niebawem głowę.

Analizując książkę Paska spróbujemy na początek uwieńczyć autorowi i wydawcy, że opisywane zjawiska i sytuacje istotnie w takim natężeniu występowały w nieszczęsnej Szkole Podchorążych Rezerwy w małym miasteczku mazurskim pod koniec lat 80.

Mariusz Pasek zawarł w swoich krótkich, czasem nie przekraczających jednej strony, obrazkach pierwsze tygodnie pobytu w wojsku grupy młodych ludzi, którzy dopiero co uzyskali dyplomy magistrów w kilku wyższych uczelniach.

Wbrew ogólnie przyjętym, urzędowym zasadom — skierowań przyszłych oficerów do określonych rodzajów broni, korespondujących z ich zawodowym wykształceniem cywilnym — machina administracji LWP w jego schyłkowej fazie istnienia działa chaotycznie. Artylerzystami mają zostać absolwenci prawa, historii sztuki, politologii, a nawet uczelni artystycznych. Nie są także respektowane ustalone przez wojskowe komisje lekarskie kategorie zdrowotne. Do formacji wymagającej najwyższej kategorii A-1 trafiają ludzie kwalifikowani do Obrony Cywilnej, notoryczny epileptyk, człowiek zagrożony ciężką wadą wzroku... W tym samym czasie w grupie Obrony Cywilnej znajdują się ludzie o znakomitym stanie zdrowia, którzy łąpówkami załatwili sobie korzystniejszy przydział.

Temat korupcji w ścisłym tego słowa znaczeniu porusza Pasek tylko marginesowo. Jesteśmy świadkami płaszczenia się całej komisji wojskowej przed podchorążym, którego zresztą na początek obrzucają ordynarnymi wyzwiskami, bez najmniejszego powodu. W chwilę później jednak okazuje się, że przybysz jest synem generała w stanie spoczynku. Ojciec ma wziąć udział w zbiorowej inspekcji ośrodków szkolenia rezerwistów. W innym miejscu podchorąży kanonier otrzymuje polecenie dostarczenia porcji mięsa z kuchni wojskowej do prywatnego mieszkania jednego z oficerów. Dowiadujemy się także, że komuś z kadry dowódczej szkoleni żołnierze cyklują mieszkanie. Autor zapoznaje nas ponadto z oficerem ledwo trzymającym się na nogach po wspólnym pijaństwie. Ale trzeba przyznać, że wprost przysłowiowe plagi zawodowej kadry, takie jak alkoholizm, machlojki magazynowe, czy łąpownictwo występują w omawianych wspomnieniach bez porównania skromniej niż w dziesiątkach innych tego typu książek, dotyczących różnych armii świata.

To natomiast, co najwyraźniej dręczyć musiało Mariusza Paska i jego niefortunnych towarzyszy — tworzy olbrzymi kompleks głupoty, niekompetencji, chamstwa i braku poczucia organizacji u kadry zawodowej. Znakomita większość obrazków rodzajowych dotyczy wrzaskliwych, ordynarnych pouczeń. Przeważa w nich tematyka rzekomej czy faktycznej nieumiejętności regulaminowego zwracania się do przełożonego, meldowania, wymeldowywania, odmeldowywania itp. Stanowi to zresztą wspaniałą pretekst do poniżenia przybyszów. Udowodnia im, że pomimo swojego cenzusu są ciemni i głupi. Rzecz skądinąd znana jak świat długi i szeroki i równie stara. Tu jednak rodzi się pytanie, które przypuszczalnie nie każdy z czytelników sobie uświadomi. Wiadomo, że podchorą-

żowie kierowani na roczne przeszkolenie u schyłku lat 80-tych musieli wcześniej przejść także roczny kurs wstępnego szkolenia na Studium Wojskowym swojej uczelni. Jak to się zatem dzieje, że przyjeżdżając po ukończeniu uniwersytetów do Szkoły Podchorążych Rezerwy nie mają najmniejszego pojęcia o tak podstawowych sprawach? WSZYSCY robią wrażenie, jak gdyby z wojskiem zetknęli się po raz pierwszy.

Sceny wulgarnego poniżania podchorążych przy użyciu całych serii wymyślnych wyzwick i obscenicznych porównań początkowo wręcz zaskakują. Powtarzane jednak po kilkanaście razy, w niewiele zmienionej scenerii i okolicznościach zaczynają nużyć.

Kogoś, kto zetknął się z oficerską kadram na uniwersyteckim Studium Wojskowym, a potem z oficerami i zawodowymi podoficerami w niedobrych, stalinowskich latach 1950-1953, zastanowić jednak może poziom odnoszenia się kadry do żołnierzy. A przede wszystkim SŁOWNICTWO, używane również przez najwyższe nawet szarże Szkoły w rozmowach między sobą. W pierwszej połowie lat 50-tych wplatanie obscenicznych słów przez oficera w każde dosłownie wypowiedziane zdanie było raczej nie do pomyślenia. Szczególnie, gdy zwracał się do nas, odbywających szkolenie studentów, nie posiadających jeszcze statusu podchorążych. Częściej już można było usłyszeć tego typu odzywki z ust zawodowych podoficerów, ale i tych najwyraźniej — na co mieliśmy dowody — mitygowano. Brutalne zwroty i określenia stosowano istotnie wobec prostych rekrutów ze służby zasadniczej.

Ale i tu znów uporczywie rodzą się wątpliwości. Znam co najmniej jeden tego typu ośrodek wojskowy, mianowicie w Inowrocławiu, gdzie w lecie 1989 podobnych praktyk nie stosowano. Przynajmniej wobec magistrów-podchorążych. Wydawca zapewnia nas, że „ani jedna zabawna, nonsensowna czy dramatyczna sytuacja nie uszła uwagi” Mariusza Paska. Mamy prawo mu wierzyć. Autor zgromadził mnóstwo materiału sytuacyjnego i słownego o wielkiej sile komicznej. Tyle tylko, że zaaplikowana dawka robi wrażenie zbyt esencjonalnej pigułki. Po jej przełknięciu czytelnik odnosi wrażenie, że dostarczono mu produkt raczej syntetyczny.

99% narracji dotyczy pierwszych paru tygodni, w ciągu których, przed przysięgą kadra usiłuje młodych podchorążych złamać i zbałwanić idiotycznymi pracami porządkowymi kosztem snu, wypoczynku, posiłków. O właściwym szkoleniu przyszłych oficerów artylerii nie dowiadujemy się prawie nic. Otrzymujemy próbki wykładu odczytywanego z „regulaminu

taktyki”, w pośpiechu i chaotycznie. Gdzie indziej drwi ktoś z oficera, odpowiedzialnego za ćwiczenia w polu, który jakoby zajmuje się głównie paleniem ognisk i lepieniem bałwanów. Należałoby w takim razie zastanowić się, kto we współczesnym wojsku uczy się obsługi skomplikowanego sprzętu, który od czasu do czasu widzimy w telewizji na poligonach. Nasi bohaterowie koncentrują się w każdym razie głównie na regulaminowym ścieleniu łóżek, froterowaniu posadzek i zdrapywaniu paznokciami osadu z pisuarów. Wykład z wyszkolenia politycznego jest natomiast nie tyle próbą perfidnej indoktrynacji, co przykładem ogólnonaukowego bełkotu. Bełkot regulaminowo-biurokratyczny zawładnął zresztą formułowaniem myśli przez kadram oficerską we wszystkim, co dotyczy wojska. Albowiem w sprawach codziennych ludzie ci porozumiewają się między sobą językiem mniej więcej normalnym, tylko częściowo skażonym wulgaryzmami.

Tu jednak mam ochotę wziąć w obronę nieszczęsnych zupaków z Krainy Wielkich Jezior. Ich obsceniczny sposób wyrażania się niewiele różni się od słownictwa, jakiego używa dziś, w roku 1994, spory odsetek Polaków płci obojga, w rozmaitym wieku i reprezentujący o wiele szerszy wachlarz społeczny, niż to chciano by przyznać. Sam jestem co tydzień świadkiem wulgarnych rozmów i ochoczych pokrzykiwań na ludzi i zwierzęta domowe w środowisku skądinąd spokojnych, a nawet pocziwych rolników Beskidu Makowskiego i okolic Babiej Góry. Z przedziału służbowego, połączonego z kabiną maszynisty elektrowozu na trasie Kraków-Zakopane, z reguły niemal dobiegają pijackie wrzaski rycerzy żelaznego szlaku i odpowiednio surowe epitety. Wreszcie w biały dzień, w centrum starego Krakowa, na ulicy Grodzkiej widzę, jak elegancko ubrane grupki niespełna dwudziestoletnich dziewcząt o powierzchowności studentek, a nie kurtyzan, wesoło nawołują się przez jezdnię: cześć Zosia, co jest z tobą, kurwa?

Powiedzmy sobie otwarcie, że w ciągu powojennych lat schamienie polskiego społeczeństwa rozszerzyło się katastrofalnie. Wspomnijmy na koniec chociażby najnowsze polskie filmy, gdzie sadyzm, brutalność i przemoc wobec słabych, lub w hierarchii uzależnionych ludzi ma widza epatować sylwetkami tak zwanych „twardzieli”. Fabuła wojskowa staje się dla twórców tych obrazów ulubionym polem do prezentowania spraw i sytuacji, których eksponowanie jeszcze parę lat temu było zabronione. Idolem coraz młodszej widowni bywa tchórzliwa ludzka bestia, która dobiera sobie ofiary swojej agresji, by uniknąć jakiegokolwiek ryzyka. I w porę potrafi uciec.

Jest w książce Mariusza Paska fragment, który wygląda na mało autentyczny, wstawiony chyba dla zgrywy, a w każdym razie zagadkowy. Oto nadchodzi piątek i podchorążowie w sali jadalnej przeżywają dylematy. Na obiad dają mięso. Jeść? Nie jeść? Tyle tylko, że owe wątpliwości mogliby żywić wyłącznie praktykujący katolicy. Tym natomiast Kościół w Polsce już od wielu dziesiątków lat udziela dyspensy w spożywaniu mięsa w piątek, gdy nie posiada się wyboru. I zainteresowani wiedzą o tym powszechnie. Więc może autor usiłował trochę fabułę udramatyzować, przedobrzyć? A jeżeli w innych partiach książki także, to gdzie?

Mariusz Pasek załącza na koniec słowniczek paru terminów w żargonie wojskowym. Trepem jest tu żołnierz zawodowy, szwejmem pospolity żołnierz służby zasadniczej, a bażantem absolwent uczelni cywilnej, odbywający przeszkolenie oficerskie w ośrodku. Folklor wojskowy jest, jak dziś wiadomo, nader urozmaicony, podobnie jak subkultura rozmaitych grup formalnych i nieformalnych. Dziedziny te doczekały się już nawet poważnych studiów naukowych. Nie jest wszakże moim celem ani ambicją analizowanie tych zjawisk z punktu widzenia kulturoznawczego. Powtarzam: nie wiem na ile ponury przykład stosunków w siłach zbrojnych PRL u schyłku jej istnienia był wierny i w jakim stopniu mógłby dotrzeć do czasów dzisiejszych, to jest do połowy lat 90-tych. Na marginesie wspomnień Paska rodzi się natomiast inna refleksja. W wypadku prawdziwej wojny z przedstawionego przez autora środowiska szkoły artylerii przypuszczalnie co najmniej połowa kadry nie przeżyłaby pierwszych dni konfliktu. A spośród ocalałych wątpliwe, by ktokolwiek zdolny był do stawiania skutecznego oporu.

I jeszcze jedno. W kwietniu 1994 r. opublikowano w głównym dzienniku telewizyjnym dane z wiosennych komisji poborowych w całym kraju. Wynika z nich, że ponad połowa młodych mężczyzn pragnie uniknąć służby wojskowej. Motywuje to w pierwszym rzędzie notorycznym maltretowaniem i poniżaniem, jakie spotyka młodych żołnierzy ze strony ich starszych kolegów. Dopiero w dalszej kolejności wymieniano inne przyczyny. Skoro tak wygląda w odbiorze społecznym obraz polskich sił zbrojnych, to stan stosunków międzyludzkich panujących w wojsku skłania do pilnej i głębokiej refleksji.

Leszek DZIĘGIEL

Wiersze

Krzysztof JEŻEWSKI

KWARTET NA KRES CZASU

I.

I cóż nam pozostało? Ten spalony las,
Gdzie nic już nie jest sobą. Drzewo,
Co będąc drzewem przeczy drzewu.
Porosty, co kłamią porostom.
Jagody, co trują jagody.
I nie ma powrotu. Popiół zdławił
Słowo. Pierwsze słowo.
Nadchodzi zima czasu. Pod płatkami
Śniegu, w chłodzie zapomnienia,
Wygasną ostatnie niedotłęte pędy.

Czy więc proch i dym będzie naszą
Treścią? Mamyż budować z negacji?
Żeby choć trochę błękitu na zręby.
Nasz dzień się załamał
W pół drogi między mrokiem i jasnością.

II

Oto czas rozbicia
doba rozszczepienia
oto rozkład i rozpad
ludzkiego atomu
Oto jest rozdarte
to co niepodzielne

rozłamane
skruszone
zmiążdżone
co było pełne
rozburzone
co pięło się w górę
nadobłoczną kolumną
monolitem
ducha
Oto świat zdruzgotany
gasnący
oto człowiek
proch z prochu
rumowisko światła

III

I metal będzie władał wami:
Nie drzewa dłoń przyjazna,
dom jasny, gościnny,
nie drzewa obecność uważna,
ni drzewna cienistość
drzewna promienistość,
ni kość, ni muszla.

Metal. Podziemnych planet
obroty złowrogie,
żar martwy, tamta strona ognia,
klinga zimna i ostra,
kleszcze, szpony, szczęki,
zachłanne, zawrotne tryby,
co będą was szarpać i miażdżyć,
nękać i łamać niewzruszonym kołem,
aby oderwać was od treści waszej,
aż po ostatni szczebel
mrocznego cyklu,
aż do dna zagłady.

Bo podeptane, pogwałcone Prawo.
Zbuczczona liturgia. Domena profanów.
Wzniciła żywioł świętokradcza ręka.
Powraca huraganem burza minerału.

IV

Aż przyjdzie czas
gdy trzeba będzie zdać rachunek
z dzierżawy tych ogrodów
dotykalnego blasku
który zwaliśmy ziemią

Co wtedy powiemy Panu
w ów dzień żalości?
Że wierzyliśmy w moc
a było to charłactwo
w przepych i użycie
a były to łachmany
w wiedzę i rozum
a było to szaleństwo
w materię
a był to tylko kokon
ducha
że roztrwoniliśmy wszystko
spustoszyli
i wiodła nas
ciemność

Krzysztof JEŻEWSKI

Adam LIZAKOWSKI

TO CZEGO POTRZEBUJĘ

to czego potrzebuję
to wiersze
dużo wierszy
całe stopy wierszy
wagony wierszy
wiem gdzie wiersze się rodzą
słyszę nowonarodzonych płacz
wiem gdzie wiersze umierają
słyszę ich ciche konania
pomiędzy ich życiem a śmiercią

rozmawiam z nimi
 czasem spisuję rozmowę
 nie rozmawiam o tym z bogiem
 jestem nasieniem wiersza
 jestem płytą nagrobną wiersza

Chicago, październik 93

Adam LIZAKOWSKI

Edwin MUIR

PODRÓŻ WSTECZ

Przez niezliczone tułaczki,
 Przynaglenia, ociągania
 Z dała przychodzę.
 Miejsce na miejsce zmieniam
 Krokiem snem obciążonym,
 By znaleźć mój dom.

Noszę srebrne blizny
 Poblądłych śmiertelnie gwiazd
 Z dawna zapomnianych,
 Które swym przerożeniem
 Zasiały postrach wśród zmarłych
 I pieśń moją tknęły.

Dobrej hodowli zwierzę
 Pokryte złudną kolczugą
 Było mym przewodnikiem.
 Trzęsłem się w moim barłogu
 Z całym moim rodzeństwem,
 Gdy umarł smok.

Przez lasy szerokie i dzikie
 Szedłem i jako sen
 Była moja włóczęga.
 Zanim było po słowie,
 Z zwierzęco schyloną głową
 Trzymałem się praw.

Ja — nić przez świecący dzień;
 Góry, jakby we grze,
 W zawrotnych obrotach
 Kręcą mą drogą w krąg
 Tęgo gruntu nie widział nikt,
 Dla którego płonę.

Przez niezliczone tułaczki,
 Przynaglenia, ociągania
 Coraz bliżej dochodzę
 Krokiem snem obciążonym,
 By znaleźć tajemne miejsce,
 Gdzie jest mój dom.

Edwin MUIR
 przełożył Jan Kobayashi

Edwin Muir (1888–1959), szkocki poeta, pochodził z archipelagu Orkadów. Mieszkał w Glasgow, Londynie, Pradze i Cambridge.

Archiwum polityczne

Sojusz Atlantycki po upadku Muru

Kwestię niezależności obronnej Europy otworzył de Gaulle, który z doświadczeń drugiej wojny światowej wyniósł był pewną nieufność do amerykańskiego patronatu. Wytrwałe starania polityków francuskich doprowadziły do stworzenia załączków kontynentalnej siły zbrojnej w postaci francusko-niemieckich oddziałów o symbolicznej liczebności parę tysięcy żołnierzy. Upadek Muru na moment ożywił temat, aż przyszła wojna z Irakiem, a potem interwencje w Bośni, które ujawniły siłę amerykańskiego przywództwa, a ściślej rzecz biorąc wojskową i polityczną słabość Europy. Słabość tę uznać trzeba za dobrze wykalkulowaną postawę rządów zachodnioeuropejskich, które rychło zorientowały się, że ewentualne kłopoty związane z pełną emancypacją starego kontynentu po upadku komunizmu nie są warte utraty korzyści płynących ze sprawdzonego sojuszu obronnego. Silne i wielostronne więzi Ameryki Północnej i Europy Zachodniej nadają tej emancypacji znaczenie raczej ideologiczne, niż praktyczne — i ostatecznie rzeczywistym problemem wewnętrznym paktu atlantyckiego nie jest chęć rozluźnienia więzów, ale przeciwnie — formułowany przez wszystkie strony postulat silniejszego zaangażowania partnerów.

Trwałość wojskowego sojuszu Zachodu najlepiej może podkreślił prezydent Clinton, gdy w przemówieniu wygłoszonym na spotkaniu szefów rządów państw członkowskich NATO w styczniu 1994 roku zacytował słowa amerykańskiego komentatora Waltera Lippmana sprzed pół wieku: „pakt ten utrwali się w pamięci ludzi dłużej, niż trwać będą warunki jakie legły u jego podstaw, ponieważ uznaje on i

głosi wspólnotę interesów, która jest starsza niż konflikt ze Związkiem Sowieckim i — niezależnie, co się z tym ostatnim stanie — na pewno go przetrwa”.

Wspólnota interesów, o jakiej mowa, dotyczy atlantyckiego wymiaru obronnego sojuszu, który sprawdził się we wszystkich wojnach pomiędzy 1917 i 1994. Styczniowy Szczyt formalnie potwierdził konieczność amerykańskiego zaangażowania w sprawy Europy, zamykając krótkotrwałe spekulacje o końcu NATO.

Przyczyną trwałości sojuszu jest trwający nadal, a nawet pogłębiający się, zespół zagrożeń w świecie pękniętym na pół, w którym zamożna forteca atlantycka otoczona jest morzem ubóstwa. Kiedy z fortecy tej płyną głosy o potrzebie zachowania pokoju, są one z całą pewnością szczerze, jej dobrobyt bowiem nie wymaga terytorialnych ekspansji. Według nie nazwanej, lecz coraz wyraźniejszej doktryny prezydenta Clintona, bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych uzależnione jest od upowszechnienia rynku i wizję tę zdają się podzielać inne kraje zachodnie. Problem polega na tym, że dla zachowania swej kontroli nad mechanizmami światowego rynku Zachód trwa przy jego niezmiennych zasadach finansowych i handlowych, których skuteczność w odniesieniu do ubogich nie jest oczywista i w każdej chwili może zostać zakwestionowana przez nowych pretendentów do dobrobytu. Innym zagrożeniem pokoju są ruchy narodowe, dążące do zmian struktur państwowych utworzonych przed laty, często decyzjami wielkich mocarstw i według ich odległych interesów.

Zarówno materialne jak i narodowe rewindykacje stanowią potencjalne zagrożenie globalnego porządku, w którym układ atlantycki pełni dziś niepodzielnie kierowniczą rolę. W stosunku do tego zagrożenia forteca zachowuje swą zbrojną odrębność, natomiast dostosowaniu ulegają środki jej obronności. Chodzi tu o trzy zespoły zagadnień: rozszerzenie wpływów na Peryferiach, kontrola rozwijanych tam zbrojeń i gaszenie ognisk zapalnych. Są to sprawy wzajemnie przenikające się, z których — jak wierzchołek góry lodowej — na czoło wyłoniła się kwestia zbrojeń.

Broń nuklearna

Uderzająca łatwość, z jaką nuklearne republiki byłego Imperium poddają kontroli swoje arsenały, wynika z ich katastrofalnej sytuacji gospodarczej, która zmusza je do szuka-

nia pieniędzy za cenę rezygnacji z drogiej i niepewnej technologicznie atomowej operatywności własnych sił zbrojnych. Białoruś i Ukraina w zasadzie wyraziły zgodę na nuklearne rozbrojenie, Kazachstan obiecał to samo, tak przynajmniej twierdzi Komitet Planów Obronnych NATO w swym komunikacie z 9 grudnia 1993. Przypadki handlu materiałami rozszczepialnymi należą do sfery przestępczości gospodarczej, a emigracji rosyjskich fachowców zapobiega w pewnej mierze zatrudnianie ich w amerykańskich programach naukowych. Polityczny problem rozpowszechniania broni atomowej z terytorium upadłego giganta w zasadzie nie istnieje, jeśli podpisane dokumenty uznać za wiarygodne.

Pozwala to zająć się innymi terenami, z zastosowaniem środków dostosowanych do sytuacji. Korea Północna objęta została twardą metodą konfrontacji politycznej i wojskowej, lecz wynik tego zwarcia pozostaje jak dotąd niejasny. Mniej chodzi tu o możliwość koreańskiego ataku atomowego, bardziej o groźbę eskalacji zbrojeń nuklearnych w rejonie Azji wschodniej, jeśli koreańskie ognisko zapalne nie ulegnie rychłej pacyfikacji. Mamy tu do czynienia z wtórnym wykorzystaniem atomowego straszaka, gdzie eskalacja napięcia służyć ma osiągnięciu wymiernych korzyści dla zgranego reżimu. Jest to rodzaj ruskiej rulety, jaką usiłowała już rozegrać Ukraina, w przypadku Korei Północnej podniesionej na poziom rzeczywistego hazardu przez nie mającą nic do stracenia władzę. Kupując atomowe rozbrojenie Korei za pieniądze i polityczne gwarancje dla reducy komunizmu Stany ryzykowałyby stworzeniem niebezpiecznego precedensu dla politycznych awanturników całego świata, co utrudnia znalezienie rozwiązania zadowalającego obie strony.

Inaczej rozwinęła się sytuacja w Afryce Południowej, gdzie odstąpienie Pretorii od planów atomowych osiągnięto poprzez wielostronne zaangażowanie Zachodu w skomplikowany proces demokratyzacji kraju. Porównanie obu tych przypadków utwierdza rząd amerykański w przekonaniu o skuteczności integralnej opcji politycznej, która wiąże demokrację, prawa człowieka i rynek z kwestiami bezpieczeństwa wojskowego: stąd trwanie przy rewindykacjach demokratycznych w odniesieniu do Chin, których rząd ze swej strony przejawia najwyższe niezadowolone z takiego kursu, kulminując je parę miesięcy temu podziemną próbą atomową.

Przejęcie przez kraje Azji wschodniej roli atomowego przeciwnika Stanów Zjednoczonych jest może zapowiedzią konfrontacji na początku nowego wieku. Przygotowanie alter-

natywnego zaplecza w tym regionie nakłania Stany do gry dwuznaczej i pozornie niekonsekwentnej, np. gdy zabiegając o dialog z Pekinem Waszyngton sprzedaje jednocześnie Tajwanowi 150 myśliwców F-16. Manifestując gotowość zapobiegawczego ataku na instalacje atomowe, wyraźnie sugerowaną w konflikcie koreańskim, Stany nie zaniedbują jednocześnie możliwości wykonania karnej ekspedycji siłami lokalnymi. Manewr taki okazał się skuteczny na Bliskim Wschodzie, gdzie w latach osiemdziesiątych Izrael zniszczył iracką infrastrukturę atomową, bez czego wojna 1991 r. wyglądałaby zupełnie inaczej.

Groźba zbrojeń atomowych na Bliskim Wschodzie była powodem amerykańskiego zaangażowania w izraelsko-arabskie rozmowy pokojowe, które mimo aktów terroryzmu — a może dzięki nim — zmierzają do korzystnego rozwiązania. Przyszłość regionu określona być może przez wewnętrzne napięcia świata arabskiego, gdzie nieśmiałe reformy gospodarcze w nieunikniony sposób pociągną za sobą rewindykacje polityczne i społeczne, tworząc liczne ogniska lokalnych zatargów. Oddala to tradycyjną mobilizację wobec jednego wroga zewnętrznego i odbiera sens niebezpiecznemu i kosztownemu wysiłkowi atomowemu. Od strony politycznej sytuacja wyjaśniła się po myśli Stanów Zjednoczonych, które na długo wyeliminowały z gry Irak Husseina, stawiając na Syrię jako regionalną potęgę. Uderzeniem operacji *Desert Storm* w 1991 roku Stany Zjednoczone rozbiły w proch polityczną orientację regionu na ONZ, gdzie przez dwie dekady państwa arabskie tworzyły skuteczny blok antyamerykański. Odtąd Damaszek, tak jak i inne stolice Bliskiego Wschodu, gotów jest na wiele ustępstw dla zyskania przychylności Waszyngtonu.

Kontrolując doraźnie międzynarodową scenę atomową Stany przygotowują zarazem strukturę ustawodawczą porządku na dłuższą metę. Na rok 1996 przewidziany jest układ o całkowitym zakazie prób nuklearnych. Kolejnym środkiem ma być zakaz rozpowszechniania technologii balistycznych, którego skuteczność zwiększyć powinno zatrudnienie rosyjskiego przemysłu raketowego do wspólnych amerykańsko-rosyjskich projektów badania przestrzeni kosmicznej.

W dziedzinie zbrojeń atomowych Stany Zjednoczone wolą rozwijać kontrolę poprzez międzynarodowe układy wspierane siłą własnej polityki, co zapewnia Waszyngtonowi większą swobodę ruchów. Inną strategię przyjęły one w odniesieniu do zbrojeń konwencjonalnych.

Broń konwencjonalna

Międzynarodowy handel bronią podlega klasycznym prawom rynku. Od strony popytu upadek komunizmu stanowi raczej impuls stymulujący, ponieważ uwolnił on więzy tłumiące zadawnione waśnie i aspiracje. Poprzednio lokalne wojny miały często charakter konfliktów zastępczych kontrolowanych przez wielkie mocarstwa, które od bezpośredniego zwarcia powstrzymywała potęga własnego arsenału nuklearnego. Somalia, Angola, Mozambik, Indochiny, Afganistan, Nikaragua, to kilka przykładów dwustronnego dozbrajania podzielonych społeczeństw, wyrzynających się w imię równowagi strefy wpływów. Koniec konfrontacji bloków zakończył niektóre z tych wojen, ale liczba lokalnych zagrożeń wzrosła, ponieważ dynamika politycznych zmian w świecie umożliwia samodzielne zaangażowanie lokalnym zespołom wojskowym pracownicy uzbrajaniem przez lata zimnej wojny i dziś uwolnionym od kurateli planetarnych strategów. Masakra cywilów w Rwandzie dostarcza nowego przykładu odpowiedzialności kolonizatorów, którzy uzbroili jedną grupę etniczną przeciw drugiej. Niektóre z regionów rozwijają do końca logikę sterowanego handlu bronią, przechodząc do niekontrolowanej eskalacji: dotyczy to zwłaszcza Azji, skupiającej dziś 35% światowych zakupów broni¹.

Innym motorem popytu są kwestie prestiżowe, które obok konfrontacji Waszyngtonu i Moskwy były — i pozostają — ważnym impulsem zakupów broni. Po uzyskaniu przez byłe kolonie niepodległości żadna z około stu powstałych z niczego armii nie osiągnęła takiego poziomu operacyjnego, który odpowiadałby technologicznej sprawności dostarczanej im broni²; wyjątek stanowią tu wojska Półwyspu Indochińskiego. Tym niemniej posiadanie nowoczesnego uzbrojenia zdaje się być główną troską rządzących w licznych krajach Południa, którzy tym sposobem wzmacniają legitymizm swej władzy, kwestionowany przez samą istotę pokolonialnych struktur, ze sztucznymi nierzadko granicami i plemiennymi podziałami.

Wreszcie rosnącego znaczenia nabiera wewnętrzny popyt na broń w ubogich krajach Afryki i Ameryki Środkowej, ale także w Stanach Zjednoczonych, gdzie ilość broni palnej w rękach

1. *Revue de l'OTAN*, luty 1994.

2. J. Keegan: „A History of Warfare”.

kach prywatnych posiadaczy ocenia się na 220 milionów sztuk, a sklepy z bronią są liczniejsze, niż stacje benzynowe³.

Od strony podaży upadek Imperium doprowadził do kryzysu obfitości. Do połowy lat osiemdziesiątych amerykańskie źródła podawały, że największym handlarzem broni jest Związek Sowiecki. Miesięcznik *Spectrum* z listopada 1988 roku umieszczał go na czele listy z kwotą 16,9 miliardów dolarów nadwyżki eksportu nad importem broni za rok 1986. Stany zajmowały tu drugie miejsce, z siedmiomiliardowym saldem. *Spectrum* przyznało szóste miejsce Polsce z 450 milionami nadwyżki. Uprzywilejowanie Moskwy w tej statystyce wynikało ze specyfiki okresu konfrontacji. Rosjanie kredytowali dużą część swego transferu, do dziś nie mogą odzyskać swych wierzytelności. Z drugiej strony CIA opierała swe obliczenia o zdjęcia satelitarne, do otrzymanych informacji ilościowych stosując własne ceny: wartość handlu sowieckiego ulegała zawyżeniu, co dostarczało wojskowym amerykańskim poważnego argumentu przy zwracaniu się do Kongresu o dodatkowe środki. Po politycznym upadku Imperium wyszły na jaw handlowe braki oferty Rosjan, którzy mimo bezkonkurencyjnej ceny nie są w stanie sprzedać swej najbardziej technicznie zaawansowanej produkcji. Mimo, że niektóre wyroby — na przykład karabiny Kałasznikowa — nadal sprzedaje się nieźle, nawet na rynku amerykańskim, to statystyki nie ukrywają już silnej przewagi Stanów Zjednoczonych. Francuski biuletyn NATO z lutego br. podał, że w roku 1993 zrealizowały one połowę światowych dostaw, inkasując 30 miliardów dolarów. To samo źródło podaje, że francuskie dostawy dla trzeciego świata sięgnęły w ostatniej dekadzie 60% francuskiej pomocy dla tych krajów.

Nowa podaż ze Wschodu nie jest zapewne w stanie odwrócić ogólnych tendencji rynku, zdominowanego przez handlarzy zachodnich, zwłaszcza że — tak jak i w innych dziedzinach — jej piętą achillesową są części zamienne i obsługa. Może ona jednak wywołać konkurencyjne napięcia poprzez niską cenę. Zakłóca ona także łamigłówkę porządku globalnego, którego polityczne imperatywy kierują zamówienia sojuszników USA ku wytwórcom amerykańskim, a wówczas państwom byłego Imperium pozostają jako klienci źle dziś widziane dyktatury. Najnowszym przykładem wynikającego stąd konfliktu jest informacja Reutera o przygotowywanym proteście amerykańskiej administracji wobec władz

3. *CBS Evening News*, marzec 1994.

Polski w sprawie dostarczania sprzętu wojskowego reżimowi w Birmie. Według wydawanego w Brukseli *World Defence Almanach*⁴ kraj ten posiada 30 śmigłowców amerykańskich i 10 francuskich, do czego doszło kilkanaście helikopterów dostarczonych przez Polskę. Wobec możliwości dalszych dostaw z Polski rząd amerykański miałby być gotów do rozwinięcia argumentów z dziedziny politycznej moralności, która potępiła popieranie krwawych dyktatur.

Od strony politycznej konflikt polsko-amerykański ujawnia wewnętrzne sprzeczności sterowanego porządku na świecie, gdzie Centrum skłonne jest do dzielenia się zasadami moralnymi, ale niekoniecznie źródłami zysku, natomiast aspiracje Peryferium są dokładnie odwrotne.

Sposoby kontroli

Rozproszone zbrojenia konwencjonalne, które długo nie niepokoiły światowych menedżerów zajętych nuklearną konfrontacją, stają się zagrożeniem globalnego porządku, głównie poprzez wywoływanie masowych ruchów emigracyjnych po wybuchu lokalnego konfliktu. Nie opanowana emigracja polityczna i gospodarcza stanowi koszmar społeczeństw zamożnych i wszystko co do niej prowadzi oceniane być musi jako bomba o opóźnionym zapłonie. Co więcej, czysto handlowe kryteria eksportu obracają się niekiedy bezpośrednio przeciwko interesom krajów eksportujących: z taką sytuacją mieliśmy do czynienia, gdy przedsiębiorstwa amerykańskie, brytyjskie i niemieckie dozbierały Irak przed wojną w Zatoce, gdy po upadku Imperium Rosjanie sprzedali Chińczykom samoloty bojowe, a Węgrzy — 10 tysięcy karabinów typu kałasznikow dla Chorwacji. Interesującego przykładu reorientacji wojskowej dostarcza Afganistan, skąd Amerykanie usiłują dziś wykupić kilkadziesiąt ręcznych wyrzutni Sting, przekazanych partyzantom w czasie wojny z Rosjanami. Mudżahedini nie wykazują tymczasem ochoty wyzbycia się cennego sprzętu i Amerykanom pozostają obliczenia, na jak długo wystarczą baterie zasilania⁵. To cały czar geopolityki o powtarzalnym mechanizmie ryzyka: niedawno Stany rozpoczęły dostawę dla Korei Południowej słynnych z wojny irackiej wyrzutni raketowych typu Patriot, przypuszczam, że bez zamiennych baterii.

4. *Czas Krakowski*, 29.03.1994.

5. *CBS Evening News*, marzec 1994.

Kontrola zbrojeń wpływa na czoło zadań polityki wojennej Zachodu, ponieważ w czasach zwycięskiego rynku wszystko — także i globalny porządek — podlega urynkowieniu. W tych warunkach pierwszą reakcją na wzrost zagrożeń jest próba nadzoru wymiernych, choć często wtórnych, czynników międzynarodowego napięcia, jakimi są produkcja i handel bronią. Chodzi również o stronę finansową własnych zbrojeń. Nowoczesne środki rażenia, łączności i zapobiegania są tak kosztowne, że eksport staje się warunkiem amortyzacji wszelkich inwestycji produkcyjnych. Chcesz się zbroić, sprzedaj swą broń, głosi nowoczesna odmiana rzymskiej zasady — chcesz pokoju, gotuj wojnę. Proste prawa rynkowe nakładają potentatów do zapobiegania o wyłączność handlu, albo przynajmniej jego dominację — a do tego struktura NATO wydaje się narzędziem idealnym, ponieważ umożliwia stawianie warunków krajom aspirującym do członkostwa. Nieoczekiwane upadki komunizmu dostarczył systemowi atlantyckiemu potężnego zastrzyku inwencji i motywacji.

Najwyraźniej określił to amerykański senator McCain w kwietniu 1993 roku, sugerując opracowanie przez NATO procedur zarządzania całym światowym handlem bronią. Jego zdaniem powinny one brać pod uwagę wpływ każdego transferu na równowagę wyścigu zbrojeń i rozwój istniejących konfliktów. Temat rozwinięty został w cytowanym powyżej artykule Michaela Pugh'a w lutym numerze *Revue de l'OTAN*, który trudno uznać za trybunę prywatnych poglądów. Autor sugeruje, by EWG postawiła jako warunek dopuszczenia wschodnioeuropejskich pretendentów do Wspólnego Rynku zgodę na kontrolę handlu uzbrojeniem. Tym sposobem postawiono kropkę nad i: podporządkowanie się NATOwskiej strategii nie zapewni jeszcze przyjęcia do paktu wojskowego, natomiast może być warunkiem wstępnym integracji gospodarczej. Jest to zgodne z logiką opłacalności ryzyka. Zachód gotów będzie do obrony terytorium nowych sojuszników wówczas, gdy uzasadniać to będą zaangażowane tam kwoty. Pewne światło rzucić tu może terytorialna gradacja zachodnich inwestycji, które w skali rocznej wynoszą wiele dziesiątków miliardów dolarów w byłej NRD, kilka miliardów dolarów w Polsce, na Węgrzech, w Czechach i Słowacji, a kilkadziesiąt milionów na Litwie.

Dla skutecznego nadzoru nad handlem bronią konwencjonalną NATO przygotowuje całą sieć powiązań z ponadnarodowymi instytucjami. Obok wspomnianej propozycji Pugh'a, która przyznałaby Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej kon-

trołę transferów sprzętu wojskowego, rozwijana jest symbioza z Organizacją Narodów Zjednoczonych. W roku 1993 utworzyła ona rejestr broni konwencjonalnych, mający na celu dobrowolną przejrzystość handlu bronią. *Revue de l'OTAN* z lutego bieżącego roku przynosi sugestię nacisku dyplomatycznego ze strony państw Zachodu na RPA, Pakistan, Indonezję i Tajwan, które nie ratyfikowały tej inicjatywy.

Wreszcie w akcjach terenowych obie organizacje działają od trzech lat wspólnie, z polityczną przykrywą ONZ i wojskowym wykonawstwem NATO. W większości przypadków faktyczne przywództwo spoczywa w rękach rządu Stanów Zjednoczonych. Problem jednak polega na tym, że administracja prezydenta Clintona waha się przed nadmierną odpowiedzialnością, nauczona doświadczeniem prezydenta Busha, któremu wyborcy odmówili poparcia w przekonaniu o nadmiernym zaangażowaniu w sprawy międzynarodowe. W tej sytuacji Amerykanie opracowali nową koncepcję wojskowej odpowiedzialności krajów peryferyjnych pod nadzorem Paktu Północnoatlantyckiego.

Partnerstwo dla pokoju

Kontrola zbrojeń i handlu wojskowym sprzętem może być skuteczna pod warunkiem zwiększenia wpływów NATO w innych krajach. W zasadzie może to również zwiększyć skuteczność Organizacji w zarządzaniu lokalnymi konfliktami. Nadzwyczajne parcie z zewnątrz na wejście w skład struktur NATO umożliwiło nową inicjatywę, którą uznać można za prawdziwy majstersztyk geopolityki pierwszego okresu po upadku komunizmu.

Dokument kadrowy Partnerstwa dla Pokoju, podpisany przez szefów rządów NATO 11 stycznia br., potwierdza nadrzędny cel nowej inicjatywy, jaką jest obrona pokoju w strefie północnoatlantyckiej. Ponieważ nie jest on możliwy bez współpracy z krajami zewnętrznymi, powołuje się zatem nową strukturę, do której zaproszone jest każde zainteresowane państwo. Warunkiem wstępnym jest zgodność ustroju i obyczajów z założeniami demokracji, prawa międzynarodowego, Karty Narodów Zjednoczonych, Deklaracji Praw Człowieka, Aktu Końcowego z Helsinek oraz układów rozbrojeniowych w dziedzinie broni nuklearnych, chemicznych i biologicznych.

Państwa nowo przyjęte zobowiązują się do ujawnienia pla-

nów i budżetów wojskowych, zapewnienia demokratycznej kontroli nad swymi siłami zbrojnymi, zgromadzenia środków do wspólnych akcji, rozwinięcia współpracy wojskowej z NATO, a na dłuższą metę — stworzenia siły zbrojnej zdolnej do operacji wespół z wojskami Paktu Atlantyckiego. Państwo aspirujące do członkostwa dostarczy dokumentów wykazujących zaangażowanie na własny koszt w realizację powyższych celów, po czym NATO określi indywidualny plan współpracy. W Mons (Belgia) powstanie podlegające Radzie NATO biuro koordynacyjne, dokąd nowi członkowie Partnerstwa mogą wysłać oficera łącznikowego. Co się tyczy celów ściśle obronnych, NATO deklaruje gotowość konsultacji z każdym, kto poczuje się zagrożony.

Od strony ściśle wojskowej Partnerstwo stanowi pokojową formułę bezwarunkowej kapitulacji w stosunku do NATO. Atrakcyjność formuły wynika z założenia, że północnoatlantycka forteca jest jedynym na planecie ośrodkiem, który dysponuje pełnią warunków skutecznego przywództwa: siłą wojskową, potęgą gospodarczą i niezagrożonym ustrojem demokratycznym, a przy tym nie rości pretensji terytorialnych i nie głosi niebezpiecznych ideologii. W tych warunkach oddanie własnych sił do dyspozycji NATO bez otrzymania w zamian jakichkolwiek gwarancji stanowi formułę warunkowych i hipotetycznych korzyści na długą metę. Tymczasem nowe demokracje głoszą pilność swych potrzeb dnia dzisiejszego.

W grę wchodzi odczucie trojakiego zagrożenia: możliwego odrodzenia rosyjskiego imperializmu, zaognienia problemów narodowościowych i granicznych Europy Środkowo-Wschodniej oraz obawa o utrwalenie gospodarczego podziału Europy, czemu przeciwdziałać może wejście w skład wszystkich możliwych struktur zachodnich, a w tym i NATO.

Sprawy gospodarcze z pewnością odgrywają wielką rolę w sojuszach wojskowych, ale dopiero wówczas, gdy realnie istnieją, same życzenia nie zasłużą tu na uwagę sztabów generalnych. Co się tyczy zagrożeń lokalnych, to przykład wojny w Bośni wskazuje na nieskuteczność zewnętrznego patronatu, jeśli sami zainteresowani nie potrafią się obronić lub ułożyć stosunków z sąsiadami. Gdy chodzi o rosyjski imperializm, to możliwość opanowania przezeń sceny politycznej odpowiada czarnemu scenariuszowi pełnego niepowodzenia reform, który — aczkolwiek radykalnie przyspieszyłby integrację Europy Środkowej w ramach Paktu Atlantyckiego — jest oczywiście najmniej pożądaną opcją. Odpowiedzią na rosyjskie zagrożenia powinna być realna współpraca z Rosją,

zarówno ze strony Zachodu, jak i nowych demokracji. Nacjonalistyczne zagrożenie rosyjskie wiele ma wspólnego z reakcją dotkliwie rozczarowanych Rosjan, którzy dochodzą do wniosku, że słabe, nikomu nie zagrażające Imperium nie jest nikomu potrzebne.

Obawy Rosjan o programową izolację ich kraju są raczej nieuzasadnione. Zachód, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, potrzebują Rosji do pełnienia funkcji żandarma w stosunku do byłych republik sowieckich oraz ewentualnego współdziałania w przypadku zagrożeń płynących z Azji, szczególnie gdyby w Chinach zaczęły masowo narastać regionalne konflikty. Z drugiej strony sprawna i przyjazna Ameryce Rosja stanowiłaby przeciwwagę dla rosnącej na kontynencie potęgi niemieckiej. Praktyczny wniosek dla krajów wyszehradzkiego wielokąta oznacza konieczność zwiększenia własnego znaczenia w dziedzinie politycznej, gospodarczej i wojskowej, jeśli chcą one czynnie decydować o tym, czy graniczą z rosyjską strefą wpływów, czy też wchodzą w jej skład. W świetle powyższych rozważań bowiem wyłania się możliwość zachodniej strategii zmierzającej do utworzenia dwóch sfer wpływów: atlantyckiej z krajami Europy Środkowej oraz rosyjskiej z republikami byłego Imperium, sfer w założeniu swym nieantagonistycznych lecz odpowiedzialnych za porządek wojskowy we własnym obszarze. Atlantycka strefa wpływów przy tym niekoniecznie musi oznaczać pełną integrację Europy Środkowej w ramach NATO, bardziej prawdopodobny jest luźny jej związek w obrębie Partnerstwa, ponieważ „miękki” sojusz z geograficzną strefą przejściową ułatwiłby taktyczny związek NATO z obszarem wielkiej Rosji.

Odpowiedź NATO na integracyjne pragnienia wschodnich rządów jest lekcją realizmu w stosunku do złudzeń spowodowanych przez uproszczone formuły. W szeregi zamierzalnych nie wstępuje się jak do *night clubu* i proste podpisanie dokumentu nie może być hasłem rozsądnych polityków. Tak jak w gospodarce i polityce, również w sferze obronności kraju emancypacja oznacza długotrwały proces obejmujący wszystkie dziedziny. Chodzi tu o rozwój politycznej koncepcji współżycia z sąsiadami, raczej niż ucieczkę przed nimi w ramiona odległych dobrodziejów, a także podnoszenie poziomu techniki i operatywności własnych sił, raczej niż zabieganie o instalację wyrzutni Patriot, nawet z zaściankami bateriami.

Robert KACZMAREK

Szansa dla pokoju

2 maja 1994. Wyniki głosowań w siedmiu z dziewięciu prowincji Południowej Afryki oznajmiają zwycięstwo Afrykańskiego Kongresu Narodowego.

Apartheid systemowy przestaje istnieć.

Mandela zapytany przez dziennikarzy, co — w obliczu śmierci — będzie uważał za największą satysfakcję swego życia, odpowiedział: „... to, że mogłem pracować w tej fantastycznej grupie, która doprowadziła do zakończenia *apartheidu*”.

Pięć lat temu rządząca Partia Narodowa decyduje, że wobec niepowodzenia systemu segregacji rasowej, jej naczelnym zadaniem będzie nie jak dotychczas obrona przywilejów Afrykanera, lecz obrona cywilizacyjnych wartości państwa, poprzez przesunięcie punktu ciężkości z rasowości na jakość rządu tudzież na rozszerzenie demokracji włączając czarnych współziomków do społeczeństwa na jednakowych prawach obywatelskich.

Dr G. Viljoen powiedział wówczas: „Ryzyko jest wielkie. Ale musi się powieść. Wierzę, że w końcu wszystkie grupy ludnościowe, łącznie z białą, będą czuły, że warto i jest możliwe tutaj żyć”.

Dlaczego złe przykłady innych krajów Afryki, wolnych od białych rządów i wszystkiego z tym związanego — zrzuconą gospodarką, utratą wiarygodności narodowej i politycznej tożsamości — miałyby być przykładem dla przyszłości Republiki Południowej Afryki? Czarni obywatele Południowej Afryki — w porównaniu z resztą kontynentu — widzą odmienną sytuację w ich państwie ponieważ w przedwyborczej gorączce nie wykrzykiwali sloganów: *Boer go home*, lecz *Kill the Boer*. Wiedzą bowiem dobrze, że biały Bur należy do Afryki i jego *home* jest tam, gdzie *home* czarnego. Z każdego innego kraju w Afryce, Białego, jako kolonialistę, można było wyrzucić, ale nie z Południowej Afryki. Kolonialista mógł wrócić do „siebie”, bo utożsamiał się nie z Afryką, ale z krajem, z którego przybył. On Afrykę kochał, cenił sobie styl życia, opiekował lub nie Czarnym, pisał książki, ale nie stwarzał niczego nowego, gdyż próbował żyć w Afryce po europejsku, przenosząc doń wzorce znane mu z odległego *home*. Bur zaś, tu w Afryce, jest „u siebie”. Bur utożsamia się z Afryką.

W jego żyłach płynie 7,2% krwi już nie-białej. Jego tradycję, język, sposób myślenia i wygląd fizyczny ukształtowały pustkowie gorących łąk i suchego buszu Afryki, na południe od zwrotnika Koziorożca, oraz współobecność na nich brązowego i czarnego człowieka. Bur pozostałby na wieki hołotą niderlandzką, zbiegłym Hugenotem, czy *born little backworth* Anglikiem, gdyby afrykańskiego buszu i ludzi nie potraktował jako powołania swego życia, gdyby nie oderwał się od swej europejskości. Dlatego dziś nazywany jest Białym Plemieniem Afryki.

Biali Południowoafrykańczycy także widzą odmienność sytuacji w swym kraju: to jest ich ziemia, do życia na której Bóg ich powołał i innej ziemi nie ma. Znakiem od Boga, że właśnie tak jest, było zwycięstwo w bitwie z Zulusami nad rzeką Ncoma 16 grudnia 1838 roku. Natchnieni Starym Testamentem przysięgli wówczas Bogu: „jeżeli ochronisz nas i wydasz wroga w nasze ręce będziemy święcić ten dzień jako Dzień Przymierza przez wszystkie pokolenia”.

Tradycją Afryki jest dzielenie się. Tradycją Europy własne ja. Afrykańczyk nie gromadził rzeczy, nie posiadał ziemi, nie polował dla siebie, nie decydował sam. Wszystko należało do grupy plemiennej a odpowiadał za nią i decydował wódz. Afrykańczyk dzielił wszystko z innymi, żył w ciżbie i za nic indywidualnie nie odpowiadał. Jego tożsamość stanowiła przynależność plemienna. To dawało mu poczucie bezpieczeństwa. Kontrola nad danym terytorium była odzwierciedleniem siły plemienia, zaś siłą — lojalność wobec wodza.

Bur gromadził rzeczy, posiadał ziemię na swój użytek, polował dla siebie, decydował sam. Wszystko, co wypracował należało do niego, odpowiadał sam za siebie, żył w zgodzie z samym sobą i jak najdalej od swego pobratymca. O jego tożsamości stanowiła posiadana ziemia dająca mu poczucie wolności, a o sile — przywiązanie do niej.

Przegrana w 1838 wojna Zulusów z Burami oznaczała przegraną wszystkich Czarnych: Venda, Xosa, Tswana itd., co równało się utracie prawa do ziemi, a w konsekwencji utracie tożsamości, bowiem wraz z utratą ziemi rozproszeniu uległa grupa plemienna a z tą siłą i poczuciem bezpieczeństwa. W ten sposób zapoczątkowany został proces tworzenia się mas czarnych robotników rolnych i proletariatu miejskiego.

Biały kolor skóry zaczął oznaczać obywatela pierwszej klasy posiadającego indywidualność i tożsamość.

Tak jak Czarny został poniżony przez Bura nad rzeką

Ncoma, tak kilkadziesiąt lat później Bura poniżył Anglik, zwyciężając go w wojnie o dominację nad bogatymi w minerały ziemiami republik burskich. Utrata niepodległości, śmierć szóstej części swej ludności, wyniszczenie farm zmusiło Bura do szukania ratunku w mieście dając początek białemu proletariatu tzw. *poor whites*.

Ale, w przeciwieństwie do Czarnego, Bur, jako biały, nie stracił prawa do ziemi, nie stracił prawa do stanowienia o sobie samym. Nade wszystko nie stracił tego, czego jego czarny współziomek nigdy nie posiadał — indywidualności. Wrogiem Bura nie był już Czarny, który w dzieciństwie był mu towarzyszem zabaw, a następnie kolegą czy podwładnym w pracy w kopalniach i gdziekolwiek indziej. Wrogiem Bura był Anglik, który traktował go jako mniej wartą istotę i który, jako biały człowiek, dopuścił się rzeczy gorszej niż Czarny: w obozach koncentracyjnych uśmiercił 18 000-28 000 afrykanerskich kobiet i dzieci.

Ale gdy Bur, wpatrzony w przykład Niemiec, odradzających się po upadku 1918 roku, dźwignął się na wyżyny rządzenia krajem w 1948 roku, doprowadzając do jego niezależności od Korony Brytyjskiej w 1961, Czarny jedynie rozrósł się w miastach jako masa robotnicza i, jeszcze za czasów rządów angielskich, a z inicjatywy Ligi Narodów, przypisany został do ziemi zwanej *homelandem*.

Homeland, według Ligi Narodów, miał służyć odbudowaniu zagubionej tożsamości. Nazywany był „ziemią plemienną”, co w europejskim rozumieniu znaczyło „ziemia ojczysta”. Tymczasem Czarny nie posiadał ziemi innej niż zasiedzianej. Do ziemi był przywiązany tak długo, jak długo mógł czerpać z niej korzyści. Gdy wyniszczone pastwiska zmieniały się w pustynie, bez żalu porzucał chaty, ziemię i pędził swe krowy i ludzi dalej. Do krainy mlekiem i miodem płynącej, a kiedy takową znajdował, zatrzymywał się. Czas pokazywał na jak długo a nie planowanie czy przywiązanie. Tak żył zawsze. *Homelandy* służyły separacji Czarnego od Białego i Czarnego od Czarnego, a nie tożsamości. Rozproszenie Czarnych i możliwość usunięcia ich „dokądś” sprzyjały spokojowi w Republice, zaś nieustanne przemieszczanie się ich pomiędzy miastem, czyli miejscem pracy kontraktowej a „ziemią plemienną” zapobiegało odbudowie tradycyjnej tożsamości Czarnego opartej na autorytecie wodza. Afrykańczyk z RPA na pytanie: skąd jesteś? odpowiada nazwą miasta — Soweto, Aleksandra, Kagiso etc., a nie np. Ciskei, Venda etc. Na pytanie: kim jesteś? odpowiada imieniem plemienia —

Zulu, Xosa, Tswana etc. a nie np. Ciskejczykiem, Venda etc. czy nawet Południowoafrykańczykiem. Dzisiejszy Afrykańczyk z RPA głównie jest człowiekiem miejskim.

Tak, jak kiedyś dla Bura przejęcie władzy w państwie było jednoznaczne z wyjściem z biedy i poniżenia, tak i obecnie nauczył się myśleć jego Czarny kraj. Głosował przede wszystkim na ANC i Mandelę, gdyż zapewnia to odmianę sytuacji — rządu „sprawiedliwe”. Sprawiedliwe według czarnej ludności. Wódz Zulusów, Buthelezi, nie ufa czarnej sprawiedliwości społecznej. Takich przykładów nie ma w Afryce. Jedyłą sprawiedliwością jest wycięcie w pień lub podporządkowanie sobie tych, którzy w biegu do władzy odpadli. Jego impis tępią Xosa od paru lat. Bo Xosa to ANC, a ANC to władza nad mieszkańcami RPA czyli i nad Zulusem. Xosa nigdy nie zwyciężył Zulusów więc rządzić nimi nie może. Ale niestety rządzić będzie. Kwietniowe wybory, usuwające ostatni rząd biały w Afryce, wygrał wszak ANC. Zulusi wojny domowej nie rozpoczną z tego powodu. Wódz Buthelezi w ostatniej chwili dołączył jednak swą Inkathę do wyborów rozumiejąc dobrze, że nie bojkot lecz uczestnictwo da mu zachować ważkość głosu, pozwoli „uchronić” Natal od bezpośredniej kontroli Xosów (Inkatha zdobyła tam 50 % głosów), zapewni twórczy udział w formowaniu nowej RPA. Oficjalnie zaś mówił, że przyłączając się do elekcji „ratuje Południową Afrykę od zniszczenia rywalizacją o władzę dwóch partii”.

Bo ANC, według sceptyków, stanie przed wielką pokusą: pokusą wykazania siły, grabienia kraju i pokusą zduszenia opozycji, rewanżu.

ANC to partia, której członkami w olbrzymiej większości są Czarni i za tę „czarność” otrzymała zwycięskie poparcie. Ale jako partia rządząca kogo faktycznie będzie reprezentować? Xosów? Czarnych? Biednych? Pokrzywdzonych? Socjalistów? Komunistów?

Wódz Buthelezi wierzy mocno w federalizm w rozwiązaniu problemu RPA, bowiem zapewniłoby to rozkład sił potrzebny przyszłej stabilizacji oraz konkurujące centra polityczne mogące zapobiec niebezpieczeństwu centralizmu lewicowego czy prawicowego. Dlaczego więc wódz wieciekl i wycofał swą partię z rozmów ustalających parę miesięcy temu punkty tymczasowej konstytucji, dlaczego nie chciał przystąpić do wyborów?

Bo nikt go nie słuchał. Twierdził, że nie można sobie pozwolić na rząd, który powtórzy błąd typu *apartheid*-

monolit i uważał, że właśnie dlatego ANC odrzuca federalizm jako przeszkodę w stworzeniu tego typu rządu. Według niego centralistyczny rząd ANC pod płaszczykiem „rekonstrukcji narodowej” sprowadzi wszystko do jednakowości, Narodową Partię, z którą ułożył się o podział władzy, zredukując do li tylko protestów, a prawdziwa wolność będzie iluzją. Ostrzegał przed groźbą białej prawicy, której możliwość destabilizacji kraju jest lekceważona. Ale dlaczego wodza nikt nie słuchał? Błędem wodza, za który zapłacił pominięciem go przy Nagrodzie Nobla, było zwalczanie w negocjacjach konstytucyjnych ANC. A przecież to on był jedynym czarnym przywódcą, który głosił stale potrzebę rozmów i konieczność zaniechania terroru.

Czarni z RPA nigdy nie zarządzali żadnym państwem. Ich elita z ANC i SAPC, pretendująca do władzy w nowej Południowej Afryce, nigdy nie była ani demokratyczna ani liberalna. Była rewolucyjna. A rewolucjoniści tworzą myśl o wolności, i ją propagują, ale człowiekowi wcale o wolność nie chodzi. Wolność to samotność, wolność to indywidualizm, odpowiedzialność za siebie, podejmowanie decyzji. A o co właściwie chodzi w RPA? O wolność czy o równość? Równość potocznie w świecie znaczy „tak samo”. I tego chce Czarny Południowoafrykańczyk — równości jako tożsamości z Białym, czyli jego zamożności, szkoły, swobody ruchu, płacy i pracy. I Bur miejski w większości godzi się na to. Nie godzi się na to jedynie Bur wiejski, który obawia się utraty ziemi. A jednocześnie obawia się wolności, w której już nie będzie chroniony przez państwo, dzięki czemu czuł się silny i bezpieczny. Demokrację zawsze pojmował jako równość wewnątrz klasy, którą zaokrąglił do rasy.

Dziś 80 % Burów żyje w miastach (w 1946 — 40 %), w większości dostatnio, a wielu jako milionerzy. Natury nie zmienili, ale zmienili stosunek do czarnego lokatora RPA. Uznają jego obecność na wyższym czy podobnym stanowisku, zamieszkiwanie po sąsiedzku, jądanie w tej samej restauracji, leżenie w tym samym szpitalu itp. Wreszcie Afrykaner zaczyna dostrzegać, że problem w jego kraju to nie rasowość lecz klasowość.

Inkatha uważała, że nic nie stało na przeszkodzie, by ostateczny kształt konstytucji ustalić teraz, do końca 1994 roku i poddać jej treść, poprzez referendum, do akceptacji obywateli. „Nie ma powodu do czekania latami na demokrację, jeśli można ją mieć teraz. To nonsens, by organizować wybory partii, która ma ustalić Konstytucję Narodową RPA.

Dać 51% głosów do zdobycia w wyborach, aby mieć wolną rękę w ustaleniach ostatecznych nad przyszłością państwa to gra o władzę, a nie o dobro obywateli” (dr G. Woods, Inkatha Institut for SA).

W rzeczywistości tzw. Konstytucja na czas przejściowy (tymczasowa) dająca demokratyczną podstawę do kwietniowych wyborów jest porozumieniem zawartym pomiędzy dwiema partiami, obu autorytarnymi z przyzwyczajenia i konformistycznymi z ducha, którego celem jest podział władzy między siebie.

Wódz Buthelezi oponuje temu układowi podając przykład Zimbabwe jako odstraszący, gdzie prezydent Mugabe gwarantował 10 lat białej reprezentacji w parlamencie, po czym przeszedł do rządów jednopartyjnych, a obecnie próbuje wysiedlić białych farmerów z gospodarstw.

Mniejsze partie południowoafrykańskie, DP, FP, PAC, ADM, nie ufając ANC, wiedząc, że przegrają wybory starały się o zapis swych idei przed 26 kwietnia. Uważają, że ANC odrzuci Konstytucję na czas przejściowy, by rządzić dekretami (na co zezwalają ustalenia tejże konstytucji), co być może da rozwiązanie na krótki czas, ale w konsekwencji doprowadzi Federalną Republikę Płd. Afryki (tak ewentualnie ma się nazywać RPA w okresie „przejściowym”, czyli do 1999 roku) do stania się „drugą Nigerią”.

Nie ufają układowi ANC-NP biali ekstremiści. Ongiś AWB (Afrykanerski Ruch Oporu) był wyłącznie organizacją burską, obecnie od zaledwie półtora roku 60% jej członków stanowią tzw. anglojęzyczni biali. Jej szef, TerreBlanche, głosi na zebraniach rekruckich: „AWB walczy o zachowanie i przetrwanie białego człowieka w tym kraju — niechby był Grekiem, Portugalczykiem, Francuzem czy Anglojęzycznym”.

Czy tylko rzeczywiście o „zachowanie i przetrwanie” chodzi? I skąd ta popularność AWB wśród nie-Burów? Chodzi o zapewnienie sobie kontynuacji najwygodniejszego życia jakie białemu, mądrymu i głupiemu, demokratycznie po równo zapewniał *apartheid*. Z tego korzystały wszelkie nacje białe, chętnie od końca lat 1960-ch przyjmowane w poczet obywateli RPA. Polakom przybywającym do RPA aż po ostatnie lata nigdy *apartheid* nie przeszkadzał. Wręcz pomagał, jak innym, w dobrym samopoczuciu. Raczej przeraża, rozczarowuje, niepokoi jego demontaż. Lepiej się do AWB w uludzie, że wymuszą czy wywalczą biały *homeland* dla którego mają już nazwę — *Volkstaat*.

AWB odmówiło udziału w głosowaniu. W południowo-

afrykańskich wyborach nie chodzi tylko o władzę czy wyzwolenie ze starego albo o opór w stosunku do nowego porządku. Chodzi także o to, kto będzie miał decydujący wpływ na zapis ostateczny przyszłej Konstytucji Narodowej.

Wybory 1999 zależą od tego o ile i jak poprawi się życie obecnych wyborców. ANC zdaje sobie z tego sprawę i dlatego nie zmniejsza się ilość białych biurokratów czy białych zawodowców w wojsku — ANC nie może pozwolić sobie na rewoltę wewnątrz rządu czy w armii. ANC także nie jest w stanie zastąpić białych wysoko kwalifikowanych fachowców czarnymi, bo ich po prostu brak. (Poza tym żaden poważny inwestor nie zaufa już w Afryce rządowi wyłącznie czarnemu, którego jedynym doświadczeniem jest rewolucja i więzienie).

Po raz pierwszy powodzenie rządzącej partii i jej przeciwników zależeć będzie — niemal wyłącznie — od umiejętności zaspokojenia podstawowych potrzeb wszystkich mieszkańców RPA.

Obejmujący obecne rządy Nelson Mandela musi pamiętać o Robespierre, który spod gilotyny zawołał do tłumu: „dałem wam wolność, a teraz chcecie chleba!”.

Pokojowa Nagroda Nobla to honor, który spada na kraj z problemami, ale nie na taki, gdzie pokój jest faktem. Celem wspólnej Nagrody Nobla dla De Klerka i Mandeli było uznanie dla ich nadzwyczajnych wartości, które pozwoliły im wznieść się ponad małośćkowość, nienawiść i kryminalne zachowanie ich pobratymców. W Oslo profesor Francis Sejerstad powiedział o nich: „... dali pokojowi szansę. Czy pokój weźmie górę, pokaże czas”.

Maun, 7 maja 1994

Małgorzata DZIEWIĘCKA

Kraj

Idzie nowe; a czy dojdzie?

Tym razem wojna na górze pomiędzy prezydentem a koalicją rządową (*Kultura* 5/1994) została przerwana zawieszeniem broni z powodów, które, wyprzedzając wydarzenia, przedstawiłem przed dwoma miesiącami (*Kultura* 4/1994). Sezon polityczny w Warszawie trwa jednak w najlepsze i dzieje się tak dużo, że łatwo jest pogubić się w wydarzeniach. Ale spokojniejszy wgląd pozwala zauważyć zaczątki przegrupowań, które mogą nadać nowy kształt scenie politycznej w Polsce.

1.

Pierwszą nowość zapowiada powstanie Unii Wolności, którą Unia Demokratyczna utworzyła z liberałami. Obserwowałem uważnie I Kongres Krajowy nowej formacji. Jego pierwszą cechą było całkowite „duchowe” zwycięstwo liberałów. Wyraziło się ono nie tylko w liczbach. W wyborach 100 członków Rady Krajowej, gdzie „unicy” mieli zawarowane 73 miejsca, a liberałowie 27, kandydaci liberalni uzyskali przeciętnie o 36% głosów więcej każdy niż kandydaci UD*, co dowodzi, że delegaci z UD chętniej głosowali na liberałów niż na własnych kolegów z innego skrzydła. Jeszcze znamiennejsze były nastroje, bojowe i radosne wśród liberałów, posępne wśród dawnych ROAD-owców z tzw. lewego skrzydła UD, od Frasińskiego do Kuratowskiej. Skupione, czy raczej rozproszone wokół Mazowieckiego centrum nowej partii,

* Po przeliczeniu: UD wystawiła 136 kandydatów na 73 miejsca, a liberałowie 27 na 27. Porównywalność uzyskujemy sumując wszystkie głosy uzyskane przez kandydatów każdej z kurii i dzieląc sumy odpowiednio przez 73 i 27, co daje 453 i 613 głosów przeciętnie.

gdzie obok przyjaciół eks-premiera są też przyjaciele eks-pani premier z nieuchronnym Janem Marią Rokitą, zdobyło wprawdzie władzę w nowej formacji, ale nie miało ochoty bankietować. Najgoręcej oklaskiwanym mówcą na zjeździe nie był ani Mazowiecki ani Suchocka, lecz gość, Leszek Balcerowicz, którego mimochodem rzucona propozycja nazwania nowej formacji Unią Wolności uzyskała większość i którego wielu delegatów otwarcie wymieniało jako kandydata UW w wyborach prezydenckich w 1995 r. Tymczasem kierownictwo UW z Mazowieckim jako przewodniczącym, Tuskiem od liberałów jako wiceprzewodniczącym, Bronisławem Komorowskim, sekretarzem generalnym wskazanym przez Mazowieckiego i Bronisławem Geremkiem, na uboczu, w klubie parlamentarnym, ma od razu przed sobą, 19 czerwca, próbę wyborów samorządowych. Zważywszy, że promocja samorządu terytorialnego jest obok prywatyzacji głównym punktem programowym stronnictwa, nieuzyskanie niedwuznacznie korzystnego rezultatu byłoby klęską, zdolną przełamać grzbiet nowej formacji, a przynajmniej jej kierownictwu. Tymczasem, nawet nie czekając na wybory, Unia Wolności znalazła się w bardzo niewygodnej sytuacji politycznej na skutek akcji strajkowej, którą rozpętała NSZZ Solidarność, pod hasłem, między innymi, wprowadzenia wreszcie w życie Paktu o Przedsiębiorstwie. Pakt wynegocjował rząd Hanny Suchockiej i był to, w wyborach 19 września, koronny argument UD, choć liberałowie znacznie dyskretniej się o nim wypowiadali (mimo że w ekipie negocjacyjnej główną rolę odgrywał wiceminister Michał Boni, przyjaciel i zastępca Jacka Kuronia, liberał, acz po prawdzie, nieortodoksyjny jako niegdyś przewodniczący Regionu Mazowsze NSZZ Solidarność). Z drugiej strony, walka polityczna o zastąpienie obecnej koalicji u władzy jest wręcz obowiązkiem programowym nowej formacji, która widzi siebie jako „alternatywę”; w tym właśnie sensie na zjeździe UW zwyciężyły bezapelacyjnie idee Rokity i Smolara, a Frasiński ze swymi koncepcjami porozumienia z liberalnym skrzydłem SLD został w pobitym polu.

I oto ledwie zakończył się kongres zjednoczeniowy UW, okazało się, że pryncypia nowej partii nie pozwalają jej w rzeczywistości na żadne stanowcze ustosunkowanie się do tak ważnego wydarzenia jak akcja strajkowa Solidarności. W parlamencie, występujący w imieniu UW Jerzy Osiatyński nie zajął w istocie żadnego stanowiska wobec informacji premiera o konflikcie strajkowym, a najostrzejszą uwagą krytyczną, na jaką sobie pozwolił, było stwierdzenie, żeby rząd nie udawał,

że nie jest stroną, bo jest; wywołało to wiele śmiechu, jako że nie tak dawno ministrowie Suchockiej sami dowodzili, że rząd nie jest już stroną konfliktów przemysłowych... i robili to z równą złą wiarą.

Okazało się zatem, że nowa formacja nie jest aż w takiej mierze alternatywna wobec aktualnej koalicji, aby wesprzeć, chociażby w jakimś zakresie, akcję związkową. Czy tylko dlatego, że Unia Wolności chce być „opozycją odpowiedzialną”? Proszę się wczytać w to oto zdanie z deklaracji programowej kongresu UW:

„Celem powołania nowej partii, a także ruchu społecznego z nim związanego jest między innymi stworzenie silnej alternatywy wobec ugrupowań hołdujących scentralizowanej wizji państwa, upartyjnionej polityce kadrowej oraz administracyjnemu zarządzaniu gospodarką”. Zdanie to określa dość precyzyjnie na czym, w intencjach, polega alternatywność polityczna UW wobec aktualnego rządu. Jak widać, stosunek do związków zawodowych i w ogóle do tzw. kwestii społecznej nie jest przez Unię Wolności podnoszony jako temat sporu. To też jest dowód całkowitego zwycięstwa ideowego dawnego KLD i dalszej ewolucji na prawo. Tak jak kiedyś UD wobec ZChN, tak dzisiaj nowa partia chce być otwarta na całą prawicę. Z lekka trawestując: nie ma wroga po prawej. Unia Wolności określa się wprawdzie jako centrum, ale swą przyszłość widzi w rozrastaniu się na prawo, i tylko na prawo, aż do zajęcia tam całego pola i zepchnięcia wszystkich ewentualnych konkurentów nie tylko poza parlament, jak obecnie, lecz w ogóle poza poważną politykę, na margines, do Tejkowskich, Bryczkowskich i Giertychów. W zamian za to dla chętnych akces byłby otwarty, a decydującym dla powodzenia całego procesu momentem byłaby wspólna centrowoprawicowa kandydatura prezydencka..

Rojenia? Niekoniecznie.

2.

Głównym czynnikiem sprzyjającym wyłożonej koncepcji jest bezsporny już dzisiaj fakt, że prawica nie jest w stanie wyłonić z siebie żadnego wiarygodnego ośrodka jednoczącego, choćby tylko częściowo, np. najpierw jednego dla liberałów konserwatywnych, jednego dla narodowców, jednego dla chadeków. Impuls krystalizacyjny musiałby przyjść z zewnątrz. Kiedyś wyglądało na to, że impuls ten przyjdzie od Kościoła, z episkopatu. Dziś wydaje się raczej oczywiste, że hierarchia ma całkiem dosyć tych polityków, których prezydent Wałęsa

nazwał popaprańcami. Kościół, oczywiście, nie będzie nikogo odpychał i zachowa serdeczne stosunki ze wszystkimi politykami, którzy wspierają „wartości chrześcijańskie”, a zwłaszcza nie kwestionują pozycji zapewnianych mu odpowiedni do „epoki nowej ewangelizacji” wpływ na społeczeństwo. Ale wyróżnionym partnerem politycznym Kościoła jest dziś Waldemar Pawlak i jego PSL. Nie tylko dlatego, jakby mniemali cynicy, że to Pawlak jest u władzy i może pomóc załatwić takie sprawy jak ratyfikacja konkordatu, ale dlatego również, że PSL reprezentuje teraz polityczne życie polskiej wsi, chłop zaś i chłopska religijność są i będą jeszcze długo prawdziwą ostoją Kościoła, w przeciwieństwie do chimerycznych i podatnych na korupcję umysłów warstw miejskich. Kościół nie chce wobec tego dopuścić, by w umysłach chłopskich doszło do konfliktu pomiędzy religią a polityką — będzie więc współpracował z PSL i jego urzędnikami. Nadto jednak, i nawet przede wszystkim, hierarchia kościelna i jej częściowo odnowione kierownictwo są teraz skłonne nie wyręczać się już politykami, lecz działać bezpośrednio, poprzez wspólnoty i zespoły wiernych kierowanych przez kler. Stąd zapowiedzi odrodzenia Akcji Katolickiej, stąd rozbudowa sieci własnych mediów kościelnych i szkolnictwa katolickiego itd. Nie odwraca to, lecz przeciwnie wspiera od dawna już zaznaczającą się tendencję, by w obrazie Polski, jaki kształtuje się w umysłach jej obywateli, Kościół zajmował centralne miejsce. Nowością wszakże, godną odnotowania, jest, że teraz widoczne jest staranie, aby ta wszechobecność Kościoła nie miała tak wyłącznie triumfalistycznego charakteru, by nie drażniła, by ukazywała Kościół wśród ludzi a nie ponad nimi. Jest oczywiste, że popaprańcy z prawicy mogą w tych staraniach tylko przeszkadzać. A oporów wśród własnych kadr Kościoła jest i tak aż nadto, o czym świadczyła ostatnio np. rywalizacja ultramontanów z Radia Maryja z radiostacjami diecezjalnymi o przydział częstotliwości.

Innym źródłem impulsu jednoczącego prawicę mógłby być, w teorii, prezydent Wałęsa. Ale Wałęsa, jak to już kilkakrotnie wykazywałem na tych łamach, jest dla prawicy spalony i niewiarygodny. Pozostaje, również w teorii, NSZZ Solidarność, zwłaszcza, że wraz z eliminacją takich działaczy jak Borsewicz, Arkuszewski i Rulewski związek pozbył się ostatnich swoich umiarkowanych polityków. Ale ekipy, które dzisiaj prowadzą związek, nie mają wcale ochoty konstruować jakiegokolwiek „czapki” politycznej: związkowcy z NSZZ Solidarność uważają się za porzuconych i zdradzonych przez

całą bez wyjątku klasę polityczną. Wystarczy posłuchać retoryki Mariana Krzaklewskiego.

Tym właśnie poczuciem porzucenia i zdrady tłumaczy się w dużej mierze zarazem bezwzględność i rozpaczliwość aktualnej, majowej akcji strajkowej związku, któremu stopniowo stali się obcy nie tylko wszyscy politycy ale również samo państwo przez nich kierowane. W tym właśnie sensie są to strajki bardzo polityczne. Ich podłożem psychologicznym jest rozczarowanie polityczne. Dlatego absurdalne jest wydziwianie wielu komentatorów, że np. najzacieklej strajkują górnicy, którzy płacowo stoją teraz najlepiej: właśnie dlatego, że stoją lepiej, mogą sobie pozwolić na ostre strajkowanie. A coś dopiero jeśli, jak na węglu brunatnym, mają w ręku los dwóch piątych energetyki kraju...

Najprawdopodobniej, związek może wygrać dla swoich członków spełnienie rozmaitych postulatów branżowych, tak jak już uzyskał np. cofnięcie instrukcji nr 30 ministra przemysłu i handlu o holdingach w energetyce węgla brunatnego. Ale nie może, oczywiście, wygrać politycznie, to znaczy zaspokoić swego pragnienia pomsty na politykach i ich państwie przez erylowanie NSZZ Solidarność do roli „przeciwładczy” (*contre-pouvoir*) na wzór wielkiego mitu z roku 1981. Leszek Miller jako minister pracy wie, co mówi, kiedy z nienaganną zimną krwią nawołuje NSZZ Solidarność z monotonią metronomu, by zaakceptował swą rolę centrali związkowej takiej jak inne i zajął odpowiednie do tego miejsce w zinstytucjonalizowanych procedurach negocjacyjnych. Jest to wezwanie do skończenia z mitem. I nie jest wcale przypadkiem, że w pięć lat zaledwie po czerwcu 1989 postkomunista Leszek Miller mówi to, co półgębkiem lub całkiem głośno powtarzają wszyscy niemal politycy w Polsce, niezależnie od proveniencji: skończyć z mitem związku, który nie pilnuje swego kopyta i koryta.

Tak zatem: prawica jest impotentna, Kościół eksploruje inne drogi, prezydent gra na kredyt a NSZZ Solidarność właśnie kończy z polityką. Tylko przyjąć i wziąć.

Statyści z Unii Wolności wcale nie są marzycielami.

3.

Nie będąc marzycielami, nie skalkulowali, być może, kosztów, które na wzór ekonomii nazwę zewnętrznymi.

W zjednoczonej Unii Wolności zabrakło we władzach nie tylko Barbary Labudy, *bête noire* polskiego katolicyzmu. Odmówili kandydowania ludzie z *Tygodnika Powszechnego* i

odmówił Jacek Kuroń, który w krótkim przemówieniu powtórzył swoją główną tezę: reform nie można wygrać, jeśli ludzie pracy nie widzą w nich własnego interesu, reformy nie mogą być narzucone i przeprowadzone odgórnie. A wyjaśniając następnie motywy swej decyzji (*Gazeta Wyborcza* 28 kwietnia) pisał m.in.: „Jestem przekonany, że Unii, i w ogóle polskiej polityce, potrzebna jest radykalna rewizja dotychczasowych sposobów rządzenia krajem (...) Bez gruntownej rewizji tego, co robiliśmy jako rządzący, będziemy w dalszym ciągu bezradni jak pijane dzieci we mgle (...) Jedynie radykalne zmiany mogą nas ocalić przed ciągłym spełzaniem w dół, a może i czymś znacznie gorszym. Dlatego właśnie chcę, aby tzw. politykom usunęła się ziemia spod nóg (...)”

To nie jest język, którym przemawia się bądź rozmawia w Unii Wolności. Kuroń zebrał trochę grzecznościowych kłaśnieć — i wyszedł. Sam. Ale to był zaledwie prolog. Jeśli nowa partia nie odniesie przekonującego sukcesu 19 czerwca, jeśli natomiast jej statyści przystąpią do realizacji opanego projektu jednoczenia prawicy, wówczas to, co zostało z ROAD-u najpewniej się wykruszy, i co ważniejsze, większość elektoratu dawnej UD poczuje się bezdomna. Wtedy Jacek Kuroń od razu nie byłby sam.

W Warszawie nie brak, oczywiście, spekulacji na temat możliwych poczynań najbardziej lubianego polskiego polityka. Może zacznie raz jeszcze organizować jakiś ruch społeczny, a może nawet partię (socjaldemokratyczną?)... A gdyby tak „zakandydował” na prezydenta? Sceptycy zauważają z miejsca, że popularność Jacka nie jest popularnością kandydata; ale z drugiej strony lepsza przecież w tej roli sympatia od antypatii... Przytaczam te spekulacje, ponieważ chcę, co nich dopowiedzieć coś ważnego: aby Jacek Kuroń mógł istotnie znaleźć się raz jeszcze w centrum polskiej sceny politycznej, konieczne byłoby wskrzeszenie zatraconych nadziei, rozbudzenie mitu, jak ów z 1981 roku, którego pogrzeb odbywa się właśnie po drugiej stronie tej sceny. Fakt, że o tym się mówi, dowodzi istnienia potrzeby. A w takim razie, nie musiałby to być Jacek, mógłby to być nawet ktoś, kto dzisiaj jest jeszcze nikim.

Szczególnie wiele materiału na temat owej potrzeby dostarcza ostatnio obserwatorom *Gazeta Wyborcza*. Zaczęło się, jak pamiętamy, od ataku na policję poznańską. Wyglądało to najpierw na rozrachunki z prezydenckim MSW, ale przedstawienie „sponsorowania” jako potężnego narzędzia korumpownia władzy wskazywało, że chodzi o sprawy systemo-

we, nie zaś tylko o zły dobór kadr. Wkrótce potem Jacek Żakowski wywiódł, jak to nasi dygnitarze niepomierne kochają pieniądze i jak im się do nich ręce trzęsą. Ponieważ asumpt do pisania dała autorowi sprawa premii, jakie sobie na pożegnanie wypłacił cichcem rząd Suchockiej, uznano powszechnie, że *Gazeta Wyborcza* powitała w ten sposób zjazd zjednoczeniowy nowej partii, której jej redaktor naczelny najzwyczajniej nie lubi. Żakowski głównie opłakiwał upadek styropianowego etosu („coś pękło”), ale choć zarazem skrętnie usiłował winą obciążyć „przeżytki starego” czyli moralność PRL-u, dyskusja, która się wywiązała, nie potwierdziła tej naiwnej analizy. Jednym dyskutantom Trzecia Rzeczpospolita jawi się w świetle tego finansowego rozpasia-
nia rządzących, jako kraj trzeciego świata, innym jako teren korupcji „normalnej” na Zachodzie, z którą walczyć trzeba, ale której zwalczyć niepodobna, jeszcze innym jako nowe Włochy... Jeszcze nie uchłyły echa po Żakowskim, a już Anna Bikont uraczyła czytelników *Gazety* (6 maja) porażającym tekstem o łapówkarstwie i o tzw. prowizjach, które płaci każdy, zwłaszcza każdy przedsiębiorca, jeśli chce coś w państwowym lub samorządowym urzędzie załatwić czy sprzedać, uzyskać licencję czy wygrać przetarg. To już całkiem Włochy... Nie jestem pewien, czy kierownictwo *Gazety Wyborczej* zdaje sobie do końca sprawę z wymowy tej kampanii, która w oczach zwyczajnego czytelnika, i tak już powątpiewającego o „sensie reform”, kompromituje i nowy ustroj, i obsługujący go aparat urzędniczy. Temu nie zarządzą zapewne ani „przeżytki starego” u Żakowskiego, ani takie dowcipne zastrzeżenia jak red. Skalskiego, który we wprowadzeniu do tekstu Bikont za najlepszy sposób na łapówkarstwo uznaje państwo-minimum, żeby „nie wodzić na pokuszenie”: „Wolny rynek czy zgoła dziki kapitalizm, nie jest może oazą franciszkańskiej poczciwości, ale nie ma odeń uczciwszego sposobu postępowania w gospodarce”.

Dziki kapitalizm jako sposób na korupcję przypomina ostre strzelanie jako sposób na kieszonkowców... Jest to, rzecz jasna, felietonowo wyrażona beznadzieja tzw. myśli liberalnej wobec autentycznego problemu.

I to spostrzeżenie prowadzi nas o krok dalej: korupcja, kryzys polityki i wyobcowanie państwa — suwerennego, niezawisłego, dopiero co odzyskanego! — nie są fenomenem lokalnym czy nawet wschodnioeuropejskim. Czytelnikom *Gazety Wyborczej* przypomniał to (7-8 maja) Leopold Unger, świadek tym bardziej wiarygodny, że gorący wyznawca jedynie

ślusznym reform i gromiciel wszelkich trzecich dróg:

„Odkrycie lorda Actona, że każda władza korumpuje (itd) to dziś banał, świadomość tego, że wielu polityków dało się przekupić, że całe piętra aparatu wielkich demokratycznych partii są zżarte rdzą chciwości, to Zachód już ma za sobą (...) Kapitalizm jest już bez czadoru, pozbawione złudzeń ogromne grupy ludzi są rozgoryczone, rozczarowane. Sceptycyzm, depolityzacja paraliżują coraz szersze kategorie społeczne (...) Widać, że świat, jak przez AIDS przechodzi przez krach i gangrenę elit politycznych...” Zdaniem Ungera — „przechodzi i przejdzie”.

Natomiast w Polsce debata, która potoczyła się po artykule Żakowskiego, „jest za bardzo polska, zaściankowa, za bardzo nostalgiczna, stęskniona za starymi, dobrymi czasami, za mało otwarta na nowe wyzwania. Jeśli pozostanie na dotychczasowym trakcie, to niewykluczone, że ludzie szukający dawnego etosu znajdą szybko nowy, ale tym razem w postaci nacjonal-tele-populizmu... Zamiast wymarzonego Zorro, który by rozwiązał wszystkie ich problemy, znajdą Brechtowski dyktatora Artura Ui”.

Ostrzeżenie Ungera jest zapewne racjonalne. Ale zawiera tylko połowę prawdy. Drugą zaś połowę polega na tym, że tęsknota za utraconym mitem nie musi kierować wstecz, może również otwierać na przyszłość, wyzwalać myślenie i wyobraźnię (polski romantyzm był tak właśnie podwójnie skierowany, niebezpiecznie ale i twórczo). Bez takiego otwarcia i wyzwolenia niemożliwe też będzie podjęcie owych „nowych wyzwań”. Pozostając w roli ustrojowych kopistów Zachodu, kraje Europy Wschodniej i Środkowej, takie jak Polska, mogą ze swoją młodą demokracją nie doczekać, aż tamci uporają się z zarazą i przekażą nam szczepionkę. Chorujemy na to samo, ale organizmy mamy słabsze.

Obowiązkiem lewicy jest uruchomienie polskiej wyobraźni.

Następnym razem napiszę o tym, jak się ona z tego obowiązku wywiązuje, ta rządowa i ta opozycyjna.

Warszawa, 9 maja 1994 r.

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Czytając dwa opasłe tomy książki Bullocka „Hitler i Stalin” jeszcze raz zdumiałem się nad losem tej części Europy, gdzie ulokowana jest Polska. Więcej pokory wobec tragedii, która tu się rozgrywała, żyjemy w jej bliznach. W tym regionie nic nie może być do końca normalne, czyste, proste. Jesteśmy skazani na neurotyczne poplątanie jeszcze przez kilka dziesięcioleci, jeśli te dziesięciolecia będą łagodne.

Po powrocie ze Szwecji gdzie spędziłem kilka lat, nadal dziwię się, że w Polsce tak gwałtownie szczekają psy, a koty domowe gdy wychodzą na dwór boją się ludzi. W Szwecji psy milczą, a koty łaszą się do nóg. Czyli nawet zwierzęta noszą tu w sobie tragedię historii i są znerwicowane, cóż mówić o ludziach.

Widzę jak dwóch facetów wyciąga trzeciego z knajpy. Ten jest tak pijany, że wydaje się zrobiony z plasteliny. Wyciągający trzymają w gębach rozżarzone papierosy. Tak się wyrzuca śmieci, nie człowieka. Czy to jest Polska przede wszystkim, czy mimo wszystko? Uderza w naszym kraju wielka ilość ludzi o skórze podobnej do pergaminu, jak żaglówki opartych na wietrze. To alkoholicy, jest ich niebywała ilość. Nadal rośnie spożycie alkoholu, mimo rekordowych osiągnięć przed laty. Ten kraj podmyty jest alkoholem. Wódką i kasetami video, narkotyzują się miasta i wsie by osłabić ból istnienia, ból wielkiej zmiany, ból bezradności.

Nieomal codziennie podchodzi do mnie taki pergaminowy osobnik i mówi — „kierowniku poratuj”. To nadanie swemu rozmówcy kierowniczej funkcji jest wyrazem szacunku i uniżonej prośby. Inni mamrocą — „Nie poratuje Pan?” — Ten szepcąc prośbą jest wzniosły bo odwołuje się do wartości duchowych, gdyż przecież wódka służy by leczyć duszę, a nie zaspokajać niskie potrzeby. Nic dziwnego, że gdy odmówi się zbyt stanowczo, budzi to niezwykle gwałtowne uczucia u potrzebującego, bo spirytualność całej sprawy czyni, że między pokorą a dumą jest bardzo cienka granica.

Po tym jak mój notes rzygnął nazwiskami na stanowiska rządowe i dyplomatyczne, wydawało się, że już nic z żołądka moich notesów wycisnąć się nie da. Zapomniałem o starych

notesach. Ale oto z nich teraz nagle wystąpił wytrysk do różnych kanałów telewizji, które potrzebują dzisiaj na gwałt mięsa spikerów i komentatorów. Patrząc oniemiały jak czas dokonał niezwyklej charakteryzacji na kiedys młodych obliczach, osiwiał włosy, ogębił twarz, rozkrzewił brwi, a głosowi przydał zawijasów. Kiedy spotykam tych ludzi poza ekranem spostrzegam zwykle, że mężczyźni zostali nadmuchi. Jednym wsadzono w otwory górne rurkę i tam ich wzdęto, innych zaś wzdęto od dołu. Kilka lat i co się porobiło? Zaniedbywanie siebie i różne formy autodestrukcji bardzo są niestety u nas powszechne.

Wracając do posad... to zdarza się, że niezwykle młodzi i niedoświadczeni ludzie obejmują w Polsce stanowiska, na które w krajach powiedzmy, bardziej urobionych cywilizacyjnie, czeka się do lat poważnej dojrzałości. Młodzież na Zachodzie obejmuje wysokie stanowiska, gdzie młodość i świeży talent jest atutem. U nas na ogół nadal siedzą tam starcy, zaś młodzież wskakuje w miejsca gdzie potrzebne są lata doświadczeń. Odnaleźć można w tym jakiś element rewolucyjności. Niestety lub na szczęście, te błyskawiczne, niezwykle kariery, to są jedyne u nas przebłyski rewolucji, jak słońce błyska w rozstrzaskanym lusterku.

Nawet ludzie, którzy wydawali się dobrymi szefami, gdy odchodzą ze stanowisk — a niezwykle nowością nowych czasów jest, że jednak odchodzą — to przerażeni współpracownicy ujawniają szepcąc ich niekompetencję. Y. był doprawdy ważną i publiczną postacią. Kiedy nastał jako szef, a znajomi pytali mnie kto on? — zgodnie z sumieniem odpowiadałem — w porządku. Z równą naiwnością oceniałem Olszewskiego, a nawet Macierewicza. I proszę, ja zawodowy pesymista, a nie doceniłem jak złowrogim napojem jest władza. Y. szybko wychylił czarę do dna i hople, już był po drugiej stronie czarnego lustra.

Zachowywał się wobec swego personelu niebywale arogancko, zaś nie wytrzymując stresów po prostu pił. Oczywiście pił też w pracy. Kiedyś przerażone sekretarki wydelegowały jedną odważną by zajrzała do gabinetu. Szybko wyszła bardzo blada, ze słowami — „szefa nie ma, stoją tylko na środku gabinetu jego buty”. Szef jednak nie powiesił się, a tylko zaległ w kącie.

Takie historie wydawały się zarezerwowane dla socjalizmu. A teraz okazuje się, że pewne rzeczy za socjalizmu możliwe nie były. Bo chociaż nie istniały macki i peryskopy

wolnej prasy, ale za to działały różne formy wewnętrznej kontroli, jak to w mafii bywa, dosyć skutecznie dyscyplinujące. I była trwałość nomenklaturowych funkcji, oraz groźba wylecenia z tej uprzywilejowanej grupy. Dzisiaj każdy wie, że to wszystko na chwilę, więc trzeba się śpieszyć. Pijane zajace buszują w zbożu. Ci co tracą posady, zwykle nie mają co ze sobą zrobić. Wielu byłych ministrów gorączkowo szuka dla siebie miejsca, ale co dostają jest żałośnie małym w porównaniu z tym co mieli. U źródła były więc notesy, ale przy ujsciu nie ma już nomenklatury.

Niekompetencja nowych kadr kierowniczych łączy się z jakimś przedziwnym narcyzmem i z neurotycznym poplątaniem. I jeszcze raz to napromieniowanie władzą! Gdy odchodzą ze stanowisk są nadal chorzy, to choroba popromienna. I prawie zawsze chcą potem tam wrócić. Dotyczy to jednakowo artystów, uczonych pisarzy, jak i polityków od niedawna zawodowych. Nazwisk nie będzie.

Wracam do tego tematu obsadzania stanowisk obsesyjnie, bo to jedna z zasadniczych przeszkód w skoku Polski do przodu. Brak kadr kierowniczych, totalna niekompetencja i partolenie powszechne. Na starą nomenklaturową bazę nałożono niepewną siebie tkankę nowych ludzi. Zanim mogli czegoś się nauczyć następowała wymiana, nic dziwnego, że tak naprawdę rządzili nomenklaturowi dyrektorzy departamentów. Było o wiele gorzej niż się sądzi, nawet jako taka fasada zawsze ujawniała gnijące tyły. Kiedy pogada się szczerze z ludźmi co byli blisko zdarzeń, to szepną, że umiłowany przez wszystkich Kuroń, nie był delikatnie mówiąc dobrym administratorem w Ministerstwie Pracy, nie inaczej Kozłowski w MSW. Bo wizja to jedno, a skonstruowanie narzędzi do jej realizacji to drugie. Kiedy wizję wciela się w życie bez narzędzi, to jest dopiero niezły bigos. Od biedy ośmielę się o tym napisać w *Kulturze*, ale gdyby to napisać w gazecie codziennej, a co gorzej jeszcze podeprzeć dowodami, sypnąć nazwiskami? Mam znajomego, który posiada głęboką wiedzę na ten temat. Kiedy go namawiałem by rzecz opisał, zaplątał się nagle w sobie, a potem wysupłał słowa: „Postkomuniści są o wiele gorsi, a wkrótce padną, więc ci nasi muszą wrócić, bo w ciągu najbliższych lat nie narodzi się nowa klasa polityczna, dlatego nie wolno tych ludzi 'palić'”.

Jestem, przeciwnikiem mniejszego zła, bo wiem jak ono szybko rośnie, ale nie mogę odrzucić argumentów, że mniejsze zło jednak istnieje.

Napisałem i jak futrem otuliłem się wyrzutami sumienia — czy nie przesadzam, czy nie za obsesyjnie do tego wracam. I tak otulony otwieram *Gazetę Wyborczą*, którą zresztą czytam coraz rzadziej, bo mimo licznych zalet są tam jakieś zapiekłości i emocje. Znajduję mocny tekst Jacka Żakowskiego, który poszedł mniej tropem niekompetencji, bardziej tropem korupcji, zaś chwycił zajaca nie za ogon lecz za uszy. Zlustrował byłych naszych premierów, ministrów, sam postsołidarnościowy Olimp, bez nazwisk, ale wiadomo o kim gada. Prawie o wszystkich. I okazuje się, że niemal wszyscy bezwzględnie i bez wahań brali forszę gdzie popadnie, w ramach przepisów, ale czy w ramach moralności kreślonej przez biedę kraju? Wyglądiali przez lata suche dorabiali się skurczowo i histerycznie.

Żakowski swoją kosą kosił tylko środek pola, a jakby pójść po bokach? Jezus Maria! Tytuł tekstu i jego przesłanie „Coś w Polsce pękło, coś się skończyło”. Pękła baza moralna naszej elity politycznej, „Walka o władzę stała się ważniejsza od 'solidarności'. A to znaczyło, że 'wolno' nie tylko kłamać, opluskwiać i insynuować, ale też doić państwo, ile się da — byle cię tylko nie drapnęli. (...) Raz zdradzone zasady mszczą się bezlitośnie. W politycznej skali dużego kraju drobne kompromisy na wysokim szczeblu pociągają za sobą nieprzewidywalne fale”.

I znowu refleksja, którą powtarzam po raz kolejny. Zginęło w Polsce poczucie dobra wspólnego, dobra kraju i społeczeństwa. Każdy zajmuje się przede wszystkim sobą, a innych traktuje jako konkurentów. To jest od biedy zrozumiałe w biznesie, ale nie w czasie budowy nowego ładu od podstaw.

Czyli nie ma na co narzekać, że ludzie u nas nie wierzą już w żadne autorytety. Powinniśmy być zadowoleni, że nasze światło społeczeństwo widzi, że autorytety upadły. Co by było gdyby widziało autorytety tam gdzie ich nie ma?

Spotykam polityka X. Znając jego biografię i wrażliwość jestem pewien, że tekst w *Gazecie* poruszył go i ucieszył, że wreszcie obnaża się ukryte wrzody. Twarz mu krzepnie. Jest oburzony, że napisano paszkwil. Czyżby był nożycami, które odezwały się gdy uderzono w stół? Jak się zdaje wszyscy wzięli tę krytykę do siebie i biadolą, że niszczy im się opinię.

Jednym z wielkich grzechów naszych polityków jest przekonanie, że winno się ich oceniać po intencjach. A intencje mają przecież piękne. Cóż jednak z tego, najbardziej nawet

światle osobniki w tym pociemniałym z emocji gronie są tak uwikłane w różne gry, że już nic nie wiedzą oprócz suptów, które trzeba komuś zawiązać, lub na sobie rozwiązać, bo zostały przez kogoś złośliwie zawiązane.

Wielu obecnych polityków znałem kiedyś bardzo dobrze, teraz ilekroć tych ludzi spotykam, mam wrażenie, że znam ich coraz słabiej. Ci co mieli poczucie humoru stracili je zupełnie. To pozornie błaha strata, ale brak autoironii oznacza brak dystansu do siebie. Toteż wszyscy chodzą jakby z lusterkami przed nosem, kiedy je odstawiają by porozmawiać, wtedy czyjąś twarz traktują jak zwierciadło. Niby rozmawiają, ale tak naprawdę to oglądają tylko siebie.

Spotykam biznesmena T. Wiele jeździ po naszej prowincji. Twierdzi, że tam „jednak dużo się dzieje w sferze biznesu, a fakt, że jak na dłoni widać kto jaką decyzję podejmuje, zmusza do pewnej racjonalności w tej dziedzinie”. Nie jest intelektualistą, ale mówi, co ja często słyszę w tym właśnie kręgu: — „w Polsce kompletnie zaniedbano, by powiedzieć ludziom gdzie idziemy, po co idziemy, i jakie są moralne reguły gry. Ludzie mają poczucie, że w gęstej mgłę zsuwają się w noc jakiegoś amorficznego bytu, co się podobno nazywa kapitalizm. Uwierzono nie tylko w automatyczny liberalny mechanizm ekonomiczny, ale również, w automatyczne nadanie imion nowemu światu. A on jest rzeczywiście nowy, ale zanurzony w pustce ideologicznej”. Ludzie nie wiedzą czym jest państwo, podatki, jakie mają prawa i jakie obowiązki. Widzą za to pałace osobników, których pamiętają spod budki z piwem. Dzisiaj nie ma już budek z piwem, ale zabawne, bo ta „budka z piwem” nadal stoi w potocznym języku i pachnie wstrząsającą mieszaniną piwa, przekleństw, moczu i papierosowych niedopałków. Budki z piwem zostały dzisiaj zastąpione przez puby, a te puby nie zawsze są mordowniami gdzie w powietrzu można wieszać siekiere, tak, te puby to nawet jeden z sukcesów wolnej Polski. Więc pewnie i dawni „budkiewicze” z czasem „spubieją”, czyli wyszlachetnieją.

Prawdą jest bez wątpienia gwałtowna brutalizacja życia w Polsce. Liczba przekleństw, które musi wessać na co dzień powietrze Warszawy, kilkakrotnie przekracza dawne normy. Mniej więcej o tyle samo więcej jest w mieście morderstw z użyciem broni palnej. Tu gonimy Nowy Jork bardziej skutecznie niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie.

Relacje z podwarszawskich miasteczek mówią, że praktycz-

nie rządzą tam już mafie, a wszyscy muszą się im opłacać. Porachunki między gangami rozgrywają się w Warszawie. Dzwonię do znajomej, niewyspana, bo o świcie wysadzono w powietrze knajpę obok jej domu; nie jest tajemnicą, że to mafia wołomińska tak wyraziła swoje małe pretensje wobec mafii pruszkowskiej. Policja jest bezradna i boi się. Doszło do tego, że zaszczuci mieszkańcy Otwocka myślą o wynajęciu mafii rosyjskiej by zlikwidować mafię polską. Koszta oszacowali na jedynie 100 mln, czyli prawie za darmo. Największym wrogiem mafii jest sama mafia. Rosja pomału staje się krajem gdzie mafia zajmuje miejsce partii komunistycznej. A jedyna nadzieja, że konkurujące ze sobą gangi powyrzynają się nawzajem.

Zamknięty bo przedpremierowy pokaz filmu Kutza „Śmierć jak kromka chleba” o pacyfikacji kopalni Wujek w stanie wojennym. Nie zapomnę tego dnia stanu wojennego, kiedy białe rękawiczki generałów zabarwiły się nagle krwią górników, patrzyli na te swoje ręce przez chwilę oniemiałi, po czym co zrobili? Zaczęli opluwać zabitych.

Film jest niestety raczej słaby, chociaż powoduje kilka drgnień serca. Reżyser, związany szczegółową wiedzą o zdarzeniach padł ofiarą rzetelności, a jak wiadomo dramaturgia życia jest inna od filmowej. Film musi budować na prawdzie swoją prawdę, która byłaby kłamstwem, gdyby nie była dziełem i nie próbowała jednak oddać sprawiedliwości. Bardzo to trudne by ten paradoks nie był porażką, dlatego tak mało jest dobrych filmów o zdarzeniach rzeczywistych.

W wielkiej ponurej sali było kilka wybranych osób, bo pokaz znacznie wyprzedzał premierę. Słuchając głosu Jaruzelskiego jak wprowadzał stan wojenny, przypomniałem sobie jego słowa, gdy dzisiaj oskarżany o to właśnie przed sejmową komisją, broni się rzecz jasna groźbą sowieckiej interwencji, a potem mówi jak dzięki stanowi wojennemu zmalała absencja w pracy. Patrząc na ekran gdzie generał wprowadzał stan wojenny myślałem jak to paradoksalnie i pokracznie ułożyło się życie, skoro obecny na sali Adam Michnik, nie poda mi ręki, a do generała jeździ na intymne kolacje bo się z nim przyjaźni.

Dwukrotnie więcej pytaných obywateli RP uważa, że Jaruzelski był lepszym prezydentem niż jest Wałęsa. Do tego doszło. A może do tego doprowadziliśmy?

Zniszczyliśmy wielkie symbole stanu wojennego, symbole oporu i heroizmu. A ten film tak wątpliwość niczego nie jest już

w stanie odbudować. I to właśnie Adam Michnik w dobrym zresztą tekście w GW biadoli, że zatarły się moralne miary. Czy nie przyczynił się do tego sam idąc publicznie do łózka z Urbanem i Jaruzelskim? Co jakiś czas spotykam wstrząśniętych osobników, którym Michnik proponował, że zaprowadzi ich na kolację do generała. Czy to ma być zwiedzanie jaskini z oswojonym lwem, czy sado-masochistyczna przygoda z historią?

Ugrzęzły na mieliźnie wszystkie procesy dotyczące zbrodni stanu wojennego. Nikt nawet nie myśli by przypominać zbrodnie kłamstwa, a jest taka zbrodnia, których wtedy było bez liku. Jedno z tych kłamstw generał Jaruzelski podtrzymuje do dzisiaj w telewizji — kłamstwo o tajnych listach działaczy partyjnych do rozważki przygotowanych przez „Solidarność”, że znaczone drzwiami kredą itd. Te rzekome znaki kredą tak wtedy pobudziły ludzi reżimu, jakby im ktoś wsadził w zad gorący kartofel. Nic dziwnego, że szparko uwijali się w czasie słynnej nocy długich łomów, broniąc żony i dziatwę przed zagładą.

Przeglądam w bibliotece gazety z początków stanu wojennego. Jak szybko piasek zapomnienia zasypuje pamięć!

Dzisiaj obok tezy o dobroczynnych efektach stanu wojennego, krystalizuje się nowa interpretacja naszej aksamitnej rewolucji roku 89. To kadry komunistycznych reformistów oddały na chwilę władzę oszołomom z „Solidarności”, by się wyszumieili, by ukazali swoją niekompetencję, a teraz dawni komuniści, przeformatowani szczerze i spontanicznie na socjaldemokrację, ponownie biorą stery w pewne ręce.

Z rosnącym trudem śledzę konflikt Prezydenta z rządzącą koalicją. I coraz trudniej mi pochylać się nad naszym życiem politycznym, bo co się pochylę to boli głowa. Koalicja chce ograniczyć władzę Prezydenta, a ten pragnie mieć jej jak najwięcej. Pretekst to uparte odmawianie przez Wałęsę zatwierdzenia nominacji ministra finansów, który jest kandydatem SLD. Zostały już wytoczone przez Belweder wszystkie antykomunistyczne armaty i strzela się analogiami — zachowują się jak ich poprzednicy. Jest sporo w tym prawdy. Nie czuję sympatii do postkomunistów, bo jakżebym mógł, ale do Prezydenta też nie czuję nic a nic sympatii. Jeśli nawet myśli o Polsce to widzi ją tylko i wyłącznie poprzez swoje odbicie w lustrze. Polski bowiem nie ma bez niego. Tylko on wie i potrafi utrzymać ten jakże krnąbrny kraj w kursie do przodu, on i Przenajświętsza Panienska, która go osobiście

wspiera. Już chyba odruchowo zaczyna walkę ze wszystkim co jest silne, a więc co mu zagraża. Czyż nie zaczęło się to w roku 80, gdy symbolicznie w Gdańsku spadły głowy wszystkich jego dawnych współpracowników? Jest w tym jakiś mechanizm, który znamy z każdej tyranii, ale tu dzieje się on w formie na szczęście symbolicznej. Prezydent rusza do walki z koalicją rządzącą z hasłem, że postkomuniści podnoszą głowę, ale ruszyłby do takiej samej walki gdyby to nie byli postkomuniści. Bo ruszy zawsze kiedy cokolwiek będzie próbowało go przerosnąć. Po przeoraniu się przez biografię Stalina, przeraża mnie gdy odkrywam ten sam neurotyczny mechanizm u Wałęsy. A zarazem kiedy mówi, że on jest dobry człowiekiem, wierzę mu. Niestety, dobrzy ludzie, gdy są opętani sobą, stają się prawie tak niebezpieczni jak ludzie źli. Ale nawet gdyby Wałęsa był jakimś okrutnikiem, nasza demokracja utopi go w beczce ze smołą. Moglibyśmy więc spać spokojnie, gdyby kraj szedł do przodu, ale czy idzie?

Wałęsa siedząc wśród przywódców krajów z Europy centralnej, którzy debatowali nad tym regionem i zagrożeniami ze strony Rosji, przypominał raczej postać z powieści Haszka niż Prezydenta Polski. Miotał słowa jakby się zaplątał we własne opadające spodnie, ale nagle wzięł je w garść całkiem zgrabnie. Jego intuicja polityczna, jeśli ją nadal posiada, wydaje się cechą coraz głębiej ukrytą, ale nadal czasami żywą. Zdarza się więc, że nas zaskoczy realizmem i poczuciem humoru. Wodzony na pokuszenie pytaniem o pornografię w telewizji, czy nie należy zabronić, odparł: „Tysiące razy mówiłem, że pornografii tak się nie zwycięża. Zwycięża się ją wyłączając telewizor, lub zamykając oczy” — i dodał po chwili — „czasami zamykam tylko jedno oko”.

Ja jednak nie potrafię tak jednym okiem patrzeć na Prezydenta. Miotanie się Wałęsy, który jak tonący próbuje utrzymać głowę nad poziomem władzy, służy jego przetrwaniu, ale co ma z tego Polska?

A postkomuniści pomału dokonują aktu samopowieszenia się. Polskę zalały strajki, które zaczęli górnicy. Przyczyny są bez wątpienia skomplikowane, ludzie chcą żeby było dostatnio i przyjemnie, a nie jest. Ale zaważyły też przedwyborcze obietnice SLD i PSLu, a potem wielkie niezręczności Premiera i jego ministrów, które chwilami były kopią zachowań komunistów prawdziwych. I znowu jakby wszyscy zawiedli. Zawiodł rząd, bo jest bezradny i już widać, że nie

ma żadnego pomysłu na naszą gospodarkę. Strajkujący i przywódcy „Solidarności” wpadali w łatwy populizm. A środki masowego przekazu zapomniały ludziom wyjaśnić o co w tych strajkach chodzi. Ja sam właściwie nie wiem, prawie nikt nie wie. Padały magiczne i niepojęte słowa „holding” i „neopopiwek”. Rząd z Pawlakiem na czele stoczył batalię by zawładnąć telewizyjnymi „Wiadomościami”, aby brały udział w gaszeniu strajku. A gdy się to nie udało premier dzwonił osobiście do szefa telewizji Wiesława Walendziaka. Padały słowa jakich się nie powtarza, powiem tylko, że są już tacy co wiedzą, jak premier nazywa narząd płciowy, męski. Bardzo nietypowo. Szefowi telewizji zaciska się pętla na szyi. Jest odważny i niezależny od koalicji rządzącej, nie jest też zależny od Prezydenta, czego ten mu nie może darować. To plusy. Ale zarazem próbując zmienić oblicze telewizji oddaje ją w ręce niezwykle młodych ludzi, czasami zdolnych, czasami niepoważnych, a bywa, że to ostatnie widać.

„Unia” łączy się z liberałami, a Mazowiecki, który zdecydowanie rezygnuje, zgodnie z oczekiwaniami po namowach, godzi się być przywódcą nowej partii, która szuka gorączkowo nazwy. Pocziwy Pan Tadeusz, ale nie wolny od garbu ambicji. Jan Rulewski opowiada Torańskiej w *Rzeczpospolitej* jak motano premierostwo Hanny Suchockiej. Mazowiecki bardzo liczył, że to On będzie premierem. Oto środek nocy i chwila gdy już wie, że nie będzie. Rulewski opowiada: „Po 45 minutach czekania biegniemy tym razem z Borusewiczem. Straszny widok: w przedpokoju klubu Unii siedzi mężczyzna znany mi jako Tadeusz Mazowiecki, w kącie, skulony, zniszczony, połamany. Jak człowiek po Sylwestrze, który się zagubił, był nie na tej zabawie, co trzeba i którego na dodatek żona lub narzeczona opuściła”. Dalej Rulewski zaprzecza, temu co twierdził Kaczyński, że Pan Tadeusz był zupełnie pijany. „To była tylko bezgraniczna rozpacz”.

Takie uczucia właściwie są ludzkie, ale my od pewnych osób wymagamy nieludzkiego charakteru. W „Unii” wszyscy na Mazowieckiego narzekali, że zabrał partii energię, że jest żółt, po czym okazało się, że nie ma kto zapłacić pustego i depresyjnego miejsca po nim.

Partia przybrała nazwę „Wolność”, czy to nie za łatwe? Co teraz będzie? Liberałowie mieli elektorat w zaniku, a „Unii” też w oczach wiotczały mięśnie łydek. „Unia” ma głowę tak dużą, że nogi nie mogą jej udźwignąć. Pytanie co mają duzego liberałowie?

Ja z kolei nie znalazłem swoich nóg by iść na bal liberałów, który był zarazem stypą po partii. Potem gryzły mnie wyrzuty sumienia, że czytelnikom *Kultury* nie doniosę ochłapów z tej uczty. Podobno było sporo ładnych kobiet, co jest dowodem, że partii wydzielają się nadal odpowiednie hormony. I oto ta adrenalina liberalna zlewana jest teraz do wielkiej miednicy „Unii”, a szefem partii zostaje Mazowiecki, którego flegmy liberałowie nie trawią. Jak teraz zachowują się ich kompleksy wobec warszawki? Czy w nowej partii nie rozogni to frakcyjności? Zny polityk X. kiedyś z Unii, teraz w „Wolności” mówi mi bardzo sceptycznie o jej przyszłości. Czyli sceptycyzm jest już na samym progu.

Dobry tekst w *GW* prof. Jana Winieckiego, ekonomisty mieszkającego na Zachodzie. Opisuje on naszą rzeczywistość polityczno-ekonomiczną bez złudzeń. I niestety nie daje dużych nadziei na przyszłość. Możemy tylko pomodlić się, żeby się mylił. Pisze: „Paradoksem polskiej sytuacji politycznej jest to, że polska lewica i prawica w ogromnej większości nie pogodziły się z kapitalizmem”. Analizuje dlaczego cywilizowane spektrum polityczne jest u nas takie wąskie. „Dlatego nawet na dłuższą metę Polska ma mniejsze szanse wybić się na kapitalistyczną zamożność niż takie kraje, jak Węgry czy Czechy, pozbawione — na szczęście — tak silnej anachronicznej lewicy i anachronicznej prawicy”.

Tak, to wszystko prawda, ale w swej analizie profesor podobnie jak Balcerowicz i jego „dzieci”, za mało wie, lub nieostro widzi skalę społecznych cierpień i oporu, który stąd płynie. Tu trzeba wejść w skórę milionów ludzi, z którymi nikt nie wie co zrobić, nawet nikt nie myśli co zrobić. Jacek Kuroń, który jeździ po kraju i dotyka naszych żywych ran, widzi lepiej co nazywa: „Zasadniczą sprzecznością, między wymaganiami gospodarki rynkowej w trakcie jej przedstawiania a oczekiwaniami społeczeństwa. (...) Nastąpił podział na przyjaciół ludu i przyjaciół rynku”. A: „rynek nie może być celem samym w sobie (...) aby realizować jakkolwiek program trzeba sił społecznych, które ten program uznają za własny i potrafią przekonać siły przeciwne. Przyjaciele rynku, programowo wrodzy przyjaciołom ludu, nie są w stanie tego zrozumieć — i *vice versa*”.

Gdzieś między tymi dwiema analizami i dwiema wizjami, jak między szczękami, mieści się prawda o naszej sytuacji. Polska dotychczas przemykała się cało, teraz wydaje się, że

szczęki poczęły się zwierać. Unieruchomieni trzepoczemy rękami i nogami.

Odbieram nowy paszport w komendzie policji na Malczewskiego. W sali gdzie kłębił się kiedyś przerażony wielogodzinny tłum, jest teraz pusto, czysto i zupełnie bezboleśnie. Dokładnie pod podłogą gdzie teraz stoję przetrzymano mnie kiedyś przez 48 godzin, w cuchnącej norze, gdzie pod wieczór spływają złodzieje, awanturnicy, ale dopiero tam poniżej poziomu ziemi, widać, że są to przede wszystkim nieszczęśni, poharatani przez los ludzie. Wszyscy byli na powitanie katowani przez milicjantów. Czy teraz tam na dole jest inaczej? Dlaczego dzisiaj gdy mamy władzę, nie interesujemy się tym? Czy to nie kolejne zaniechanie? A na piętrze na kilka dni przed wyjazdem do USA odebrano mi kiedyś paszport, po prostu, w celach pedagogicznych. A teraz, proszę, jak przyjmennie.

Ludzie u nas błyskawicznie zapomnieli o wszystkich dolegliwościach komunizmu. A ja pamiętam. Kiedy w sobotę w środku nocy wchodzę do pobliskiego sklepu i kupuję wszystko na co mam ochotę, a młoda ekspedientka nadzwyczaj grzecznie pakuje mi towary do plastikowej torby, to mam jednak poczucie ulgi i triumfu. I ogarnia mnie czasami tylko takie samo uczucie, gdy słucham wiadomości w telewizji i czytam gazety, nawet jeśli nie mówią moim głosem, jest to głos wolny.

Z nastaniem wiosny niezwykle ożywia się wymiana słów i energii między fasadami domów a podwórkiem, jakby okna połączone były z dołem rękawami. Wołania matek, i wołania dziatwy, jakież to niebywały śmietnik słów, gdzie wśród odpadków czasami trafiają się jakieś perły. Znam kraje gdzie w tej przestrzeni jest schludnie i zupełnie cicho, a więc martwo i nudno.

Warszawa na progu lata wydaje się miastem może nie pięknym, piękna jest tylko zieleń, trochę grubawym i nieco bez klasy, ale do życia.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

1.

O tym, że w Polsce istnieje pilna potrzeba nowej konstytucji, każdy wie. Ale jak można ją uchwalić, skoro Izba na prawie pięciuset posłów ma zaledwie siedemnastu prawników?!

Natomiast można bez kłopotu ufundować nową łaskę marszałkowską dla marszałka Oleksego. Co też zrobiono. Kosztowała setki milionów złotych. Hebanowa. Z wszelkimi „ceregielami”. Podobno stara łaska była tak zmurszała, że przy uderzeniu gotowa się rozkruszyć. Zgoda, trzeba było ją zmienić. Ale czy aż za tyle?

Telewizja publiczna zmienia stale wystrój studia WIADOMOŚCI. Zgoda, niech będzie różnaitość, ale czy trzeba to robić aż tak często i aż za takie pieniądze? Ostatnio, głównym rekwizytem studia stał się stół. Piękny, masywny, z zawijasami, stylizowany na antyk, niewiele zapewne tańszy od łaski marszałkowskiej. Nim zdążyliśmy do niego nawyknąć — zniknął. Jest coś nowego.

Dylemat polega na tym, że kiedy zwykli ludzie nauczyli się już wymawiać słowo „marnotrawstwo”, decydenci wykreślili je ze słownika. Okazuje się, że przejście od rządzonego do rządzącego zmienia nie tylko mentalność, ale i słownictwo. Można to zresztą wyrazić w różny sposób, na przykład, przez znane powiedzonko, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Skoro jesteśmy przy tv. Szef telewizji publicznej, Walendziak, lat 32, zapytany, jaka jest jego pensja, odpowiedział, że godziwa. To „godziwa” wynosi 90 mln zł miesięcznie. Zgoda, szef telewizji musi być dobrze płacony, żeby nie ulegać pokusie zarabiania na boku, np., żeby nie dopisywał swojego nazwiska do rachunków różnych programów, co było nagminną praktyką poprzednich gron kierowniczych tego resortu. Jeżeli pensję tej wysokości ufundowałby sobie,

przykładowo, szef POLSATU, bądź innej rozgłośni prywatnej — Bóg z nim. Nie za nasze pieniądze; czerpie je z reklam i innej działalności, z czego odprowadza podatki do budżetu państwa. Ale jeżeli — co ma miejsce w przypadku telewizji publicznej — dochód główny przedsiębiorstwa pochodzi z wciąż podnoszonych abonamentów, to windowanie pensji naczałstwa do tak niebotycznych sum dowodzi zaniku instynktu społecznego, grubej nieprzezorności. Dziw bierze, że ludzie jeszcze abonamenty telewizyjno-radiowe dość skrupulatnie opłacają. Ale... póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. Czego — nawiasem mówiąc — dowiodła ostatnia fala strajków. Zanosilo się na nią od dawna, ale władza swoim zwyczajem chowała głowę w piasek, zgodnie z uprawianą polityką: pokrzyżać, pokrzyżać, i przyschnie. No i nie przyszło!

Komendant główny policji, Smolarek, obraził się śmiertelnie na reporterów, którzy zaobserwowali, że pod osłoną nocy do jego mieszkania wniesiono lodówki czy pralki, oraz za to, iż napisano, że biesiadował on publicznie w ekskluzywnej restauracji na koszt biznesmenów. Łapownictwo w postaci uzyskiwania sprzętu domowego jest mało wiarygodne (choć w skażonej strefie wszystko możliwe!), natomiast na pewno istnieje problem — którego komendant Smolarek nie dostrzega — czy wysoki funkcjonariusz państwowy, zwłaszcza o tak szczególnym charakterze jak policjant — powinien korzystać z poczęstunków naszych dzisiejszych ludzi interesu.

Nikomiu nie uchybiając, w Polsce nie ukształtowała się jeszcze warstwa solidnych kupców i przedsiębiorców o sprawdzonych rękach. Przeciwnie, co rusz okazuje się, że ten i ów z tej branży wczoraj jeszcze uczciwy, dziś okazał się kanciarzem.

Może więc zdrowiej byłoby, gdyby najwyższy policjant jako reguła — zażywał relaksu „u cioci na imieninach”? A jeżeli już zdarzyło się to, co się zdarzyło, czy nie powinien, zamiast rozprawać o urażonym honorze, pomyśleć przez moment o zasadności ograniczeń?

Niestety, nie od dziś pewne funkcje w państwie demokratycznym wymagają ofiar towarzysko-rozrywkowych. Pamiętam jak przed wojną, kiedy wraz z matką udawałyśmy się do Sopot, tuż za Orłowem, pomachałyśmy na pożegnanie ojcu.

Jako oficer zawodowy nie mógł przekroczyć obszaru Wolnego Miasta Gdańska. Komendant Smolarek zdaje się nie rozumieć — a wraz z nim znakomita większość sprawujących państwowe funkcje kierownicze — że, mówiąc krótko — *noblesse oblige*. Tymczasem jego buńczuczny godnościowy ton ani rusz nie licuje z profesjonalną jakością usług policyjnych. Wykrywalność przestępstw jest u nas nadal zatrważająco niska.

Zboczeniec o stwierdzonym od dziecka upośledzeniu umysłowym, zwyczajnie wiejski przyglup, dożywszy zaledwie 28-go roku życia ma na koncie kilkadziesiąt zabójstw. Śledztwo wykazuje wciąż nowe, którym nie ma końca, policja jedzie na wskazane przez przestępcę miejsce i wykopuje zwłoki. Zanosi się na rekord świata. A wpadł przez przypadek. Można by się spodziewać, że policja okaże choć cień zażenowania. Nic podobnego. Stało się regułą, że zwykli ludzie przynoszą przestępcę policji jak na tacy, a i wtedy napotyka ją na nie kończące się przeszkody biurokratyczne.

Pierścień miasteczek podwarszawskich, Otwock, Pruszków, Żyrardów, był od czasów rewolucji przemysłowej wylęgarnią przestępczości. Minęły jednak czasy wyrafinowanych kieszonkowców, czy nawet rozbójników, dziś mafia szyje z broni maszynowej — do siebie, i kogo tam ma pod ręką, terroryzując trwale otoczenie. Policjanci chętnie pokazują w telewizji miejsce zbrodni, krew, trupy, pomiary, jakich dokonują wedle zachodnich wzorów — nie poczuwając się wszakże do wykrycia przestępcy. Jakby czynności przygotowawcze były celem samym w sobie. Gorzej, że rodzaj przestępstwa nie wydaje się mieć tu większego znaczenia. Brak hierarchizacji w działalności policji dowodzi postępującego zbiurokratyzowania i bezdusności.

Radio doniosło, że do hurtownika handlującego ślimakami dokonano włamania. Posłużono się dzieckiem, które wsunęło się przez pręty okienne i podało na zewnątrz kilkadziesiąt kilogramów winniczków. Komentarz policji: sytuacja została rozpoznana, podjęto czynności śledcze...

Żadnego nerwu, żadnej ambicji, żadnego poczucia humoru wreszcie! Przecież zawód policjanta jest zawodem pasjonu-

jącym, zdawałoby się, zwłaszcza dla naszego temperamentu. Skażona strefa poczyniła i tu zmiany.

Marszałek Oleksy (ten od nowej laski) pojechał niedawno z oficjalną wizytą do Japonii. Przed wyjazdem podzielił się radością z perspektywy tej wyprawy. Cieszy się, bo nie zna jeszcze tego kraju. Pojechał (z wielką delegacją), pozwedział, pogadał, pojadł, popił i wrócił. Koniec. Kropka. Żadnych ogólniejszych wyników. Największa gazeta emigracyjna *Nowy Dziennik* z Nowego Jorku, który ma w Warszawie swojego korespondenta, wyraził zdziwienie, że brak doniesień z tej ważnej, zdawałoby się, wizyty. A o czym tu było donosić, kiedy rezultatów brak? O czym gadać?

Nie to wszakże najdziwniejsze, że nie ma o czym gadać, ale to, że przestaliśmy się temu dziwić. Ze zwykłe pytanie dziennikarskie: „powiedz, coś załatwił...” — nie zostaje wypowiedziane. Nikt go nie zadaje, bo nawykliśmy zarówno do nieskuteczności, jak i do nierozliczania się władzy. Alarmy wszczynane przez dziennikarzy w najślusznieszych sprawach, spływają po władzy jak woda po kaczce...

Podobno minister Olechowski czuje się w Waszyngtonie jak u siebie w domu, co nie bez dumy stwierdzają nasze media. I co, mamy się cieszyć, że uśmiechają się do niego urzędnicy w korytarzach Departamentu Stanu, skoro z tych uśmiechów nie wynikają dla państwa żadne wymierne korzyści?

Co rusz w telewizorze migają opalone egzotycznym słońcem twarze senatorów, posłów, ministrów czy przywódców stronnictw. Kto ma żyłkę podróżniczą, powinien stanowczo ubiegać się o naczelną funkcję w państwie. Rząd i Parlament zapewniają usługi turystyczne najwyższej jakości.

Pałacyk Sobańskich w Alejach Ujazdowskich w Warszawie objęły w posiadanie skłócone do cna partyjki prawicy: Macierewicze, Olszewscy, Parysowie, Szeremietiewowie, Janowscy *et consortes*; czyli głowy bez kadłubów, bo prócz przywódców mas członkowskich brak. Nie płacą za czynsz, światło, gaz, ogrzewanie, wodę, etc., więc miasto odcina im co się da. W budynku panuje brud, smród, ubóstwo i wzajemne pogryzanie. W ciemnych korytarzach nierzadko docho-

dzi do bójek. Oczywiście, że nie mają pieniędzy, ale zamiast to przyznać, racjonalizują swoje lumpowskie zachowania. Mówią: tu jest Polska. W tym pałacyku, który oni zajmują. Na zewnątrz panuje władza bezprawna, więc nie ma komu płacić...

Całe to zgromadzenie stanowi na szczęście zjawisko marginalne, z gatunku folklorystyki politycznej. I żalną jest ich argumentacja uchylania się od świadczeń socjalnych. Ale nie da się zaprzeczyć, że elementy takiego rozumowania pojawiają się powszechniej. Otóż, zdarza się, że gdy i ja biorę do ręki kwestionariusz podatkowy, żeby oddać państwu, co państwowe, też miewam chwile buntu. Nie dlatego, że mam oddać, tylko dlatego, że nie chcę, żeby tak głupio były wydatkowane moje pieniądze.

Problem w tym, że społeczeństwo już ma świadomość, że władza żyje z tego, co od nas bierze, a władza jeszcze nie wie, że my wiemy. Stwarza to niebezpieczne zjawisko odmiennego spojrzenia na rzeczywistość. Precedens groźny, choć jeszcze nie całkiem widoczny gołym okiem. Bo w kraju, prócz ograniczonych strajków i nieograniczonych pyskówek — jeszcze spokojnie. Jednakże, czy nie nadszedł już czas, żeby się rozejrzeć za jakimś sejsmografem, odnotowującym podskórne społeczne wrzenia, nim pojawią się w postaci trzęsienia ziemi? Straszę? Oby! Ale lepiej straszyć, bo gdy się zatrząsie, żadne straszenie już nie pomoże.

2.

Niepokalanki, siostra Ewa i siostra Marta ze Słonimia „poszły do dołu” razem z Żydami, których klasztor przechowywał. Siostrę Zofię i siostrę Letycję „piłą rznęli” (dosłownie). Zostały zamordowane nieco później w czasie wojny i nieco bardziej na południe przez bandy ukraińskie, gdy jechały furą z jednego swego domu, w Niżniowie, do drugiego — w Jazłowcu.

Doświadczenia te nic w ich postawie i powołaniu nie zmieniły. Dzisiaj znów prą w tamte strony, niepomne strasznych przeżyć sprzed półwiecza. Można powiedzieć, że gna je niespożyta i heroiczna potrzeba misyjności. Można. Tak właśnie jest. Ale tu należy się wyjaśnienie obalające pogląd o zaborczości kościoła katolickiego. W każdym razie, w odniesieniu do Niepokalanek.

Ich założycielka, matka Marcelina Darowska, stworzyła w XIX wieku zgromadzenie wychowujące młode Polki w duchu patriotycznym, ale nie nacjonalistycznym. Typ wycho-

wanki niepokalańskiej był od początku przeciwieństwem tego, co zwykle się nazywa „Polak-katolik”. Niepokalanki, ulokowane pierwotnie w Jazłowcu koło Buczacza, szanowały i żyły w przyjaźni z miejscowym „żywołem” ukraińskim i obrządkiem grekokatolickim. Dziś, w swoim nowym domu, w Mikulińcach koło Tarnopola, uczą po ukraińsku.

Obecna matka generalna Niepokalanek, Anuncjata, zaprosiła mnie tam w podróż wizytacyjną, żebym przekonała się — jak niewierny Tomasz, na własne oczy — że Niepokalanki ani nie polonizują, ani nie zmuszają do obrządku rzymskiego.

A jak było — opowiem.

Kwiecień 1994 r.

Ewa BERBERYUSZ

Dwutygodnik polonijny

prasa
polska

Adres redakcji:
Prasa Polska
3, rue Robert Houdin
75011 Paris, FRANCE
Tel. (33-1) 49.29.04.30
Fax (33-1) 49.29.97.60

Ukazuje się od marca 1994 • Około 40 stron • Format A4

Polska widziana poprzez najlepsze teksty prasy krajowej — od dzienników do kwartalników. Także międzynarodowy przegląd polonijny i forum polskie, w którym wypowiadają się autorytety naszego życia społecznego.

Celem pisma jest utrzymanie trwałych związków z krajem, zbliżenie środowisk polonijnych oraz wzmocnienie poczucia wspólnoty ziemi, kultury, języka.

Wystarczy wysłać swój adres, aby otrzymać najnowszy numer.
Serdecznie zapraszamy.

Koszt prenumeraty rocznej — 26 numerów (półrocznej — 13 numerów) wynosi:
FF 320 (190), DM 95 (60), £ 38 (25), SUSA 55 (35), SCAN 70(45), SAUS 80 (50)

Sprawy i troski

Refleksje emigranta

Od ponad trzydziestu lat mieszkam w kraju emigrantów. Choć kultura anglosaska — język, system polityczny, administracyjny, społeczny, system naukowy i tradycja — jest nadal dominująca, na współczesne społeczeństwo Australii składa się ponad sto narodowości. Niektóre z nich (Włosi, Grecy, Jugosłowianie, Chińczycy) liczą setki tysięcy.

Szereg czynników złożyło się na to, iż powstało w Australii autentyczne wielokulturowe społeczeństwo, funkcjonujące na co dzień w sposób harmonijny, t.j. bez ostrych konfliktów, a nawet napięć. Od blisko dwudziestu lat pojawiło się wiele mniejszości „kolorowych”, głównie z Azji, a więc z najbliższego sąsiedztwa. W artykule tym nie będzie miejsca na analizowanie przyczyn i polityki, które doprowadziły do sukcesu Australii jako kraju emigrantów. Poprzestańmy na stwierdzeniu, że wszyscy nowoprzybyli posiadają *de iure* i — co najważniejsze — *de facto* równe prawa. W różnych sytuacjach życiowych mogą mieć miejsce preferencje związane z narodowością emigranta np. ubiegającego się o pracę w pewnych dziedzinach. Na ogół jednak dla każdego w końcu znajdzie się miejsce, a poszczególne grupy etniczne mają wszelkie warunki utrzymania własnej kultury, z prasą, radiem, klubami, zespołami artystycznymi itd. Istniejący system opieki społecznej i administracji uwzględnia wielojęzyczność społeczeństwa za pomocą opłacanych przez państwo tłumaczy i wszelkiej oficjalnej informacji dostępnej w wielu językach.

Ten krótki wstęp był potrzebny zanim możemy przejść do właściwego tematu — refleksji emigranta. Chodziło o to, że refleksje, którymi chcę się tutaj podzielić, nie wynikają w żadnym wypadku z jakiegoś osobistego zawodu. Jest to bardzo istotne, bo wszyscy wiemy, iż nasz sposób widzenia świa-

ta jest z konieczności uwarunkowany stopniem naszego osobistego powodzenia lub porażki. Jeśli więc o mnie chodzi — trafiłem do najlepszego kraju emigracji jaki istnieje, zintegrowałem się (nie mylić z asymilowaniem) dobrze, dopisało mi zdrowie i powiodło mi się — same pozytywy. I patrząc wstecz na moje życie, którego większość już przeżyłem, poza własnym krajem, wśród obcych, powiem wprost, że nie żałuję, iż tak się potoczyło. Mam więc nadzieję, że daje mi to warunki do dystansu i legitymację dla dość obiektywnej wypowiedzi.

Nie będę się zajmował sprawą uciekinierów (*refugees*), którzy z tych czy z innych względów opuszczają własny kraj z przymusu. Nie podejmują oni swej decyzji z wolnej woli. I choć ich doświadczenia i proces urządzania się w nowym, obcym kraju nie różnią się wiele od sytuacji dobrowolnych emigrantów, fakt iż mają (w rzeczywistości czy we własnej percepcji) odcieętą drogę powrotu stanowi istotną różnicę. Mówiąc o emigrantach będę się opierał nie tylko na własnych doświadczeniach czy na obserwacjach rodaków. Będę się starał wykorzystać także doświadczenia innych narodów, jednostek czy grup, aby nadać tym uwagom bardziej ogólny i obiektywny charakter.

Przechodząc więc do „rzeczywistych”, a więc dobrowolnych emigrantów musimy na początku wymienić cztery czynniki, które wyznaczają ramy naszych rozważań.

1. Opuszczenie kraju rodzinnego, w którym człowiek się wychował i wykształcił i gdzie nadal pozostanie większość bliskich mu osób jest fundamentalną decyzją życiową. Z jej wagi i konsekwencji nie sposób od razu zdać sobie sprawę.

2. Bez względu na indywidualną motywację, która doprowadza do decyzji emigracji, wiąże się z nią oczekiwanie polepszenia swego losu.

3. Do podstawowych potrzeb człowieka należy potrzeba przynależności. Stopień uzyskania jej w nowym kraju, wśród obcych ludzi będzie miarą powodzenia powziętej decyzji. Oczywiście najbardziej typowym sposobem spełnienia tej potrzeby jest spędzenie życia wśród bliskich, w kraju swego urodzenia, w swojej kulturze.

4. Mimo trudności, zawodów, indywidualnych niepowodzeń czy klęsk, historia pełna jest przykładów sukcesu emigranta. W wielu krajach rosnące grupy etniczne, ich zamożność i znaczenie stanowią ilustrację witalności i powodzenia mniejszości wśród nowej i obcej kultury.

Początki

Jak łatwo przewidzieć najtrudniej jest na początku. Nie tylko dlatego, że jak przy każdej zmianie i nowym przedsięwzięciu trzeba się wszystkiego nieomal „uczyć od nowa”. Nowe otoczenie napawa nieufnością, potęguje normalne trudności. Obcy, nieznanymi zwyczajami, powoduje instynktowny sprzeciw, co obce zwykle wydaje się złe. Nie pomaga tu w pełni nawet niezła (lub całkiem dobra) znajomość języka. Zaś konieczność nauczenia się go wzmacnia oczywiście wielokrotnie wszystkie trudności i przeszkody.

Na tym etapie wiele zależy od ogólnej sytuacji, czy przypadku. Jeśli początki w nowym kraju zbiegną się z okresem kryzysu czy długotrwałej recesji, znalezienie pracy i zainstalowanie się okazuje się o wiele cięższe niż zwykle. Jeśli dopisuje zdrowie i trochę szczęścia pierwsze kroki, miesiące czy lata mogą okazać się mniej trudne. Wypadek losowy czy choroba natomiast mogą odegrać rolę kataklizmu. Bardzo wiele zależeć będzie od naszego nastawienia, od wizji nowego kraju, z jaką zdecydowaliśmy się wyjechać.

Oczekiwania

Jest zrozumiałe, iż decydując się na emigrację oczekujemy zawsze poprawy swego losu. Istotna jest jednak wizja tej poprawy, z jaką wyruszamy „w świat”. Jeśli będzie się na nią składał obraz jakiegoś „eldorado” — możemy być pewni niewątpliwego zawodu. Jeśli gotowi jesteśmy do ciężkiej pracy, a w szczególności liczymy na własne siły — będzie nam łatwiej przezwyciężyć nieuniknione początkowe trudności. I ile jednak liczymy na pomoc z zewnątrz, czy to ze strony rodziny lub znajomych w nowym kraju, czy też po prostu od współziomków czy państwa opiekuńczego — czeka nas z pewnością rozczarowanie.

Tak się składa, że nowoprzybyli zwykle spotykają się przynajmniej w jakimś stopniu z objawami ludzkiej pomocy czy życzliwości. Ale okazuje się, iż ci którzy jej nie oczekiwali przyjmują ją z wdzięcznością i aklimatyzują się szybciej i lepiej. Ci natomiast, którzy jej się spodziewali czują rozgoryczenie, mają do wszystkich pretensje i najczęściej zaliczają się do zawiedzionych czy „nieszczęśliwych”.

Do kategorii oczekiwania należą też wszelkie uzasadnione i

urojone rozczarowania z racji wykształcenia czy kwalifikacji. Wszak jest zupełnie zrozumiałe, że nawet najlepszy specjalista, którego kwalifikacje zawodowe zostały zaraz po przyjeździe w pełni uznane, nie staje się od razu w nowych warunkach pracownikiem o pełnej przydatności, w stosunku do tubylców czy też emigrantów zasiedziały od lat. A przyznajmy, że przecież nie wszyscy należymy do kategorii najwyższej wykwalifikowanych. Poza tym, nawet w najbardziej sprzyjających warunkach, formalne uznanie zagranicznych kwalifikacji nowoprzybyłych musi potrwać jakiś czas.

Swojskie getto czy głęboki ocean?

Jest rzeczą naturalną, że zaraz po przybyciu, szukając kontaktów trafiamy zwykle szybko „w ramiona” rodaków. Bardzo to ułatwia pierwsze kroki, pomaga w zainstalowaniu się, zapobiega zagubieniu, daje oparcie. Nie zdajemy sobie jednak sprawy z dylematu wobec którego stanimy, z ryzyka które podejmujemy i które w zasadniczy sposób wpłynie po latach na ostateczne poczucie satysfakcji lub życiowej porażki.

Wspomnieliśmy już przedtem, iż poczucie przynależności należy do podstawowych potrzeb człowieka. Zasiadali od lat rodacy, dobrze zorganizowana grupa etniczna, „wyciągają ramiona”, oferują oparcie. Stanowią niejako przedłużenie zostawionej w kraju kultury, tradycji, zwyczaju. Kuszą niedzielną szkółką dla dzieci, wspólnym obchodem świąt czy spędzeniem wakacji. Tym nowoprzybyłym, których od razu wchłoną, w jakimś sensie ułatwią start. Utrudnią im jednak zaaklimatyzowanie się w nowym kraju, zintegrowanie w nowym społeczeństwie, które w pewnym minimalnym stopniu jest wszak obiektywnie konieczne. Im bardziej wejdą, im więcej tkwić będą w grupie etnicznej, tym gorszy ich wynik końcowy — szansa włączenia się do nowego społeczeństwa, ten „egzamin dojrzałości emigranta”.

To prawda, że alternatywa jest trudna: spotykanie i nawiązywanie znajomości z ludźmi o innej kulturze i doświadczeniu życiowym. Nie mamy z nimi nic wspólnego: nie znają naszej przeszłości, a ich doświadczenia nie są dla nas zrozumiałe. Jest to tym bardziej prawdziwe, im bardziej różni się kultura ojczystego kraju od kraju imigracji. Okaże się, że inni nowoprzybyli, choćby odrębnej rasy czy języka będą nam o tyle bliżsi, iż przynajmniej będzie nas łączył

obecny los. Ale i oni będą poza tym ludźmi obcymi. Towarzyskie spotkania na tym „oceanie obcości” wymagać od nas będą pewnego wysiłku i będzie je cechować jakaś nieuchronna sztuczność. Kiedy rozstaniemy się po wspólnie spędzonej niedzieli — choćby bardzo przyjemnej — nadejdzie refleksja inności i związane z tym poczucie samotności.

Nagrodą za to będzie szybsza integracja. Zetknięcie się z „innością” pozbawione współzawodnictwa czy konfliktu interesów zaowocuje zwykle odkryciem, że pod wieloma względami ci inni jakoś nie we wszystkim różnią się od nas. Stopniowo nastąpi rewizja dawnych uprzedzeń czy resentymenatów, rasowych, narodowościowych, religijnych. Wyrzemy poza własną parafię, nasze horyzonty zaczną się rozszerzać.

Drugie pokolenie

Nawet gdybyśmy zdecydowali się na komfort i oparcie swojskiego getta, *nolens volens* czeka nas w jakimś stopniu „utrata” własnych dzieci, a ściślej kulturowej więzi, która nas łączyła. Poprzez kontakty z rówieśnikami, przede wszystkim więc przez szkołę, wejdą oni bardziej niż my w nowe społeczeństwo. Niezależnie od tego jak bardzo będziemy się starali utrzymać ich w naszej dawnej kulturze, nasze wysiłki muszą być w dużym stopniu skazane na porażkę. Kiedyś może już jako ludzie dojrzały, będą nasze dzieci odgrzebywały i umacniały swoje korzenie. Poprzez wyjazdy do kraju rodziców i dziadków, rzadziej poprzez studia ich historii czy języka. Na razie jednak, w zrozumiałym dążeniu do konformizmu, będą się starały w jak największym stopniu upodobnić się do tubylców i w jak najmniejszym stopniu różnić się od nich. Będą więc szybciej niż my, starsi, nasiąkali „nowym”, a im bardziej na siłę będziemy je trzymać w starej kulturze, tym większy pociągnie to za sobą międzypokoleniowy antagonizm.

Również i w tych wypadkach kiedy dzieci emigrantów wyrosną jako w pełni dwujęzyczne, nawet jeśli po niedzielnej szkółce zachowają umiejętność czytania i pisanie języka ojców, ich odejście od starego i nasiąknięcie nowym jest naturalne i nieuniknione. Dla zaciętych obrońców postulatów „utrzymania polskości” za wszelką cenę, tu właśnie jest miejsce na stwierdzenie, iż decyzja emigracji prawie zawsze stanowi odejście od dawnej kultury, najdalej w drugim pokoleniu. W dalszej części naszych rozważań będzie miejsce na

refleksję czy i w jakim stopniu sam ten fakt jest stratą, czy być nią musi.

Nasiąkanie „obcym”

Im bardziej zintegruje się emigrant w nowym kraju i wsiąknie w wielokulturowe społeczeństwo, tym większy wpływ będzie na niego miało nowe otoczenie. Proces „nasiąkania obcym” zaczyna się niepozornie, niemal od pierwszego dnia pobytu. Poczyni on znaczne postępy na długo zanim każdy z nas po raz pierwszy sam to zauważy i zda sobie z tego sprawę. Nowe zwyczaje, sposób zachowania, ogólne zasady współżycia, a także system prawny, z którym najpierw zapoznajemy, a później integrujemy się niepostrzeżenie — wszystko to „inne i obce” staje się powoli częścią nas.

Nawet gdy tkwić będziemy nadal w znacznym stopniu w bezpieczeństwie swojskiego getta, nie unikniemy całkowicie procesu nasiąkania „obcym”. Ujawni się to w sposób jaskrawy w czasie pierwszej wizyty w starym kraju.

Odwiedziny kraju

Planowana od lat, często wyidealizowana, pierwsza wizyta w kraju, obok zrozumiałej radości i satysfakcji powrotu do bliskich ludzi i stron, zakończy się także nieuchronną refleksją o naszej własnej „inności”. Upływ czasu w każdym wypadku powoduje rozluźnienie więzi międzyludzkich, pociąga za sobą zmianę warunków i sposobu myślenia. I „ich” i nas. Irytuje nas teraz ich styl życia i sposób spojrzenia na świat, który kiedyś w dużym stopniu należał do nas samych i byłby teraz zapewne i naszym gdybyśmy pozostali w starym kraju.

Wyjeżdżając na stałe do innego kraju musieliśmy jakoś rozszerzyć własne horyzonty, choćby już tylko przez zetknięcie się z innymi ludźmi i życie wśród nich. Musi więc nas teraz drażnić parafialność i prowincjonalizm, czy wąski widnokrąg własnych problemów. I ta refleksja będzie nam towarzyszyła w przyszłych związkach z krajem i z bliskimi, którzy tam żyją.

W zawieszeniu

O ile, nawet po wielu latach życia w nowym kraju, mamy jakąś świadomość zdomowienia się i stabilności, rzadko

wiązać się ona będzie z poczuciem pełnej przynależności do nowego społeczeństwa. Ze zrozumiałych względów zawsze, w jakimś stopniu, pozostajemy *outsider*ami. Tym więcej im bardziej żyliśmy naszą ojczystą kulturą i im bardziej różni się ona od kultury kraju naszego osiedlenia. To, że — wobec innych — określać się już będziemy jako obywatele nowego kraju nic tu nie zmienia. Fakt naszej obcości pozostaje faktem.

Ale wizyta w starym kraju — ta pierwsza i te następne — uzmysławia dość szybko, że nie należymy już i tam, że i w starym kraju staliśmy się w jakimś stopniu obcymi.

W ten sposób zdajemy sobie sprawę z podstawowej doli każdego emigranta. A jest nią fakt zawieszenia pomiędzy dwoma kulturami, nieuchronne wysadzenie z siodła. I psychologicznie ciekawe — w końcu zrozumiałe — jest to, iż taki status, takie uczucie jest zupełnie niezależne od stopnia sukcesu lub porażki, jakim się charakteryzuje doświadczenie emigracyjne każdego z nas. Istotnym czynnikiem jest już sam długi okres przebywania poza własnym krajem.

Zyski i straty

Bilans naszej decyzji wynikać będzie nie tylko z tego jak się potoczą nasze losy w nowym kraju. Zasadniczy wpływ — jak się okaże — będzie miała nasza postawa psychiczna, zdolność adaptacji, gotowość do większej samodzielności i wolności. Dla ludzi, którzy wyraźnie potrzebują oparcia w miejscowym, znanym im środowisku, którym rodzina i „własna parafia” dają konieczne poczucie stabilności i bezpieczeństwa — bilans emigracji okaże się ujemny. I to bez względu na zdobyty w nowym kraju stopień zamożności czy komfortu. Dla nich życie „wśród swoich” okaże się najważniejsze.

Dla tych natomiast, którzy są bardziej zdolni do przeżycia zasadniczej zmiany i posiadają potrzebną do tego elastyczność i hart ducha — emigracja otwiera nowe perspektywy i horyzonty. Zaspokajają ciekawość świata (którą wszak nie wszyscy mają). Odnajdują oni, że zbyt wąsko pojęty patriotyzm zawiera szereg pułapek i przestaje być cnotą. Że własna kultura nie zawsze oferuje najlepsze spojrzenie na świat, że żyjąc w szerokim świecie, wśród innych ludzi, zyskujemy większe szanse odkrycia humanizmu i bardziej ogólnych, uniwersalnych wartości.

Jest zrozumiałe, że opuszczenie własnego kraju musi się wiązać ze znacznym odejściem od niego i od spraw tam ważnych. Rozszerzą się nasze lojalności, których przynajmniej część będzie teraz należna krajowi naszego osiedlenia. Nie jest jednak prawdą, iż zakorzenienie w nowym kraju, wyjście na szeroki świat, musi oznaczać zerwanie czy utratę zainteresowań sprawami kraju pochodzenia. W rzeczy samej ci emigranci, którym wielokulturowe doświadczenie dopomogło w ich osobistym rozwoju, potrafią stanowić pomost pomiędzy dwoma krajami: starym i nowym. Umieją oni skierować swoje zdolności i energię w obie strony. To właśnie są ludzie, dla których Juliusz Mieroszewski ukuł przed laty w *Kulturze* termin „kosmopolak”. Istnieją oczywiście „kosmowłosi”, „kosmogrecy” i inni.

Nie jest z pewnością żadnym „patriotycznym obowiązkiem” mieszkanie we własnym kraju, jak to głosi jeden z polskich mitów. Świat należy do wszystkich, każdy ma prawo żyć tam, gdzie wydaje mu się łatwiej pokierować swoim losem. Współczesny świat charakteryzuje wielka ruchliwość ludzi, tak w obrębie własnego kraju jak i pomiędzy różnymi krajami. Z punktu widzenia wzajemnego poznania i współżycia jest to niewątpliwie zjawisko pozytywne, nawet jeśli w poszczególnych krajach czy okresach obserwujemy konflikty pomiędzy imigrantami a ludnością tubylczą.

Nie jest także na ogół jakąś oczywistą stratą dla danego kraju fakt, iż w pewnych okresach nasila się liczba osób udających się na emigrację. Wyłączając sytuacje krańcowe (np. wojny) rzadko ruch emigracyjny oznacza dla danego kraju wyraźny drenaż, bolesną utratę ludzi o pewnych kwalifikacjach. Jeśli wyjeżdżają ludzie wykształceni, to na ogół dlatego, iż we własnym kraju nie mogą znaleźć odpowiedniego zatrudnienia. Ale nawet tzw. *brain drain* nie oznacza katastrofalnej utraty kadr czy specjalistów. W warunkach normalnych, przy istnieniu wolnego rynku pracy, stanowi on część mechanizmu samoregulacyjnego.

Posiadanie w świecie znacznej diaspory przynosi wyraźne korzyści dla kraju pochodzenia. Chodzi już nie tylko o prywatne transfery (z tytułu pomocy dla rodzin), które są poważną pozycją w bilansie handlowym i przyczyniają się do rozwoju i bogactwa kraju. Grupy etniczne w różnych krajach stanowią naturalny kanał dla rozwoju wzajemnego handlu. Stają się źródłem wymiany towarowej, często na znaczną skalę. Łatwo to zaobserwować na przykładzie setek tysięcy Włochów czy Greków zamieszkujących kraje Nowego Świata

(Amerykę, Kanadę, Australię). Narodowości te charakteryzuje wielka przedsiębiorczość, ale ich rola jako emigracyjnych grup etnicznych jest po prostu dobrą ilustracją wykorzystywania istniejącego potencjału.

Sydney, styczeń 1994

Jerzy BONIECKI

Dziedzictwo ekologiczne Drugiej Rzeczpospolitej

SZEŚĆDZIESIĘCIOLECIE USTAWY O OCHRONIE PRZYRODY

W marcu 1934 roku Sejm Rzeczpospolitej przyjął niemal jednogłośnie (z wyjątkiem głosów posłów komunistycznych) projekt ustawy o ochronie przyrody. Sześćdziesiąta rocznica uchwalenia pierwszej polskiej ustawy sejmowej dotyczącej ochrony przyrody skłania do refleksji nad historią polskiej ekologii jak i nad jakże imponującym w tej dziedzinie dorobkiem Drugiej Rzeczpospolitej. Okres pięciu lat jaki upłynął od zmiany systemu w 1989 roku skłania także do porównań osiągnięć i porażek dwudziestolecia międzywojennego i Polski ostatnich lat.

Z pewnością ochrona przyrody nie była najważniejszym z problemów walczącego o odrodzenie i utrzymanie swoich granic Państwa Polskiego. Tym większy podziw wzbudzić musi szybkość z jaką zajęto się problematyką środowiska przyrodniczego. Pomniki natury uwzględniono bowiem już w dekreście Rady Regencyjnej z 31 października 1918 roku „O opiece nad zabytkami sztuki i kultury”. W ministerialnym dekreście z 15 września 1919 wymieniono zarówno szereg gatunków roślin i zwierząt, czarnego bociana, orła przedniego, pardwę, łosia, bobra, kozice, azalię pontyjską, różaniecznika wschodniokarpackiego, jak i wyjątkowo cenne pomniki przyrody. W pierwszym okresie niepodległości szczególnie duże znaczenie przywiązywano do przyrodniczych pamiątek,

związanych z historią naszego kraju, jak choćby, do kamienia Filaretów na drodze z Tuchanowicz do Baranowicz, lipy Chodkiewicza w Rudawie Nowogródzkiej, pnia starego dębu zamienionego w osiemnastym wieku na kaplicę we Wróblowicach koło Drohobycza, Świtezi Nowogródzkiej związanej z pamięcią Mickiewicza, Góry Królowej Bony pod Krzemieniem, kamiennych pamiątek kultury przedchrześcijańskiej na Górze Bohut nad Zbruczem. Zarówno teksty przyrodnicze jak i akty prawne z tamtej epoki uświadamiają nam jak bardzo tradycja przyrodnicza jest częścią kultury w ogólnym znaczeniu tego słowa, a także przypominają wyjątkowe bogactwo kulturowo-przyrodnicze kresów wschodnich Rzeczypospolitej. Nietrudno jest także zrozumieć znaczenie jakie przywiązywali przyrodnicy dopiero co odradzającej się Rzeczypospolitej do pamiątek związanych z historią naszej kultury.

Już w pierwszych miesiącach po odzyskaniu niepodległości rozpoczęto organizację państwowych struktur ochrony przyrody. Na początku 1919 roku Władysław Szafer objął kierownictwo Państwowej Komisji Ochrony Przyrody. Twórcy polityki przyrodniczej Drugiej Rzeczypospolitej stanęli przed bardzo trudnym zadaniem. Z jednej strony opracowanie polityki i prawa nie było łatwe ze względu na jakże różnorodne tradycje i rzeczywistość pozostawione przez zaborców. Stąd zapewne wynikała konieczność powołania Kuratoriów Ochrony Przyrody w Warszawie, Lwowie i Poznaniu. Z drugiej strony w zdewastowanej wojenną eksploatacją Polsce trudno było znaleźć kompromis pomiędzy koniecznością ochrony terenów szczególnie cennych przyrodniczo, a koniecznością odbudowy gospodarczej kraju. Znaczenie eksploatacji drewna w Puszczy Białowieskiej dla gospodarki nie pozwoliło w pierwszym okresie na przekształcenie całości lasów białowieskich w park narodowy, a jedynie na wydzielenie powierzchni 4,5 tysiąca hektarów dla potrzeb nowo organizowanego rezerwatu.

Zresztą jeszcze piętnaście lat później Władysław Szafer, uzasadniając konieczność uchwalenia nowej ustawy, zapewniał posłów iż ochrona przyrody nie będzie nadmiernym obciążeniem dla znajdującego się w jakże trudnej sytuacji budżetu państwa. Konieczne było także pogodzenie interesów ochrony przyrody z polityką państwa wobec własności prywatnej. Nie wszędzie przecież sytuacja była tak dobra jak w masywie Babiej Góry, gdzie właścicielem terenów na których utworzono park narodowy była Polska Akademia Umiejętności czy w Tatrach Wysokich, gdzie tereny o szczególnych walorach przyrodniczych należały do Fundacji Zamoyskich. Stąd sta-

rania Władysława Szafera o zagwarantowanie prawnej możliwości ochrony szczególnie cennych obiektów przyrodniczych bez zgody, a nawet wbrew woli właściciela. Stąd także zapisy prawne w ustawie o reformie rolnej o konieczności uwzględnienia w projektach parcelacyjnych zabytków przyrody i w ustawie o scalaniu gruntów, wyłączającej tereny zawierające osobliwości przyrodnicze.

Grupa przyrodników i prawników opracowujących podstawy polskiej polityki przyrodniczej uznała, iż lepiej jest poczekać z przygotowaniem ustawy zasadniczej i wykorzystać w niej doświadczenia innych krajów niż pośpiesznie ustanowić prawo nie gwarantujące zabezpieczenia ochrony polskiej przyrody. W tym celu Jan Gwalbert Pawlikowski, prawnik, ekonomista, literaturoznawca, ale także taternik i znawca przyrody gór, przygotował tłumaczenie zachodnioeuropejskich przepisów prawnych, chroniących środowisko naturalne. Poza dorobkiem prawniczym Zachodniej Europy wykorzystywano także przepisy (ciągle obowiązujące) krajów zaborczych. Często ich wyszukiwaniem i przypominaniem zajmowali się urzędnicy nowej polskiej administracji.

Starosta pucki w swoim piśmie w 1921 roku przypominał rozporządzenie prezesa Regencji Gdańskiej z 1902 roku o ochronie mikołajka nadmorskiego, a starosta nowotarski przypominał galicyjskie i austriackie przepisy o ochronie kozicy, świstaka, jeży, nietoperzy i szeregu gatunków ptaków. Niemalże znaczenie w opracowywaniu polityki ochrony przyrody miał także dorobek i doświadczenia polskich przyrodników z okresu zaborów, jak choćby prace nad ochroną roślinności stepowej i leśnej profesora Paczoskiego czy też opracowany przez lwowskich leśników i profesora Raciborskiego projekt utworzenia sieci rezerwatów.

Organizatorzy polskiej polityki przyrodniczej zdawali sobie sprawę, iż nawet najlepsza ustawa nie gwarantuje ochrony środowiska naturalnego. Dlatego też tak bardzo zabiegano o uspołecznienie troski o przyrodę, o utworzenie masowej organizacji (w 1927 roku powołano do życia Ligę Ochrony Przyrody), o rozpowszechnienie oświaty i edukacji przyrodniczej, o współpracę z harcerstwem, o zainteresowanie problematyką przyrodniczą kościoła. Starano się także aby przepisy prawne chroniące środowisko naturalne stały się nieodłącznym elementem innych aktów prawnych, jak np. obowiązek sadzenia i utrzymania drzew w ustawie o przepisach porządkowych na drogach publicznych czy w ustawie wodnej – zakaz zanieczyszczania wód.

Spore sukcesy odnosiła polska polityka przyrodnicza poza granicami naszego kraju. Warto przypomnieć aktywny udział delegacji polskiej, a zwłaszcza profesorów Szafera i Siedleckiego w pracach nad utworzeniem Międzynarodowego Biura Ochrony Przyrody w Brukseli. Współpracę Polski z jej sąsiadami, Czechosłowacją i Rumunią, a zwłaszcza umowy dotyczące ochrony terenów przygranicznych zakończone utworzeniem strefy ochronnej w Masywie Czarnohory w Beskidzie Wschodnim, a także starania o ochronę Bałtyku i współpracę w tym zakresie z Niemcami i krajami skandynawskimi uznawano w owym czasie za modelowe dla innych krajów europejskich. Angielszczyzna broszura Władysława Szafera „*On the protection of the Nature in Poland during the last five years 1920-25*” była rozprowadzana przez Międzynarodową Unię Biologiczną.

Zabiegi Polski o międzynarodową akcję ochrony wielorybów czy też o utworzenie organizacji wspierającej finansowo politykę przyrodniczą krajów biednych (nota delegacji polskiej z 12 lipca 1927 podczas obrad Międzynarodowej Unii Biologicznej) wyprzedzały o kilkadziesiąt lat swoją epokę. Warto także podkreślić głęboki patriotyzm polskich przyrodników, delegatów w organizacjach międzynarodowych, dla których zagraniczna polityka przyrodnicza miała na celu nie tylko akcje ochrony przyrody ale także zwiększenie międzynarodowego prestiżu Polski i powrót naszego kraju jako równoprawnego partnera na scenę polityki europejskiej. Zabiegi tak bardzo cenne w tak trudnej dla Polski sytuacji międzynarodowej.

Oczywiście, jak zawsze gdy ścierają się interesy różnych grup, problematyka ochrony przyrody była przyczyną wielu konfliktów. Decyzja administracji, wbrew wcześniejszym zapewnieniom, o budowie kolejki na Kasprowy Wierch i zezwolenie na budowę schronisk w Tatrach Wysokich stały się przyczyną dymisji profesora Szafera ze stanowiska przewodniczącego Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Sytuacja ekonomiczna Polski nie pozwoliła także na realizację wielu spośród projektów rezerwatowych. Wojna brutalnie przerwała zabiegi Państwa Polskiego o ochronę przyrody.

Dzisiaj gdy z perspektywy kilkudziesięciu lat oceniamy dorobek Drugiej Rzeczypospolitej w dziedzinie ochrony przyrody — uderzający musi wydawać się ogrom sukcesów w stosunku do jakże skromnych środków. Wszystkie zabiegi owego okresu dokonane zostały wyłącznie dzięki ofiarności obywateli Rzeczypospolitej i wysiłkowi administracji, bez jakiegokolwiek pomocy finansowej czy też organizacyjnej z za-

granic. Należy zauważyć iż zagraniczna polityka przyrodnicza miała na celu skoordynowanie akcji polskiej z innymi krajami i podniesienie prestiżu Polski, i rzeczywiście była polityką zagraniczną dużego europejskiego kraju, a nie ślepym kopiowaniem obcych wzorców czy też wyzebrywaniem kolejnych kredytów. Podkreślić należy patriotyzm, bezinteresowność ale także wysokie kwalifikacje zawodowe twórców i realizatorów polskiej ochrony przyrody. Przypomnieć także warto ofiarność części elity finansowej społeczeństwa; aż trzydzieści rezerwatów przyrody było własnością prywatną, a utworzenie Tatrzańskiego Parku Narodowego było możliwe wyłącznie dzięki darowi Fundacji Zamoyskich. Adam Stadnicki właściciel Szczawnicy ofiarował na potrzeby nowo tworzonego parku narodowego 20 hektarów swojego lasu. Warto także pamiętać o ekologicznym dorobku nauki dwudziestolecia, to przecież poznański przyrodnik Adam Wodziczko proponował, aby ochronie przyrody nadać podstawy naukowe, to właśnie w Polsce Niepodległej dokonał się przełom w historii ekologii: z okresu konserwatorsko-muzealnego (ochrona pamiątek przyrodniczych) ochrona przyrody przeszła najpierw w fazę ochrony biocenotycznej (ochrona całościowa terenów przyrodniczych), a następnie w pierwszy etap fazy planistycznej (próba skoordynowania rozwoju gospodarczego i ochrony przyrody).

Realizatorzy polityki przyrodniczej posiadali rzadką umiejętność znajdowania kompromisu, a także siłę przekonywania i perswazji zarówno wobec społeczeństwa jak i wobec jego elit politycznych. Zdziwić musi stosunkowo duża skuteczność prac przeprowadzanych w tak trudnych warunkach. Liczba rezerwatów wzrosła z 39 (o powierzchni 1469 hektarów) w 1918 do 180 (o powierzchni 28472 hektary) w 1938. Zdołano uratować ostatni dziewiczy las w Europie Środkowej (Puszcza Białowieska). Przyrodnicy Drugiej Rzeczypospolitej ocalili dwa spośród wielkich ssaków europejskich. Dzięki pracom profesora Vetulaniego zrekonstruowano i przywrócono naturze dzikiego konia leśnego, tarpana. Ocalono także żubra, choć w 1926 roku pozostawało w Białowieży zaledwie sześć sztuk tego zwierzęcia. Postawa i dorobek twórców polskiej polityki przyrodniczej powinny być wzorem dla urzędników Trzeciej Rzeczypospolitej. Miejmy nadzieję, iż przyrodnicze dziedzictwo Polski niepodległej nie zostanie zapaszczone.

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Widmo krąży po Europie, powiedzieliby Marks z Engelsem, widmo eks-komunizmu. Po zwycięstwie „eksów” na Węgrzech liczne zachodnie gazety pocieszały się, że to nie socjalizm wygrał, tylko socjaliści (tak nazywają się dziś dawni komuniści). Trudno wykluczyć, że ci socjaliści to nadzwyczajni ludzie i że przyniosą swym narodom szczęście i dobrobyt. Pozostaje jednak faktem — wystarczy spojrzeć na mapę Europy — że Wschód czerwienieje. Coraz więcej narodów jak najdemokratyczniej w świecie głosuje na swych byłych władców: Litwa (że nie wspomnę o innych byłych republikach sowieckich), Polska, Słowacja, Słowenia, Bułgaria, Rumunia...

Przede wszystkim jednak wypada wspomnieć o Rosji. W 5-tym numerze *Kultury* ciekawy artykuł Tadeusza Kosobudzkiego pod smutnym tytułem „Stracone szanse” zaczyna się od słów: „Grzechem pierworodnym polityki wschodniej RP było zlekceważenie układu sił w świecie w 1989 roku”. Artykuł angielskiego publicysty Briana Beedhama w *International Herald Tribune*, zatytułowany „Zachód pomylił się, rozbijając się po zimnej wojnie”, zaczyna się od apelu: „czas otrząsnąć się, przetrzeć oczy i zacząć wszystko od początku. Demokracje przez ostatnie pięć lat robiły nie to, co należało, bo nie wiedziały, co należy robić. Nie rozumieliśmy, czego historia od nas oczekuje”.

Zdaniem Tadeusza Kosobudzkiego autorem doktryny politycznej, na której oparto polską politykę zagraniczną, jest teatrolog. Nic nie mam do teatrologów, ci, których znam, są bardzo sympatyczni, ale sami przyznają, że polityka zagraniczna to nie ich fach.

W „demokracjach”, tzn. w Stanach Zjednoczonych i innych okrzepłych państwach demokratycznych, polityką zagraniczną zajmują się fachowcy. To nie ulega kwestii. Ale ci fachowcy pomylili się („teatrologicznie”...), myśląc, że zwyciężyli „imperium zła” i wobec tego nastanie era powszechnego pokoju i przyjaźni. Źródłem tej pomyłki była ich absolutna nieznajomość historii. Najśmieszniejszym wyrazem tej ignorancji była oszałamiająca — choć krótkotrwała — popularność oświadczenia amerykańskiego fachowca, że nastąpił „koniec historii”.

Pozostawmy filozofom ocenę, czy to dobrze, czy źle, ale — jak powiedział Lenin — fakty są uparte. Faktem zaś jest, że historia się nie skończyła i że przeszłość nie znika, lecz żyje w nas. Widać to doskonale w Rosji. Kiedy zapadły się jak pod ziemię wszystkie dobrze znane drogowskazy, hasła i pojęcia, Rosjanie zaczęli szukać w przeszłości elementów, które pozwolą im pojąć, co się dzieje, pocieszyć się i zaczerpnąć nadziei na przyszłość. Sukces Żyrynowskiego, autora programu polityki zagranicznej pod hasłem „ostatni skok na południe”, czyli na Ocean Indyjski, wszystkich polityków rosyjskich zawrócił do idei mocarstwa jako hasła, zdolnego porwać masy. Aleksander Ruckoj, były wiceprezydent i niedawny więzień tiumny pod zachęcającą nazwą „Zacisze marynarzy”, ogłosił, że tworzy nową partię pod bardzo starą nazwą „Mocarstwo”.

Ciekawym głosem w rozwijającej się kampanii na rzecz idei mocarstwowej jest książka, która ukazała się równocześnie w Stanach Zjednoczonych i Francji (wkrótce można spodziewać się jej także w innych krajach) i wzbudziła spore zainteresowanie w Rosji. Zanim i tam zostanie ogłoszona, w licznych gazetach ukazują się obszernie fragmenty z komentarzami. Książka zaczyna się tak: „Nazywam się Paweł Anatoljewicz Sudopłatow, nie myślę jednak, by kto znał moje nazwisko, ponieważ przez pięćdziesiąt osiem lat było ono jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic Związku Sowieckiego”. Sudopłatow wyjaśnia, dlaczego był taką tajemnicą: „Biuro misji specjalnych, którym kierowałem, zajmowało się sabotażem oraz porywaniem i zabijaniem naszych wrogów za granicą”. Autor od pierwszych słów kłamie: wrogów porywano i zabijano nie tylko za granicami Związku Sowieckiego.

Książka nosi tytuł „Misje specjalne. Wspomnienia niepożądanego świadka. Wielki mistrz szpiegostwa sowieckiego”. Jak przystało na powieść kryminalną, wszystko w niej jest zagmatwane, niejasne, pełne aluzji z podwójnym albo i potrój-

nym dnem. Zaczyna się od autora. Na okładce widnieją cztery nazwiska: Paweł Sudopłatow, jego syn, profesor ekonomii Anatolij Sudopłatow, a także Jerrold L. Schecter i jego żona Leona P. Schecter. Każdy, kto choć trochę zna historię Sowietów, zgodzi się, że był i piąty, nie wymieniony autor (autorzy?) — mianowicie cenzor.

Państwo Schecter — on jest amerykańskim dziennikarzem, ona agentką literacką — byli związani z publikacją wspomnień Chruszczowa. Kiedy Anatol Sudopłatow zaproponował im wspomnienia ojca, nie okazali entuzjazmu, bo w streszczeniu znaleźli tylko rosyjskie nazwiska. Wtedy syn dorzucił dwa rozdziały, które zainteresowały gości zza oceanu: szpiegostwo atomowe i zabójstwo Trockiego. To zmieniło oblicze sprawy: podpisano umowę.

Książka (500 stron) oparta jest na wielogodzinnych opowiadaniach Pawła Sudopłatowa, opracowanych przez Schecterów i opatrzonych ich komentarzem, który błyszczy ignorancją. Rosyjski oryginał nie istnieje. „Misje specjalne” wyszły po angielsku i z angielskiego przetłumaczone zostały na francuski. Fragmenty, które ukazują się w rosyjskich gazetach, są przekładem z francuskiego. Cytaty, które będą przytaczał — z angielskiego. Wydaje mi się, że angielski lepiej tu pasuje. Amerykanie, na przykład, nazywają Pawła Sudopłatowa „niepożądanym świadkiem”, Francuzi — „mistrzem”, moskiewska *Krasnaja zwiezda* „głównym dywersantem Sowietów”, sam zainteresowany zaś „żołnierzem”. Z książki wynika, że był mordercą. Mordował własnymi rękami, a także rękami podwładnych. „Mistrz szpiegowski” nazywa się żołnierzem nie dlatego, że zabijał wrogów, jak robią żołnierze na froncie, ale dlatego, że ich zabijał na rozkaz — rozkaz rządu sowieckiego, czyli towarzysza Stalina.

„Misje specjalne” są ciekawe dlatego, że obiecują wyjaśnienie rozmaitych tajemnic, sekretów i zagadek, ale jeszcze ciekawsze są dlatego, że — wbrew woli autorów — uzupełniają naszą wiedzę o mechanizmach zbrodni systemu sowieckiego i pozwalają lepiej zrozumieć kierunki, w których rozwija się obecna Rosja. Zacznijmy jednak od tajemnic, sekretów i zagadek. Paweł Sudopłatow poszedł na służbę do CzeKa mając czternaście lat i do 1953 roku wykonywał wszystkie rozkazy. W 1953 został aresztowany za udział w spisku Berii. W 1938 roku dostał do wykonania pierwsze zadanie: wkręcić się (takiego słowa używali czekaści) w krąg znajomych jednego z przywódców ukraińskiej emigracji antysowieckiej, Jewhena Konowalca, i zabić go. Rozkaz wydał

sam Stalin: „Nie jest to akt zemsty — tłumaczył wódz — chociaż Konowalec jest agentem faszyzmu niemieckiego. Naszym celem w przededniu wojny jest uciąć głowę ruchowi ukraińskich faszystów i zmusić tych gangsterów, aby się sami wymordowali w walce o władzę”. Towarzysz Stalin odpowiedział również, jak to zrobić. Konowalec lubił czekoladę. Należało mu więc podarować bombonierkę z bombą zegarową. Jak powiedziano, tak i zrobiono. Konowalec padł. Sudopłatow dostał order Czerwonej Gwiazdy.

Podczas trzeciej wizyty u Stalina — na pierwsze dwa spotkania Sudopłatow stał się u niego w towarzystwie Jeżowa, tym razem przyprowadził go Beria — autorowi kazano zabić Trockiego. Także w tym przypadku Stalin miał solidne argumenty: jeżeli nie zlikwidujemy Trockiego, nie możemy liczyć na poparcie światowego ruchu komunistycznego. Rozdział, poświęcony tej misji, nosi w książce tytuł: „Zabójstwo Trockiego”, zaś w *Krasnoj zwiezdie*: „Cel ataku: trockizm”. Innymi słowy, misją nie było zabójstwo, lecz walka polityczna.

Sudopłatow opowiada o wszystkim: o tym, co robił sam, o tym, co słyszał od wykonawców, o tym, co opowiadali mu ludzie, którzy sami coś od kogoś słyszeli i o tym, co współautorzy Schecterowie wyczytali w książkach, od dawna znanych na Zachodzie. „Misje specjalne” nie wnoszą niczego naprawdę rewelacyjnego. Czytelnik dowiaduje się na przykład, że zamordowany z rozkazu Stalina wielki aktor Michoels nie został zgnieciony przez ciężarówkę, jak dawniej uważano, lecz najpierw otruty. Główne pytanie, jakie przesładuje czytelnika w toku lektury, jest jasne: czy Sudopłatow mówi prawdę? A ściślej: kiedy mówi prawdę, a kiedy łże i dlaczego?

W jednym punkcie twierdzenia super-szpiega zostały surowo skrytykowane. Paweł Sudopłatow kierował szpiegostwem atomowym — tzn. zdobywaniem tajemnic, dzięki którym Moskwa zdołała bardzo szybko sporządzić bombę atomową. Zdaniem Sudopłatowa wszyscy właściwie wielcy fizycy zachodni (z wyjątkiem Edwarda Tellera i Gieorgija Kistiakowskiego) przekazywali Sudopłatowowi za pośrednictwem jego agentów tajemnice atomowe. Niektórzy, jak Klaus Fuchs, sami byli płatnymi agentami, inni działali z przekonania. Informacji dostarczali Niels Bohr, Enrico Fermi, Robert Oppenheimer, Leo Szilard. Amerykańscy, włoscy i szwedzcy fizycy protestują, wytykają Sudopłatowowi błędy albo zwykłe kłamstwa i żądają dowodów. Mistrz szpiegostwa sowieckiego

dowodów nie przedstawia, każe sobie wierzyć na słowo.

Kto zna stosunki między zachodnią inteligencją a Związkiem Sowieckim, ten wie, że wszystko było możliwe. Niejeden rządca zachodnich dusz był na służbie pierwszego w świecie państwa socjalistycznego. Tym niemniej Sudopłatow, nie mając lub nie podając dowodów, ubiera się w toge sędziego najwyższego. Kogo chce, tego mianuje swoim agentem, sługą OGPU, NKWD i KGB. Wymienia wiele nazwisk, od księcia Janusza Radziwiłła do Jewgienija Jewtuszenki. I zawsze zadawała się pomówieniem bez dowodów. Powoli rysuje się przed oczami schemat, który wyjaśnia wiele „wyznań” Sudopłatowa. Na przykład zabójstwo Kirowa, o którym dziś już wiele wiadomo, Sudopłatow przedstawia jako zwyczajną zemstę zazdrosnego męża. Stalin, owszem, z niego skorzystał, ale go nie zaplanował. Istnieje wiele świadectw, w tym Jelizawiey Poreckiej, żony Ignacego Reissa, też zamordowanego przez kolegów Sudopłatowa, że w zabójstwo Kirowa był wmieszany Siergiej Efron. „Mistrz” zapewnia: Siergiej Efron, mąż znakomitej poetki rosyjskiej Mariny Cwietajewej, w zabójstwo nie był zamieszany. Zaprzecza też, jakoby Stalin uczestniczył w przygotowaniu „sprawy Tuchaczewskiego”, czego dowiedli liczni historycy.

Paweł Sudopłatow pozostał wiernym stalinowcem i kiedy opowiada o sprawkach Stalina, zawsze przypomina, że gdy wciąż powtarzano, iż należy koniecznie zabić Hitlera, to Stalin bał się, że po zabójstwie Führera do władzy mogą dojść politycy, którzy szybko zawrą odrębny pokój z Ameryką i Anglią, co nie leżało w interesie ZSSR. Dlatego nie zlikwidowano Hitlera.

Rehabilitacja Stalina zaczęła się dawno i — z przerwami i wahaniem — trwa. Nowością we wspomnieniach Sudopłatowa są natrętne próby rehabilitacji Berii. Kampania toczy się w dwóch kierunkach. Po pierwsze dowodzi się, że Beria przestał na początku wojny zajmować się organami represji, a po drugie, że zasługuje na wdzięczność i szacunek za to, że pod jego fachowym kierownictwem narodziła się potęga atomowa mocarstwa sowieckiego. Praktycznie to Beria był ojcem sowieckiej bomby atomowej i wodorowej, dzięki którym Związek Sowiecki stał się wielkim mocarstwem.

Paweł Sudopłatow posuwa się dalej — przedstawia Ławrentego Pawłowicza jako człowieka, który po śmierci Stalina rozpoczął reformy, ale nie osłabiał państwa. W tym przeszkodził mu Nikita Chruszczow, którego mistrz szpiegostwa szczerze nie lubi i od którego polityki rozpoczął się upadek

mocarstwa sowieckiego. Sudopłatow odpiera wszystkie oskarżenia, jakie padały pod adresem Berii: „Ustalono dziś — pisze — że Beria nigdy nie szykował się do objęcia władzy i obalenia kolektywnego kierownictwa”. Kto ustalił, Sudopłatow nie zdradza. Tu także należy wierzyć słowu czekisty.

Ostatnie rozdziały książki budzą litość. Po aresztowaniu Berii w czerwcu 1953 roku Paweł Sudopłatow i wielu innych wysokiej rangi czekistów zostało aresztowanych jako współpracowników. Sudopłatow przesiedział piętnaście lat. Wypada odnotować, że nie oskarżano go o morderstwa (po wojnie bardzo aktywnie likwidował przywódców Ukraińskiej Armii Powstańczej na Zachodniej Ukrainie), natomiast kazano mu tłumaczyć się, dlaczego nie zabił marszałka Tito.

Więzienne rozdziały Sudopłatowa są ciekawe, bo pokazują jakie stosunki panowały między KGB i partią. Mimo wielkich początkowych starań weteranów CzeKa, późniejszych pracowników „organów”, by doprowadzić do zwolnienia Sudopłatowa, partia, czyli jej kierownictwo (Chruszczow, a potem Breżniew) nie zgodzili się. W walce między bandytami partyjny gang zawsze był silniejszy od gangu kolegów czekistów.

Paweł Sudopłatow uważa się za żołnierza, który bez sprzeciwu wykonywał rozkazy przywódców, nie wątpiąc ani przez chwilę, że są słuszne. Nie dość tego. Pod koniec wspomnień skarży się: „Mimo rehabilitacji nie zwrócono mi odznaczeń. Niech nikt nie zapomina, że byłem ofiarą represji politycznych”. Sudopłatow chce być męczennikiem wielkiej sprawy państwowej, której służył pod przewodnictwem Stalina i Berii.

Dawno dawno temu Aleksander Galicz napisał piosenkę pod tytułem „Nocna straż”. Toczyła się właśnie kampania przeciw kultowi jednostki, pomniki Stalina zrzucano z piedestałów i chowano w pakamerach. Poecie przyśniło się, że nocą gipsowe pomniki wodza wychodzą na ulicę, ustawiają się w pochód i ruszają przez miasto. „Rzucicie-no tylko tym gipsowym kukłom ludzkiego mięsa, a zaraz znowu nabiorą sił!”, ostrzegął Galicz.

„Misje specjalne” dowodzą, że niebezpieczeństwo nie minęło.

16. 5. 1994

Adam KRUCZEK

Ukraina po wyborach: Czornowił, Juchnowski, Łanowij

Jak przewidywałem, marcowo-kwietniowe wybory do parlamentu Ukrainy zamiast wyjaśnić sytuację polityczną jeszcze bardziej ją skomplikowały. Winna temu zarówno reakcyjna ordynacja wyborcza jak i nieudolność organizacyjna wielu partii demokratycznych. Poniosły one istną klęskę. Dzięki temu zwyciężył blok lewicy: komuniści, socjaliści i rolnicy, zdobywając w sumie około 120 mandatów. Najsilniejszą grupą demokratyczną jest „Ruch” liczący dwadzieścia kilka miejsc. Nacjonaliści wbrew obawom nie podbili zachodniej Ukrainy i mają tuzin posłów. Wielką niewiadomą jest duża grupa 170-ciu „niezależnych”. Od jej opcji może wiele zależeć. Ale parlament nie posiada pełnego składu 450-ciu deputowanych. Obrano ponad 330 posłów, wobec czego w około 120-tu okręgach muszą się odbyć powtórne wybory. Nie przyniosą generalnej zmiany w układzie sił, ale mogą skorygować podział mandatów.

O ocenę sytuacji powyborczej poprosiłem trzech wybitnych polityków w Kijowie, a mianowicie przewodniczącego „Ruchu”, Wiaczesława Czornowiła, byłego wicepremiera Ihora Juchnowskiego i jego wcześniejszego choć młodszego kolegę na tym stanowisku Wołodymyra Łanowego — ekonomistę-reformatora, niekiedy nazywanego „ukraińskim Balcerowiczem”.

Wiaczesław Czornowił, początkowo dziennikarz w młodzieżowej prasie komunistycznej, stał się w latach późnego breżniewizmu działaczem opozycyjnym, jednym z przywódców ukraińskich dysydentów, był skazany na 15 lat więzienia i zsyłki na Sybir. Po uwolnieniu w latach „pierestrojki”, choć z Ukrainy centralnej, działał najpierw we Lwowie, a potem stanął na czele „Ruchu” w Kijowie.

Ihor Juchnowski urodził się w 1925 roku na Wołyniu, w Kniahytyniu koło Równego. Ukończył uniwersytet lwowski i stał się znanym uczonym w dziedzinie matematyki i fizyki. Jest obecnie dyrektorem Zachodniego Centrum Naukowego we Lwowie przy Akademii Nauk. W poprzednim parlamencie był najpierw prezesem Demokratycznego Bloku a potem Rady Narodowej opozycji. W ciągu krótkiego czasu był wiceprezesem w gabinecie Leonida Kuczmy, ale wkrótce na znak protestu przeciwko antyreformatorskiej polityce premiera, podał się do dymisji.

W ostatnich latach Juchnowski, wraz z kilkoma innymi politykami zorganizował we Lwowie ugrupowanie „Nowa fala”.

Podobnie jak z nim, było również z przedstawicielem najmłodszej generacji polityków ukraińskich, Łanowym. Urodzony w 1950 r. w Kijowie w rodzinie robotniczej, pochodzącej spod Winnicy, po studiach pracował jedenaście lat w przemyśle, a w połowie lat 80-tych przeszedł do pracy naukowej w Instytucie Ekonomii, gdzie w 1989 roku grupa 12 młodych ekonomistów pod kierunkiem Łanowego utworzyła zespół na rzecz reform. Powołany w 1991 roku na wicepremiera Łanowij pozostał na tym stanowisku trochę dłużej niż rok. Kiedy na wiosnę 1992 r. zaczął wdrażać radykalną reformę gospodarczą, obóz antyreformatorski wszczął kontrofensywę i przeforsował w lipcu tegoż roku zatrzymanie programu odnowy i dymisję samego twórcy reform. Od tego czasu Wołodymyr Łanowij stoi na czele prywatnego Instytutu Gospodarczego. Wybory wygrał jako przewodniczący grupy „Blok reform dla człowieka”.

Rozmowa z trzema politykami odbyła się na początku maja. Dotyczyła głównie oceny rezultatów wyborów i obecnego układu sił w parlamencie. Oto ich wypowiedzi.

WIACZESŁAW CZORNOWIŁ:

My — to znaczy Ruch — mamy drugie miejsce, niestety po komunistach, i myślę, że będziemy mieli poważny wpływ na rozwój życia parlamentarnego. Zanim przedstawię ogólną sytuację po wyborach, chciałbym jednak zająć stanowisko wobec szerzonych, głównie na Zachodzie, poglądów, że Ukraina stała się czynnikiem destabilizacji, najpierw ekonomicznej, ale też politycznej, wytykając sprawę Krymu, lub zwracając uwagę na pewne problemy regionalizmu. Zwraca się uwagę na zacofanie naszego państwa w porównaniu z sąsiadami jak Polska czy Węgry lub być Niemcy Wschodnie. Wydaje mi się, że świadczy to o bardzo ważnym nieporozumieniu: uzgodnieniu na czym polega specyficzność ukraińskich realiów politycznych. U nas przecież wydarzyły się dwa procesy historyczne wzajemnie ze sobą powiązane. Po pierwsze upadek jednopartyjnej dyktatury komunistycznej a po drugie proces rewolucji narodowej, ukoronowany powstaniem własnego państwa. A to skomplikowało w oczywisty sposób dalszy rozwój zarówno państwowego jak i społecznego. Trzeba pamiętać, że odzyskanie niepodległości odbyło się drogą ewolucji, bez przelewu krwi, bez wielkich kataklizmów. Ale w tym też tkwi minus tego procesu, bo to właśnie spowodowało opóźnienie reform. Przecież na czele państwa znaleźli się ludzie, którzy do niedawna nawet słuchać nie chcieli o niepodległości, demokracji i wprowadzeniu wolnego rynku. Niektórzy z nich dokonali procesu transformacji, zwłaszcza w dziedzinie państwo-

wotwórczej, zerwali z komunizmem, ale nie odważyli się na przejście do obozu reform. Natomiast demokratyczny obóz był zbyt słaby, zbyt podzielony, aby po ogłoszeniu niepodległości dokonać dzieła zmiany systemu politycznego. Nieprzeprowadzenie reform politycznych jest główną przyczyną niepowodzenia reform gospodarczych. A pierwszą naszą porażką były wybory prezydenckie przy końcu 1990 roku. Wówczas to przeciwko jednemu kandydatowi nomenklatury, posługującemu się naszymi hasłami, demokraci wystawili aż pięciu pretendentów i rzecz jasna, że przegrali. Drugą porażką demokratów było to, iż po ogłoszeniu niepodległości, nie potrafili przeforsować obrania nowego parlamentu. Faktycznie mieliśmy pseudo-parlament i pozostaliśmy półkolonią Rosji. Gdybyśmy byli skoncentrowali wszystkie siły i przeforsowali wybory w 1992, mielibyśmy zupełnie inne ciało, niż obecnie.

Przeciwko nam świadczy też to, że dopuściliśmy do kontynuacji systemu władzy sowieckiej. My wleczeni się chyba zupełnie w ogonie tych wszystkich państw ze starego obozu, gdzie pozostały jeszcze elementy starego systemu administracji. Ruch domagał się nowych wyborów od dwóch lat. I nareszcie udało nam się przynajmniej o rok skrócić istnienie starego parlamentu. Ale komunistyczna nomenklatura, mając większość w starym parlamencie, zrewanżowała się uchwalając taką ordynację wyborczą, jakiej nie ma w żadnym państwie europejskim. Wzniesiono takie bariery, iż wybory były nieomalże niemożliwe do przeprowadzenia. Parlamentarzyści z Niemiec mówili mi, że przy takiej ordynacji, w Niemczech w ogóle nie doszłoby do wyborów. W rezultacie nie byliśmy w stanie skompletować izby ustawodawczej o 112-tu posłów. Kurs był w ogóle taki, aby wybory zostały unieważnione i aby pozostała dawna władza.

Mimo to wyborcy się temu przeciwstawili i wybory się jednak odbyły. A w rezultacie powstał zupełnie nowy rozkład sił. Za granicą panuje opinia, że wygrali komuniści. To nie tak. Blok lewicy, czyli komunistyczna partia, dalej partia socjalistyczna i partia chłopska razem uzyskały gdzieś około jednej trzeciej głosów. W przybliżeniu podobny potencjał przedstawiają wszystkie struktury sił demokratycznych. To przede wszystkim frakcja Ruchu, która ma dziś 32 miejsca, i inne partie demokracji, które niestety zdobyły mniej głosów. Dochodzą też niezależni demokraci. No i wreszcie jedna trzecia parlamentu złożona z tak zwanych niezależnych posłów. Większość z nich stoi na gruncie niepodległości, a spora ilość wyznaje poglądy demokratyczne. Wobec tego uważam, że nam się uda stworzyć blok demokratycznego centrum włącznie z umiarkowaną prawicą. Tylko w ten sposób moglibyśmy utworzyć normalny rząd. Poprzednio popełniliśmy błąd, gdyż dawaliśmy do dyspozycji gabinetów

poszczególnych ministrów. Rzeczą oczywistą jest jednak, że należy iść do tworzenia rządu zwartą grupą. Inaczej nie ma sensu.

Jednak sytuacja na Ukrainie komplikuje się na skutek tego, że 26 czerwca ma się odbyć elekcja prezydenta państwa i jednocześnie głosowanie do samorządu. To znaczy, że jedne wybory przechodzą w następne. A jednocześnie mamy do czynienia z paradoksalnym zjawiskiem, którego nie ma nigdzie w nowoczesnych społeczeństwach. Toczy się walka o fotel prezydenta, a na tym fotelu jeszcze nie ustalono funkcji głowy państwa. Wynika to z tego, że u nas wciąż pozostaje w mocy stara konstytucja, z czasów ukraińskiej republiki sowieckiej. Nowa konstytucja, będzie chyba przyjęta drogą powszechnego plebiscytu, i zatwierdzona przez parlament, a my już teraz wybieramy prezydenta, nie znając jego przyszłych funkcji. Dotychczas prezydent miał bardzo szerokie kompetencje ale według projektu nowej konstytucji prerogatywy te mają być ograniczone do funkcji reprezentacyjnych.

IHOR JUCHNOWSKI

Jestem głęboko przekonany, że większość obranych obecnie posłów to porządni ludzie, którzy wiedzą, iż weszli do parlamentu, by umocnić państwo, a nie siać niezgodę. Przed parlamentem stoi przede wszystkim główne zadanie umocnienia państwa. Wszystkie trzy organa władzy: prezydent, parlament i rząd powinny dążyć do usprawnienia prac legislacyjnych. Musi się to odbywać w sensie kontynuacji władzy. Nowo wybrani posłowie nie powinni zaczynać od zera, ale iść dalej, ulepszać już rozpoczęte prace poprzedniej kadencji.

Moim zdaniem należy się skoncentrować na czterech kompleksach, a mianowicie na reformie gospodarczej, umocnieniu służby celnej na granicach z Rosją, rzetelnym uporządkowaniu finansów, dalej na sprawie umocnienia dyscypliny administracyjnej zarówno państwowej jak i samorządowej, po trzeciej — na uporządkowaniu otrzymanego w spadku po imperium olbrzymiego przemysłu zbrojeniowego i po czwarte — na pogłębieniu koncepcji w dziedzinie świadomości narodowej, a to znaczy stabilizacji wewnętrznej.

Możliwość pokonania kryzysu gospodarczego oceniam optymistycznie. Czynię to na podstawie faktów. Ostatnio bowiem odwiedziłem wiele fabryk i stwierdziłem początki poprawy. Proces ten należy przyspieszyć drogą reform i zdyscyplinowania administracji. Ukraina jednak nie będzie ani kapitalistyczną ani socjalistyczną. Musi posiadać sprawny instrument regulacji ekono-

micznego rozwoju i dbać o prawidłowe i uporządkowane przechodzenie do systemu prywatnej własności.

Podstawową sprawą jest rozwiązanie kwestii rolnictwa na płaszczyźnie likwidacji kolchozów i wprowadzenia na ich miejsce kooperatyw z prywatną własnością ziemi i środków produkcji. Ale już teraz należałoby opodatkować produkcję rolną, przynajmniej na kilka lat. Dałoby to państwu gdzieś ponad dwa i pół miliarda dolarów dochodu rocznie. Druga ważna sprawa to jak już powiedziałem uporządkowanie naszego przemysłu zbrojeniowego. Bardzo dużo tych przedsiębiorstw znajduje się w trudnej sytuacji, bo Ukraina nie miała zamkniętego cyklu produkcji broni. Wyrabiamy na przykład znakomite czołgi ale nie mamy do nich odpowiednich dział. Oczekiwania niektórych dyrektorów tych fabryk, że uda się przywrócić stare związki z Rosją, są naiwne. Jelcyń wydał rozporządzenie, że cały cykl zbrojeniowy musi się odbywać wyłącznie w granicach Rosji. Musimy więc ograniczyć produkcję broni do naszych potrzeb obronnych. Trzeba dokonać transformacji tego przemysłu w ramach konwersji a jednocześnie zachowania podstawowych sił fachowców w ramach tego olbrzymiego potencjału.

WOŁODYMYR ŁANOWYJ

Kandydowałem do naszego parlamentu po raz pierwszy i zostałem wybrany w Kijowie. W związku z bardzo specyficzną ordynacją wyborczą powołałem do życia frakcję polityków-pragmatyków z reformistycznymi poglądami. Nazwaliśmy ją „Reformą dla narodu”. Na razie przebiegają prace organizacyjno-przygotowawcze. Będzie to ugrupowanie centrowe o wyraźnie liberalno-demokratycznej orientacji.

W mojej wypowiedzi skupię się na zagadnieniach gospodarczych i na polityce ekonomicznej rządów okresu od mojego odejścia z gabinetu. Rządy premiera Kuczmy polegały na dwóch charakterystycznych cechach: maksymalnym centralizmie przypominającym do żywego przywrócenie rządów sowieckich, przy skasowaniu oczywiście wszystkich poprzednich elementów liberalizmu, oraz na stworzeniu jak najlepszych warunków dla eksportu kapitałów i zapelniania powstałej na skutek tego próżni fikcyjnymi budżetowymi i kredytowymi pieniędzmi. Następnym tego była hiperinflacja, która w ubiegłym roku osiągnęła dziesięć tysięcy procent.

Dlaczego się tak stało, że zlikwidowano rozpoczęte reformy liberalne? Przypominam, że większość naszych przedsiębiorstw do czasu ogłoszenia niepodległości w 1991 roku była podporządkowana Moskwie. Dokładnie 95 procent. I wszyscy dyrektorzy

z początku nie chcieli nawet słyszeć o jakimś rządzie ukraińskim. A nasze ówczesne rządy od Masoła i Fokina począwszy to były czysto prowincjonalne organy administracyjne bez jakiegokolwiek autorytetu prawdziwych rządów i bez doświadczenia. Dominowali dyrektorzy przedsiębiorstw, którzy w liczbie około 200-tu weszli jako deputowani w 1990 roku do parlamentu i utworzyli tam potężną grupę nacisku. Faktycznie to oni wypowiedzieli posłuszeństwo rządowej władzy ukraińskiej. Spowodowało to całkowite zatrzymanie rynkowej prywatyzacji. W rzeczywistości owi dyrektorzy przywłaszczyli sobie zarządzanie przez nich przedsiębiorstwa wraz z dochodami i funduszami walutowymi. Stali się w pewnym sensie monopolistycznymi kapitalistami.

Wyłoniła się zupełnie antydemokratyczna sytuacja. Do tego obrazu należy dodać jeszcze trochę nowego kolorytu, który powstał pod rządami Krawczuka-Zwiahilskiego. Od końca 1993 roku nastąpił stan zupełnego krachu gospodarczego z 90-procentową inflacją na miesiąc, wstrzymaniem całego ruchu płatniczego i zupełnym brakiem waluty, potrzebnej na zakup najbardziej niezbędnych dla egzystencji artykułów. W listopadzie wybuchł kryzys energetyczny. Wówczas rząd zastosował brutalne metody, aby wymusić jakieś środki. Stąd powstało administracyjne ciśnienie na przedsiębiorstwa w postaci podwyżki podatków dochodowych tak, że te podatki przewyższają sumę dochodów. Oprócz tego zostały podwyższone również pośrednie podatki w formie akcyzy i na artykuły importowane. Zaważyła się regulacja kursów wymiennych na waluty obce. Potem doszło do szaleńczej decyzji rządu w postaci werdyktu przeciwko kredytowaniu jakichkolwiek potrzeb przemysłu przez komercyjne banki.

To wszystko razem doprowadziło do obniżenia poziomu produkcji o 38% w porównaniu z rokiem ubiegłym, cofnięcia wskaźników eksportu o 45%. O dochodach przedsiębiorstw nie ma co mówić. Tak samo o inwestycjach. Ludność nie ma środków na tworzenie towarzystw akcyjnych. A władza podrzuciła nam jeszcze jeden dodatkowy prezent. Ucieczka kapitałów doprowadziła do tego, że wkłady przedsiębiorstw i osób prywatnych za granicą wynoszą około 15 miliardów dolarów. A prezydent wydał obecnie rozporządzenie, zgodnie z którym rząd wypuszcza czterysta obligacji, każda o wartości 25 milionów dolarów, czyli na ogólną wartość 10 miliardów dolarów. Jest to nic innego jak próba zalegalizowania wspomnianych pieniędzy, leżących za granicą!

Bohdan OSADCZUK

Problem niemiecki*

1.

W 1991 eksperci Instytutu Zachodniego w Poznaniu sformułowali opinię, która wydaje się warta uwagi. Czytamy w niej: „Nikt jednak nie może dziś wykluczyć ewentualności, iż za kilka lat, kiedy Niemcy okrzepną w swojej potędze i sile, zechcą szukać nowej tożsamości, wykraczającej poza ramy zjednoczonego państwa. Wówczas zagrożenie, jakie stworzą dla siebie, może stać się elementem zapalnym w aspekcie międzynarodowym”. Jest to teza, którą często formułują sami Niemcy — dość uważnie obserwować toczące się w tym kraju dyskusje, by zwrócić uwagę na fakt, iż to, co się określa w polskiej publicystyce mianem „zagrożenia niemieckiego” jest odczuwalne przez samych zainteresowanych. Przy czym nie jest to zagadnienie nowe — pojawia się w historii Niemiec permanentnie, a przynajmniej od momentu narodzin w XIX stuleciu struktur państwa narodowego. Dokonując historycznej interpretacji tego problemu Anna Wolff-Pawęska niezwykle trafnie nawiązuje do refleksji Oswalda Spenglera z roku 1927: „Dzieje wszystkich narodów wyznacza jedna droga od początku do końca. Sens dziejów niemieckich jest inny: Stanowi bowiem ciągle powtarzaną próbę znalezienia początku”. Te uwagi w obecnej sytuacji — po zjednoczeniu państwa niemieckiego — wydają się szczególnie aktualne. Jest też rzeczą oczywistą, że sposób, w jaki Niemcy ów problem rozwiązują, nie może być obojętny dla ich sąsiadów, w tym również dla Polski.

Zagadnienie to trzeba ujrzeć w dłuższej niż doraźna perspektywie czasowej i — biorąc pod uwagę różne warianty rozwoju sytuacji — zakładać alternatywne drogi polskiej polityki niemieckiej. Historia nie stoi w miejscu, zaś ostatnie jej przyspieszenie w sposób niestychanie dramatyczny obnażyło nieprzygotowanie polskich elit politycznych, zarówno komunistycznych i opozycyjnych. Trudno zakładać, że obecny układ sił na arenie międzynarodowej pozostanie niezmienny — przeciwnie: należy się spodziewać jego daleko idących, dynamicznych przekształceń, w trakcie których rola Niemiec w polityce światowej będzie praw-

* „Polska wobec Niemców. Z dziejów kultury politycznej Polski 1945-1989. Praca zbiorowa pod redakcją prof. Anny Wolff-Pawęskiej, Instytut Zachodni. Prace Instytutu Zachodniego Nr 59, Poznań 1993, s. 464.

dopodobnie systematycznie wzrastała. Pozostaje wciąż kwestią otwartą czy polityka niemiecka będzie — jak chcą tego obecne elity tego kraju — funkcją procesów zjednoczeniowych Europy czy też przeciwnie, doprowadzi ona do ich wyhamowania i rozsadzenia. Jedno nie ulega wątpliwości — Polska musi mieć wypracowane alternatywne projekty swej polityki europejskiej, w szczególności zaś polityki wobec Niemiec. Żadne traktaty i porozumienia nie są wieczne, zaś historia polityczna to przede wszystkim dzieje ich łamania i gwałcenia. Z czego, rzecz jasna, nie wynika, że tak musi być również w przyszłości. Ale nie należy z całą pewnością właśnie owych traktatów traktować jako niewzruszonego fundamentu politycznej aktywności. Tym bardziej, że bieg zdarzeń może się radykalnie zmienić za sprawą kompletnie nieprzewidywalnego epizodu.

Z całą też pewnością „problem niemiecki” pozostaje jedną z najistotniejszych spraw polityki polskiej. Pisze autorka wspomnianego szkicu: „Problem niemiecki jako świadomość zagrożenia, przez które rozumiano świadomą i permanentną politykę antypolską Niemców, zaistniał w świadomości społecznej Polaków na przełomie XIX i XX w. Narastające mocarstwowe i ekspansywne tendencje zjednoczonych Niemiec, świadoma i konsekwentna polityka wynaradawiania Polaków w zaborze pruskim wywołały antyniemieckie tendencje, które znalazły wyraz w polskiej myśli politycznej, literaturze historycznej i pięknej”. Słusznie podnosi Wolff-Pawęska konieczność rozpatrywania „problemu niemieckiego jako stanu świadomości o Niemcach”. Wskazuje przy tym zdominowanie tej świadomości przez koncepcje endeckie: „Endeckie przekonanie o niezmienności instynktów niemieckich i nierozwiązywalności polsko-niemieckiego konfliktu legło u podstaw mitów i irracjonalnej koncepcji dziejów polsko-niemieckich, które sprowadziły problem niemiecki do plemiennej wrogości ukierunkowanej od tysiąclecia na zagładę polskości i świata słowiańskiego”.

We wstępie do zbioru rozpraw „Polacy wobec Niemców” zredagowanego przez Wolff-Pawęską i wydanego nakładem obchodzącego właśnie 50-lecie swego istnienia Instytutu Zachodniego pisze ta sama autorka: „Ostateczne rozwiązanie kwestii niemieckiej będzie więc w dużej mierze zależec od możliwości i tempa przewyższania konsekwencji podziału Niemiec. Odnalezienie wspólnej tożsamości ogólnoniemieckiej, wykształcenie się nowego narodu, który znaleźć musi swą świadomość historyczną i określić swe miejsce w Europie oraz podjąć wspólną odpowiedzialność za przyszłość, są zadaniami wykraczającymi poza XX w.”. Te dwa zdania wymagają pewnego komentarza: po pierwsze — osobiście uważam za dość niefortunne posługiwanie się zwrotem mówiącym o „ostatecznym rozwiązaniu kwestii nie-

mieckiej”, gdyż przywołuje on skojarzenia chyba raczej nie wpiswane wen przez autorkę; po drugie — mówienie o perspektywie „wykształcenia się nowego narodu” w odniesieniu do nacji o tak długiej (choć skomplikowanej) historii jest także niezręcznością: oczywiście, dyskusje o perspektywie jakiejś transformacji tożsamości niemieckiej stanowią jeden z głównych wątków refleksji o Niemcach i niemieckiej autorefleksji w całym okresie powojennym, ale mówienie o „nowym narodzie” stanowi chyba przesadę. Zresztą — żadna „kwestia narodowa” nie miewa w historii „rozwiązań ostatecznych” (chyba, że brać pod uwagę wariant obecny w antysemitycznej polityce III Rzeszy), zaś transformacje tożsamości poszczególnych nacji stanowią naturalny element procesów dziejowych.

2.

Tom, który tu omawiam, uznać należy za jedną z najważniejszych po wojnie publikacji poświęconych stosunkom polsko-niemieckim. Analizuje on przede wszystkim polityczne stosunki PRL i RFN-NRD funkcjonujące niejako w tle prezentowanych tu analiz, co w moim przekonaniu stanowi dość istotny brak omawianej książki. Otwierający ją świetny szkic Wolff-Pawęskiej „Problem niemiecki. Próba interpretacji historycznej” zatrzymuje się na roku 1939, pozostawiając otwartym całe ostatnie półwiecze. Uzupełniają go dwa szkice — Marii Tomczak „Polska myśl zachodnia” oraz Wojciecha Wrzesińskiego „Polskie badania niemcoznawcze”. Oba szkice są wstępными rozpoznaniem, które w przyszłości będą wymagały szeregu uzupełnień. Omawiając np. w osobnym podrozdziale okres okupacji wymienia Tomczak szereg organizacji podejmujących badania i opracowywanie problematyki niemieckiej związanych przede wszystkim ze Studium Zachodnim. Można przypuszczać, że to dopiero wstęp do pogłębionych badań tego okresu. Trudno mi autorytatywnie stwierdzić, jak duże są luki tego rozpoznania — dość wspomnieć, że nie ma tu mowy ani o opracowaniach kwestii niemieckiej w publikacjach komunistycznych, ani też (by przywołać biegunowo odległe ugrupowanie) nie wspomina autorka o działalności Inspektoratu Ziemi Zachodnich NSZ kierowanego przez Lecha Nejmana (rozstrzelanego w roku 1947) oraz jego zastępcę, znanego pisarza Leszka Proroka.

Blok szkiców „Niemcy w polityce PPR/PZPR” — autorzy: Jadwiga Kiwerska, Bogdan Koszel, Wacław Miziniak — ukazuje w istocie, jak dalece niemiecka polityka komunistów bazowała, w szczególności w płaszczyźnie polityki wewnętrznej, na wzorach endeckich, które wzmacniała i utrzymywała. Stanowi to istotny

spadek po komunizmie, który nie będzie łatwy do przezwyciężenia: przeciętny Polak mający przywołać nazwiska polityków niemieckich wymieni raczej marginalne w gruncie rzeczy postaci z kręgu związków wypędzonych, Hupkę i Czaję, niż kanclerzy Adenauera lub Schmidta. Szkoda, że omawiający kwestię komunistycznej propagandy autorzy nie zwrócili uwagi na dość istotne — szczególnie w latach 70. i 80. — różnice między różnymi kręgami partyjnymi. Miziniak podkreśla wprawdzie, że na uwagę zasługuje publicystyka *Polityki* (Zdanowski, Krzemiński), nie ukazuje jednak, a szkoda, jej odmienności w stosunku do tego, co w tym samym czasie można było czytać w *Trybunie Ludu* — oba pisma były w końcu „organami PZPR”, jednak z pewnością można wyodrębnić zjawisko, które nazwać by można było w tym czasie „linią Rakowskiego” w kwestii stosunków polsko-niemieckich.

Za wstępne rozpoznanie uznać też należy interesujący szkic Jacka Kubiaka „Uwagi o stosunku opozycji demokratycznej do zagadnień niemieckich”. Właśnie w tym kręgu najsilniej widoczny jest nurt zmierzający do przezwyciężenia endeckiej perspektywy oceny stosunków między obu narodami i państwami. Pisze Kubiak: „Można więc mówić o etycznym punkcie wyjścia refleksji opozycji polskiej na tematy niemieckie czy też o wyraźnym etycznie nacechowanym nurcie refleksji, której kulminacją była w 1981 r., na szczycie rewolucyjnej fali, głośna broszura Jana Józefa Lipskiego „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy”. Autor podjął rozrachunek z tradycjami polskiego szowinizmu i ksenofobii”. Istotna wydaje się końcowa refleksja autora: „Mimo najszczerzej woli nie doszło do nawiązania dialogu między opozycją a środowiskami politycznymi nad Renem. (...) W nową epokę obie strony weszły więc z pewnym dorobkiem wzajemnego zbliżenia, ale z nieprzezwyciężonym dysonansem, wynikającym przede wszystkim z różnicy pojęć i doświadczeń”. Szkoda, że Kubiak nie poddał bardziej szczegółowej analizie owej różnicy pojęć, w szczególności zaś odmienności w traktowaniu zasad niemieckiej *Realpolitik*. Zarazem też nie sposób nie dostrzec pewnych istotnych ograniczeń tego szkicu — przede wszystkim redukcji pojęcia „opozycji” do ruchów demokratycznych w kraju, a zatem pominięcia (ta uwaga dotyczy całego tomu) myśli politycznej emigracji: wydaje się, że przynajmniej koncepcje polityczne wyłożone w publicystyce Juliusza Mieroszewskiego winny stać się przedmiotem pogłębionej analizy — tym bardziej, że pisarz ten doczekał się publikacji w RFN, co zaświadcza, iż przynajmniej przez niektóre środowiska w Niemczech jego refleksja polityczna traktowana była jako wyraz reprezentatywnego dla strony polskiej stanowiska.

Na uwagę zasługuje też esej Andrzeja Sakszona „Niemcy w

świadomości społecznej Polaków” — autor zwraca uwagę na istnienie zjawiska określanego w literaturze przedmiotu mianem syndromu niemieckiego, który „nie posiada jednorodnej treści. Podlega bowiem istotnemu zróżnicowaniu w poszczególnych zbiorowościach regionalnych kraju. Także kolejne pokolenia, w tym zwłaszcza urodzone po 1945 r., mają zróżnicowany stosunek do Niemców, który często korygowany jest przez osobiste doznania wyniesione z kontaktów z naszymi zachodnimi sąsiadami”. Interesujący jest zwłaszcza opisany przez Saksona proces spadku poczucia „zagrożenia niemieckiego” w początkach obecnej dekady.

Raz jeszcze wypada powtórzyć — otrzymaliśmy książkę, której wagi w pracach nad opracowaniem zagadnień stosunków polsko-niemieckich nie sposób przecenić. Poczynione tu rozpoznania ukazują zarazem luk istniejących w tej dziedzinie, które dopiero teraz będzie można wypełniać. Bez wątpienia tom ten stanowi dobry punkt wyjścia do dalszych badań. Przy czym warto zwrócić uwagę na obecną w nim niejednoznaczność postaw autorskich — w większości szkiców daje się wyczuć niemożność opowiedzenia się po jednej stronie następującej alternatywy: perspektywa „zagrożenia niemieckiego” — perspektywa pojednania. To skądinąd zrozumiałe i zapewne jeszcze przez długi czas właśnie te dwa bieguny będą wyznaczały kierunek politycznej refleksji. Jedno nie ulega wątpliwości — mamy do czynienia z jedną z tych publikacji, które dążą do zmniejszenia asymetrii między Polską i Niemcami w sferze wiedzy o sąsiadach. Nadrobienie polskiego zapóźnienia w tej dziedzinie stanowi jeden z priorytetowych problemów polskiej polityki. Jak bowiem mawiał już Staszic — język i kulturę (także chyba polityczną) sąsiadów znać trzeba. Polska wiedza o Niemcach jest — przynajmniej w skali ogólnospołecznej — ciągle zbyt powierzchowna: wystarczy tylko wspomnieć o tym, że omawiany tom jest dopiero 59-tą publikacją działającego 50 lat Instytutu.

Leszek SZARUGA

Notatki Redaktora

1-go maja zmarła w Montrealu po długiej i ciężkiej chorobie Maja Prądyńska, przed wojną moja najbliższa współpracowniczka jako sekretarka *Buntu Młodych* a później *Polityki*. Jej współpraca nie ograniczała się do prac redakcyjnych, ale rozciągała się również na moją pracę polityczną i trwała przez cały okres wojenny aż do czasu jej wyjazdu na stałe do Kanady w latach 50-tych. Z jej śmiercią odchodzi duża część mojego życia.

Ostatnio wiele osób otrzymało najwyższe polskie odznaczenie: Order Orła Białego. Wśród odznaczonych jest również Adam Bień. Można przypuszczać, że spowodowane to było przede wszystkim tym, że jest on ostatnim żyjącym z procesu szesnastu, wokół których narosła już legenda, przedstawiająca ofiary jako bohaterów i męczenników. Moim zdaniem, legenda niezasażona. Byli to przedstawiciele rządu niepodległego państwa, które brało czynny i ofiarny udział w ostatniej wojnie. Polska była związana z koalicją antyhitlerowską, do której ZSSR dołączył dopiero w chwili kiedy został zaatakowany przez Niemcy, a z którymi przedtem ściśle współpracował. Przedstawiciele rządu podziemnego byli podstępnie porwani przez NKWD i oskarżeni jako zwykli przestępcy i dywersanci. Niestety w czasie procesu zostali szybko złamani, tłumacząc się ze stawianych im zarzutów, usprawiedliwiając swoją działalność, etc. Niewątpliwie więzienie było ciężkie i była ogromna presja sowieckiego aparatu bezpieczeństwa. Nie stosowano jednak tortur czy fizycznego nacisku. Zapomnieli, że reprezentowali przecież rząd niepodległego państwa, a to zobowiązuje. Jedyny generał Okulicki nie uznał kompetencji sądu, odmówił zeznań i zachował się w

sposób godny, dlatego został zamordowany po zakończeniu procesu.

Działalność polityczna Adama Bienia, zarówno przed wojną jak i w czasie okupacji, nie wybiegła poza przeciętność. Odznaczenie go insygniami Orła Białego jest nieporozumieniem.

Jesteśmy już przyzwyczajeni do gaf i nadużyć naszych decydentów, ale 50-ta rocznica bitwy pod Monte Cassino była prawdziwym skandalem. W samolotach przeznaczonych dla prezydenta i premiera były miejsca przeznaczone dla delegacji oficjalnych oraz dla ich rodzin, natomiast zabrakło miejsc dla kombatantów, dla których — mimo różnych obietnic — zarezerwowano jedynie kilka zdezelowanych autobusów. To postępowanie wywołało powszechne oburzenie i z inicjatywy p. Małgorzaty Niezabitowskiej zorganizowano spontanicznie zbiórkę z miejsca popartą przez telewizję, *Gazetę Wyborczą* a nawet *Trybunę*. Zebrano kilkaset milionów złotych. Premier Pawlak dosyć cynicznie oświadczył iż cieszy się, że opozycja umożliwia kombatantom dotarcie na ich przecież uroczystość. Obudziło się poniewczasie Ministerstwo Finansów, które obiecało pieniądze z rezerwy budżetowej państwa. To wszystko nie przeszkodziło panu prezydentowi w złożeniu meldunku na cmentarzu generałowi Andersowi: „Panie Generale, swoim wspomnieniem nadał Pan tytuł 'Bez ostatniego rozdziału'. Dziś, ja, prezydent Rzeczypospolitej melduję: naród polski ten rozdział dopisał! Polska jest dzisiaj niepodległa!” Niestety tytuł książki Andersa jest nadal aktualny. Będziemy jeszcze długo czekać na ostatni rozdział.

Uroczystości na Monte Cassino były okazją dla prezydenta i premiera złożenia wizyt (każdy oddzielnie) papieżowi i premierowi Włoch. Papieżowi obiecano, że konkordat zostanie zatwierdzony przez Sejm, a u Włochów zabiegano o poparcie Polski w zabiegach o przyjęcie do Unii Europejskiej.

Wicepremier i minister finansów, p. Grzegorz Kołodko, zapowiedział utworzenie ministerstwa gospodarki narodowej

w miejsce istniejącego szeregu resortów i instytucji. Minister Kołodko chciałby tę reformę przeprowadzić w ciągu bieżącego roku. Bardzo szczęśliwa i pożyteczna inicjatywa.

Drugą pozytywną inicjatywą była uchwała Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, który przyjął wytyczne rozbudowy naszego eksportu do krajów wschodnich. Ma to dotyczyć w pierwszym rządzie Rosji. Moim zdaniem tę współpracę gospodarczą należy znacznie rozszerzyć, w pierwszym rządzie na Ukrainę i Białoruś jak i republiki środkowoazjatyckie, gdzie mamy przecież duże możliwości. Przede wszystkim jednak trzeba zacząć od stworzenia reprezentacji dyplomatycznych i sieci konsularnej w republikach środkowoazjatyckich. Sprawę naszej ekspansji gospodarczej na Wschód będziemy omawiali obszernie w najbliższych numerach *Kultury*.

Telewizyjne „Wiadomości”, powołując się na archiwa enerdowskich służb specjalnych STASI, podały, że Stanisław Ciosek, obecny ambasador RP w Moskwie, należał w latach 1980–81 do zwolenników interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Polsce. Ambasador Ciosek zaprzecza tym oskarżeniom. Tę sprawę ma zbadać prokuratura wojskowa z chwilą gdy resort sprawiedliwości wystąpi z odpowiednim wnioskiem, co do tej pory nie nastąpiło. Zaskakujące jest milczenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przypuszczam, że najlepszym wyjściem byłoby, aby do chwili wyjaśnienia tej sprawy ambasador Ciosek dostał bezterminowy urlop i żeby mianowano *chargé d'affaires*. Jesteśmy obecnie w okresie bardzo skomplikowanych stosunków polsko-rosyjskich i nie można dopuścić, by sprawa ambasadora zamroziła je na czas dłuższy.

Zarówno prezydent jak premier chcą przeprowadzić jeszcze w tym roku zatwierdzenie konkordatu przez Sejm. Wydaje mi się, że zatwierdzenie konkordatu przed uchwaleniem konstytucji byłoby szkodliwe. Mogłyby wtedy powstać bardzo wielkie komplikacje, gdyby poszczególne punkty konkordatu okazały się sprzeczne z nową konstytucją. Tak poważne sprawy nie powinny być przedmiotem rozgrywek personalno-partyjnych.

Jedną z najpilniejszych obecnie spraw jest przyspieszenie funkcjonowania sądownictwa oraz wzmocnienie walki z nadużyciami. Tą sprawą powinien się zająć bardzo intensywnie rząd i Ministerstwo Sprawiedliwości i przedłożyć Sejmowi odpowiednie wnioski. Przede wszystkim należałoby wzmocnić i rozszerzyć kompetencje Najwyższej Izby Kontroli oraz Rzecznika Praw Obywatelskich.

Wielokrotnie poruszaliśmy w *Kulturze* konieczność stworzenia komisji kodyfikacyjnej, która by wreszcie uporządkowała tę prawdziwą dżunglę przepisów prawnych, które utrudniają czy wprost uniemożliwiają rozwój życia gospodarczego, a przede wszystkim inwestycje kapitałów zagranicznych. Powtarzam raz jeszcze, że należy taką komisję kodyfikacyjną powołać spośród najwybitniejszych prawników, dobranych według kompetencji ich specjalności a nie klucza partyjnego, która by w określonym terminie przedstawiła Sejmowi swój projekt do zatwierdzenia.

W tej chwili toczy się ożywiona dyskusja na temat powrotu do kraju Polaków z byłego ZSSR, a przede wszystkim z republik środkowoazjatyckich. W tej dziedzinie nie ma żadnej polityki rządu, wręcz przeciwnie, jest szereg inicjatyw wzajemnie się krzyżujących i wykluczających. Nie najlepszą rolę odgrywa tutaj p. Stelmachowski. Chciałbym do tej sprawy obszernie powrócić w następnych *Notatkach Redaktora*.

REDAKTOR

Kronika kulturalna

Szkice do portretu Stanisława Pigoń

„Jeżeli mnie nie zegnien i nie zetrze fizycznie, po ziemsku, trudne życie codzienne, czas mi gotować się do dzieła własnego, jedynie mojego, które pozostać ma po mnie. Jedna rzecz mnie raduje: oto czuję pociąg, przywiązanie do tych kart i gawęd. A tak się bałem, że owe poprzednie stronicę wyrosły jedynie z tej — całej przyrodzie wspólnej — wzmoczonej wartości energii życiowej, jaką się znamionuje okres przedmiłosny. Takem się bał, żeby to nie było chytrym manewrem erotycznym — ta moja przed sobą spowiedź. Nie! Chwała Bogu; pachną mi znowu te kartki...”

Tak w *Raptularzu*, nie przeznaczonym do druku, pisał dobiegający trzydziestki Stanisław Pigoń (1914) w trzy lata po świetnym doktoracie i w cztery miesiące po ślubie. Na pół roku przed śmiercią, w lipcu 1968 r., w liście do profesora Zgorzelskiego wyznawał: „Cóż ja? Zbieracz suszu i chrustu, juźcić na podpałkę i jakie takie krótkie ogrzanie. Dużych sągów i bierwion na dłuższy zapas opału nie nazbierałem wiele. No i już przecież nie nazbieram. (...) Jedno jedyne, czym się pochlubić chyba słusznie mogę, to pracowitość. Nauczyłem się jej od rodziców i unikałem marnowania czasu”.

W dwu tych, jakiesz w swej tonacji różnych wypowiedziach — nie ma sprzeczności. Szczerze są i młodzieńcze marzenia o przyszłych dokonaniach, i z wiekiem narastająca skromność samooceny. Podziwiał autorów zdobywających się na monografie literackie, ale sam się trochę wstydył pięknoślowia swego syntetycznego szkicu *Trud Słowackiego* (1909). W jednym z ciekawszych wywiadów, jakich udzielił, w rozmowie z Wiesławem Pawłem Szymańskim (1964) powiada o sobie: „Estetyków interesuje smak owocu, mnie zaś raczej, jak drzewo owocowe roś-

nie, jak się wykształca, zaszczepia. To są sprawy pasjonujące”. Półtora tysiąca pozycji bibliograficznych podpisanych nazwiskiem Stanisława Pigoń — wielkiego tyleż uczonego, co pisarza — przekonuje dowodnie, że dobrze ujęty przyczynek ma trwałe miejsce w nauce, w jej co najmniej historii, zalety zaś pióra mogą sprawić, że rozprawę czyta się z przyjemnością dorównującą lekturze noweli detektywnej, z większym tylko dla kultury pożytkiem. (Nie chciał o tym pamiętać Jerzy Putrament, dobrze się kiedyś zapowiadający polonista i student Pigoń z czasów wileńskich: w roku 1950 pozwolił dawnego swego profesora usunąć ze Związku Literatów Polskich).

Przypominam ten wybryk (zannotowany przez prof. Star-nawskiego), gdyż w całej historii polonistyki nikt nie zebrał aż tylu — a wszystko zasłużonych — dowodów wdzięczności, co właśnie Stanisław Pigoń¹. Zdawać by się mogło, że materiały do jego biografii już są zgromadzone, że tylko czekać, by ktoś zasiadł do napisania tej ważnej i ciekawej książki dla serii „Ludzi żywych”. Ale nie: jeszcze na nią nie nadeszła pora; ta przyjdzie, kiedy się najpierw — co konieczne! — ogłosi drukiem korespondencje Pigońską, przynajmniej w dużym wyborze. Na razie Czesław Kłak ofiarował nam rzecz skromniejszą, ale wartą uwagi, nazwaną szkicami do portretu².

Profesor Kłak dobrze wniknął w te zwłaszcza zakamarki życia Stanisława Pigoń, które on sam w różnych fragmentach swoich wspomnień otoczył dyskrecją. Autor *Z Kamborni w świat* wyjątkowo duże znaczenie przypisywał prawdziwości pamiętnikarza, chciał odeń życiowego świadectwa, nie bajędy. Zarazem jednak uważał, że wolno przecie nie rozwódzić się, gdy się trafiają zdarzenia niezbyt pięknie świadczące o bliźnich. Tego rodzaju postępek pisarski jest nie tyle zatajeniem, lecz wielkodusznością. Ale badacz pamiętnika — ten już może objaśnić aluzję, rozświetlić napomknięcie. Tak właśnie postępuje pan Kłak, zestawiając opis szkolnych czasów Pigoń z o wiele brutalniejszymi w szczegółach (choć mniej ściśle) wspomnieniami ucznia tego samego gimnazjum, Hugona Steinhaus. Wyzyskanie znów przytaczanego wyżej *Raptularza* pozwoliło biografowi bystrze pojąć rodzaj zarówno religijnego zobojętnienia, któremu

się młody Pigoń mimo woli poddał, jak też ukazać drogi, którymi on do swego mocnego katolicyzmu powrócił — poprzez eleuzyjski wpływ Wincentego Lutosławskiego, owszem, lecz nade wszystko dzięki *Genesis z ducha* Słowackiego.

Efektowne zestawienie duchowej przygody Stanisława Pigoń z przeżyciami bohatera *Nieba w płomieniach* mniej mi trafia do przekonania. Konstrukcja wywodu jest chyba zanadto literacka: zobojętnienie to jeszcze nie utrata wiary, to może być czasem przez instynkt podsunięty rodzaj wytchnienia od nękających młodość pokus zabójczego sceptycyzmu. Nawiasem mówiąc akcja *Powrotu do życia*, następnej powieści Parandowskiego, gdzie się Teofil Grodzicki, już pogodzony z religią, epizodycznie pojawia, rozgrywa się nie w Lubelskiem, lecz w Sandomierskiem. Utwór to z kluczem lub raczej z tandetnym wytrychem: Kozłów jest przemianowaną Plantą, majątkiem, w którym podczas okupacji niemieckiej państwo Parandowscy znaleźli wojenną gościńnię u znanej rodziny Morawskich; pisarz się odwzajemnił karykaturami ziemian tam spotkanych, gospodarzy nie oszczędzając.

Inny szkic profesora Kłaka dotyczy warsztatu Pigoń: autor przepatruje księgozbiór swego mistrza (który trafił do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie) i zbiera marginalia. Nie są one równie zabawne jak glosy, które z Borovianum (w Bibliotece KUL) wyłowił Andrzej Paluchowski, *nb.* autor arcyportretu Pigoń, lecz poznać je warto. Bo to jest tak: zwykle uprawia się historię literatury, do czego jest niezbędna podstawowa znajomość nauk pomocniczych, w tym oczywiście filologii; Pigoń niby to poprzestaje na samych dociekaniach filologicznych („schowałem się w zakęcie, ustroniu, uciekłem do badania tekstów”) — aleć biada naiwnemu, który by mniemał, że to niegroźne! Że skromne tytuły jego prac oznaczają wąski ich zakres. Te wszystkie: *Do źródeł „Dziadów”...*, *Do podstaw wychowania narodowego* lub — jeszcze bardziej ulubiona forma — *Z dawnego Wilna*, *Z dziejów pijarskiego teatru konwiktowego*, *Z epoki Mickiewicza*, *Z ogniw życia i literatury*, „*Z podróży po burzy*”, *Z pracowni literackiej Aleksandra Fredry*, *Z przedziwna pamięci* — są to rasowe studia historyczne albo niebłahe relacje, które podbudowę mają solidną. Pigoń — gawędziarz przemity — umie być i milczkiem, który tylko czeka, by go zaczepić, a pokaże, jakim niezrównanym jest polemistą. Ale dopiero wyzwany i nie wcześniej niż na udeptanej ziemi; na fechtunek dla samej tylko wprawy, po marginesach książek, trochę szkoda czasu. Tu wystarczy zwięzła notatka. Kiedy więc na przykład Boy lamentuje, że pamiętnik Zofii Szymanowskiej urywa się wraz z jej przybyciem do Mickiewiczów, bo „resztę zniszczono” — nasz mickiewiczolog dopowiada po prostu: „Resztę wydał Biegeleisen w roku 1932”.

1. Cf. chociażby: *Księga pamiątkowa ku czci Stanisława Pigoń*, Kraków 1961 oraz *Stanisław Pigoń. Człowiek i dzieło*, Kraków 1972.

2. Czesław Kłak: *Stanisław Pigoń. Szkice do portretu*, Rzeszów 1993. Korektorce, pani Annie Szydło, która „trybut” przemienia w „atrybut”, dedykuję pełny tytuł *Psalmodii polskiej* Kochowskiego (*Trybut należyty wdzięczności...* wraz z drugim wersem samejże *Psalmodii*: „Któregoż stworzenia najsubtelniejszy rozum atrybutów Twoich Boskich dociecze?”).

Poprzez szkice Czesława Kłaka nie mogła się nie przewinąć i sprawa Pigińskiej odwagi cywilnej. To byłby temat na osobny rozdział. Ale uwagi autora właściwą wykreślają linię: ujęcie się za Witosem, gdy był haniebnie szykanowany — poprzez piękne studium o nim jako o pisarzu i mówcy; udział w audycji u prezydenta Mościckiego (30. III. 1939), podczas której — z inicjatywy Stanisława Estreichera — kilkunastu szanowanych profesorów i polityków bezskutecznie proponowało Głowie Państwa, by „zerwać z zasadą wyłączności i przywileju jednej partii”; wreszcie podpis pod tzw. *Listem 34* w roku 1964. Profesor Kłak przypomina i niefortunny list do *Times'a*, w którym dziesięciu profesorów ubolewał nad niepożądanymi skutkami, jakie ów list (rzekomo) wywołał. Wśród rewokujących — Pigińska oczywiście nie ma. Wielokrotnie przypominano, kto się wówczas wobec presji Cyrankiewicza ugiął; może raczej warto pamiętać — kto się naleganiom oparł. Proponuję następujące mnemotechniczne ułatwienie: Karol Estreicher — konserwatysta; Pigiński — rzetelny katolik; Ossowska — etyk; Kotarbiński — logik; Falski — autor *Elementarza*. A wracając jeszcze bodaj na chwilę do Pigińskiej umiającej, gdy trzeba, protestować — nie pomijałbym zjazdu naukowego polonistów z grudnia 1958 r., na którym otwarcie powiedziano (Maria Rzeuska), że socrealizm jest sowiecką odmianą rosyjskiego formalizmu, nasz zaś harcownik wyraził się o pupilu marksistów, Edwardzie Dembowskim, że „filozof był zeń mętnawy, historyk płytki, literat zaś dość suto podszyty grafomaństwem”. Podjęta przez Zjazd uchwała zgłoszona właśnie przez Stanisława Pigińskiego, o konieczności zwrócenia się do władz PAN i Ministerstwa Kultury i Sztuki, by „wszczęły kroki” o zaprzestanie cenzurowania „klasyków naszej literatury” — pozostała bez skutku.

Cenzura nie mogła tym bardziej nie dotyczyć części przedwojennej puścizny samego Pigińskiego. Może dlatego profesor Kłak słynną jego mowę rektorską przy otwarciu roku szkolnego 1927 w Uniwersytecie Stefana Batorego wspomina nie z pierwodruku (Wilno 1929) i pod zmienionym tytułem *Na progu* (s. 163). Mowa ta zwie się *O powołaniu młodzieży akademickiej*, nawiązuje do broszury Mariana Zdziechowskiego (poprzednika Pigińskiego w godności rektorskiej) *Walka o duszę młodzieży* i przestrzega przed „grozą niszczycielską bolszewictwa”. Także pośmiertny tom Pigińskiego, wybór rozpraw *Na drogach kultury ludowej* w układzie Tomasza Jodelki-Burzeckiego (1974) nie tłumaczy się dostatecznie bez przedwojennej książki *Na drogach i manowcach kultury ludowej* (1939): bez właśnie manowców, bez literackich potyczek z Tuwimem i innymi — przesłanki rozumowania tego wspaniałego rzecznika spraw polskiego chłopca wychodzą okaleczone. Sięgnijmy do rzeczowej mowy rektorskiej: „Polska Staszica

i Kościuszki, Polska Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego, ideologów Polskiego Towarzystwa Demokratycznego na emigracji, Polska powstańców 1863 r. jest budowlą właściwą, by się lud polski znalazł w niej u siebie w domu, w swoim domu. Takiego domu się nie burzy, ale podźwiga i rozszerza, bo jest własny, bo każdy zacios jego mówi do nas wspomnieniem ojców i woła o ciągłość”.

Najgłębszym odczuciem dumy narodowej i poczuciem wspólnoty kultury wyrosłej na ojczystej glebie odznaczał się Stanisław Pigiński od wczesnego dzieciństwa. Dziewięcioletni — wzięty został przez swego ojca na uroczystość odsłonięcia pomnika Kościuszki w zamku odrzykońskim. Jako młodzieniec, członek tajnej organizacji narodowej, wygłaszał w rodzinnych stronach odczyty historyczne. Będąc studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego — przemyczał na Śląsk polskie książki, wraz z Elsami „zajmowaliśmy się” — powiada — „wychowywaniem narodowym górników”. Ten wychowawczy posiew Pigiński wydawał plony przez całe jego długie życie; czytawali go — co przypominał Paluchowski — nawet i młodzieńcy bohaterowie *Kamieni na szaniec*.

Mówiłem już o wdzięczności, którą wokół siebie wzbudzał. On sam był także uosobieniem wdzięczności. Jakżesz zawsze owocnej! Szkolna „nagroda pilności” — popularne wydanie *Pana Tadeusza* — zrodziło badacza twórczości Mickiewicza, który późną swą książkę nazwał z nieskrywanym patosem: *Zawsze o Nim. Syzyfowe prace*, przeczytane z osobistym przejęciem, są od strony psychologicznej zapowiedzią przyszłych trosk o pełne (nie z jego winy nie ukończone!) wydanie pism Żeromskiego. Wieloletnia praca nad Fredrą („najskońcześniejszym poetą polskim” — wedle Norwida), praca, która przerodziła się w towarzyską prawie zażyłość — czyby do niej było doszło, gdyby nie odrzykońskie legendy, zarodek *Zemsty*? A zaś ów stary, sprzedni wieku, Pigiński, który był totumfackim dziedzicem Komborni takim, że to właśnie jemu, nie komuś z rodziny, powierzony został testament — czyż to nie Dyndański u Cześnika?!

Niejedną jeszcze wysunąć by się dało paralełę. Ale mamy i bezpośrednie a wyraziste słowa Pigińskiej zawsze gorącej wdzięczności: dedykacje na książkach. Ignacemu Chrzanowskiemu — przed wszystkimi. Franciszkowi Bujakowi, który podjął trud badań „nad dziejowymi i społecznymi fundamentami Narodu”. Pamięci Stefana Kończakowskiego. Prezesowi Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza — Julianowi Krzyżanowskiemu. Dostojnie łańciska — na jubileusz jagiellońskiej Almy Matris... Godzi się też dodać, że honorowa profesura dla Chrzanowskiego, o której Pigiński kilkakrotnie pisał bezosobowo, doszła do skutku dzięki jego to pilnym tudzież wytrwałym stara-

niom: są na to niezbite dowody w Archiwum U.J.

Jeszcze jedna postać wyłania się stopniowo — w miarę jak Pigoń posuwa się w zdobywaniu wiedzy i doświadczenia: Stanisław Tarnowski. Zdążył go przez dwa lata słuchać w uniwersytecie i charakteryzuje te wykłady z przekąsem: że sędziwy profesor mówił „z majestatyczną retoryką”, narzeka też gdzie indziej na jego „onieśmielającą łaskawość”. Ale już młody profesor Pigoń — w roku 1922 — wznawia w druku rozprawę Tarnowskiego O „Panu Tadeuszu”, do której daje krótką przedmowę, gdzie pisze, że niektóre części owej rozprawy „należą do klejnotów polskiej krytyki literackiej przez wyrażoną tam pojemność doznania estetycznego, subtelność wycucia piękna i wzniosłości, przez niedościgły polot wyrazu i jakąś porywającą wicherą entuzjazmu, co ogarnia wszystkie owe wartości oboczne i porywa je na szczyt zwartej, uroczej ekspresji”. Aż nareszcie przychodzi czas rozpatrzenia się w tym, co pisali przed Boyem krytycy Fredry — i raptem okazuje się, jak to ośmieszano Tarnowskiego, jak go przyciętymi cytatami fałszowano! Tymczasem nikt jak starszy pan ze Szlaku nie wyraził się dosadniej o Jowialskim, który „mówi całym swoim sposobem myślenia i życia, że przez bierność, niedołęstwo, brak energii w charakterze, powagi w myśleniu, czynności i obowiązku w życiu, i wysokich pragnień w sercu — dochodzi się do idiotyzmu w życiu”. I tu, przy poglądzie na jowialszczyznę spotyka się magnat z chudopachołkiem, obydwaj — wielcy Polacy, a także ci dwaj spośród historyków literatury polskiej, co *Pana Tadeusza* w całości umieli na pamięć.

Andrzej BIERNACKI

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Książki

Spotkanie z pustelnikiem

Książka Andrzeja Dobosza* przeczy potocznym wyobrażeniom o wysokiej genezie pisarstwa szlacheckiej próby: że może być ono jedynie tworem konieczności wewnętrznej, natchnień samotniczych, najzupełniej niezależnych od machiny upowszechniania słowa pisanego czy wręcz od redakcyjnego zamówienia.

Łonem, z którego *natus est* Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia, jest czasopiśmiennictwo literackie i społeczno-kulturalne epoki PRL.

Jako postać pod tym imieniem pojawił się po raz pierwszy w tygodniku młodych pisarzy „Współczesność” w okolicach roku 1960. Ale już wcześniej chyba dawał świadectwo duchowym zasobom przyszłego Pustelnika, czego dowodem tekst z datą 23 września 1956, brawurowo otwierający tom, a traktujący o poborowym Doboszu na ćwiczeniach w Ludowym Wojsku Polskim.

Zrodzony z prasy, już od dziesięcioleci odbywa swe wędrówki po prasie polskiej. Pustelnik-Wędrowiec czy Pustelnik-Perypatetyk, z przenośną swoją pustelnią w teczce, instaluje ją, stosownie do okoliczności, na łamach licznych czasopism krajowych, od *Nowej Kultury* do *Współczesności*, od *Miesięcznika Literackiego* do *Tygodnika Powszechnego*, od *Życia Literackiego* — poprzez *Teksty* — do *Literatury*, by wreszcie, przekroczywszy Rubikon wychodźstwa, po długim okresie życia utajonego, wychynąć w paryskiej *Kulturze*.

Podejrzewam, że poza nielicznymi epizodami, gdy był igraszką przypadku lub wahań formy twórczej, peregrynacje swoje odbywał z musu, aby — pośród zmiennych koniunktur — ocalić swą jedyną, niezawisłą, nietykalną pustelnikową tożsamość.

* Andrzej Dobosz, *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia. Epoka „Współczesności”*. Wyd. PULS, Londyn 1993, str. 304.

Paradoks Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia, zawarty nie bez przekory w samym jego imieniu, polega na tym, że swą samotnię — umieszcza na wielkiej przelotowej arterii stolicy, wśród tumultu przechodniów i zmiennych przeciągów, w których charaktery łatwo się zaziębiają.

Od czasu do czasu — a w miarę upływu lat chyba coraz częściej — nawiedza go pokusa, by odrzucić imię i osobowość Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia i przemawiać wprost jako niezmiernie inteligentny, mądry i prawy p. Andrzej Dobosz. Muszę wyznać, że z Pustelnikiem z Krakowskiego Przedmieścia rozstać się nie umiem, i że teksty, podpisane nazwiskiem Andrzej Dobosz, czytam nieodmiennie jako wypowiedzi Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia. Dobosz z Pustelnikiem najzupełniej mi się wymieszali, tak, iż stanowią jedną monadę. Mam nadzieję, że to samo dzieje się z autorem książki, skoro jej tytuł brzmi właśnie tak: „Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia”. I pod spodem, ni to dalszy ciąg tytułu, ni to nazwisko autora: Andrzej Dobosz.

Pustelnik nie jest zresztą w naszych czasach przypadkiem odosobnionym, gdy idzie o czasopiśmienniczy rodowód wartościowych dzieł. Wysokim precedensem byłyby tu „Dzienniki” Gombrowicza, powstałe w szczęśliwej współpracy z miesięcznikiem *Kultura*. W warunkach pełnej swobody wypowiedzi. Choć Gombrowicz skarżył się, że zniża się do dziennikarstwa, nieświadam, iż tworzy jedno ze swych arcydzieł.

Pustelnik narodził się i wzrastał pod baczną opieką peerelewskiego Cenzora. Musiał więc być ostrożny, by w ogóle móc istnieć. Udawał, że jest kim innym niż jest, że mówi co innego niż mówi, a chyba nieraz poświęcał palec, by ocalić rękę. Nauczył się wyrefinowanej gry z cenzorem, która nadała mu specyficzny charakter i styl. Świerzbi mnie język, by powiedzieć — o perwersjo myśli okutego w powiciu! — że bez Cenzora nie mielibyśmy Pustelnika. Podobnie, jak — płacz poezjo, któraś jest aktem suwerennego ducha — nie mielibyśmy „Trenu Fortynbrasa” ani Pana Cogito, bliskiego kuzyna Pustelnika.

Gra z cenzorem — czyli szczególna sztuka pseudonimowania rzeczywistości — niekoniecznie wydawała twory ułomne, jętki-jednodniówki pisarstwa aluzyjnego.

Dodajmy: Pustelnik zrodził się w działach felietonu pism, a więc w bardziej ambitnie pomyślanych kącikach humoru i satyry. Roczniki pism, gdzie drukował, poszły do archiwów, które odwiedzają już tylko poloniści i różni badacze przeszłości. Śpią też snem wiecznym adresowane do przyszłych pokoleń tomy powieści, opowiadań i wierszy, powstałe w zasięgu i poza zasięgiem cenzury. A ułomne prozatorskie pisemka Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia, pieczołowicie dobrane i ułożone w książ-

kę, żyją wciąż, mimo przyspieszeń historii, napędzane dodatkowymi energiami swego wzajemnego sąsiedztwa.

Jest to debiut książkowy prawie sześćdziesięcioletniego debiutanta.

●
Czym jest ta książka, jeśli rozpatrywać ją ze stanowiska gatunków literackich? Najprościej byłoby powiedzieć — zbiorem felietonów.

Ale nie byłoby to całkiem ściśle. Sporo tekstów można by zakwalifikować jako eseje, z ich tańcem dygresji wokół tematu osiowego, z ich tytułami w rodzaju „O krześle”, „O powinowactwach”, „O słowach” itp. na wzór czcigodnych ojców eseju, Montaigne’a czy Bacona. Inne można by określić jako portrety literackie lub po prostu portrety, kartki z pamiętników lub dziennika lektur, humoreski czy wreszcie jako fragmenty jakiejś osobliwej księgi o kuriozach. W zakończeniu znalazły się nawet dwa nekrologi... Byłaby ta książka po prostu zbiorem najlepszych pism autora, które uznał za godne przedruku po latach? Zapewne...

Jednak mimo całej tej różnorodności materii, mimo przeskoków tematycznych i rwanej faktury, mimo iż autor opatruje każdy tekst dokładną datą i miejscem pierwodruku, książka jest nad podziw jednolita, jakby rozproszone jej składniki niesione były przez ten sam podskórny nurt...

Zapewne, dzieje się tak i dlatego, że Pustelnik ma właściwy sobie sposób pisania, po którym rozpoznać można, że to pisanie Pustelnika, a nie kogo innego. Słowem, ma swój „styl”. I to w takim stopniu, że potwierdza owo znane powiedzenie, bodaj Buffona, że „styl to człowiek”. Stoi więc za tym szczególnie sposób myślenia, sposób bycia, własny światek. Ma też Pustelnik swe manie, natręctwa i fobie. I stosunek do siebie samego: rzecz najwyższej wagi.

Wszystko to wskazuje na to, iż Pustelnik jest postacią; jest bohaterem literackim. Autor wymyślił sobie swego sobowtóra literackiego, aby ten przemawiał w jego imieniu. Podejrzewam jednak, że sobowtór literacki zaczął na swoją modłę urabiać autora. Może dlatego nie potrafię ich od siebie odróżnić. Autor, którego zdarzało mi się spotykać dawniej na prehistorycznych trasach PRL, podobnie jak obecnie na ulicach 6-tej dzielnicy Paryża, wysławiał się zawsze — i czyni to nadal — kunsztownymi zdaniem Pustelnika, z takim samym ironicznym błyskiem w oku — dziś okolonym zmarszczkami — i dbałością o elegancję postawy i gestu. To wzajemne przenikanie literatury i życia, równoległe konstruowanie siebie i dzieła, wskazywałoby na roman-

tyczne filiacje Pustelnika, czego zresztą jest świadom on sam jako autor — i chyba bohater — nie napisanej powieści z r. 1840. Taka postać nosiła wówczas miano *oryginała*.

Pustelnik jest wszechobecny na kartach książki, nawet gdy usuwa swoją osobę w cień i studiuje jakby tematy obiektywne. Ale to, co układa w słowa, jest tyleż powiadomieniem o tym, co i o czym myśli, ile nieustającym kreśleniem swego autoportretu. Można by spojrzeć na tę książkę jako na tom szkiców do powieści pt. „Życie i myśli Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia czyli zapiski Oryginała”.

Wbrew imieniu, które sugerowałoby raczej osiadły tryb życia na jakimś ustroniu, przyrodzonym sposobem istnienia Pustelnika jest — wędrowanie. Można by napisać całą rozprawę o motywie wędrowki w jego pismach.

Sam siebie przedstawia chętnie jako miłośnika opisów podróży i analizuje je ze znanstwem. Nie zrealizowany projekt powieści z r. 1840 jest właściwie historią podróży bohatera po Europie. Obserwacje swoje czyni często w sytuacji przemieszczania się w przestrzeni: chodząc po swoim Krakowskim Przedmieściu, spacerując po ogrodzie botanicznym, w autobusie z Żoliborza na Krakowskie Przedmieście, w tramwaju na Żerań. Reżyser Piwowski składa Pustelnikowi swą zaskakującą propozycję zagrania roli filmowej w przejściu ulicznym, a film REJS jest sprawozdaniem z osobliwej żeglugi statkiem po Wiśle. Skrupulatnie ustala Pustelnik „trasę wędrowki” bohatera swej powieści dziewiętnastowiecznej po mieście Warszawie i porównuje ją z własnymi trasami. Poruszanie się po mieście rodzinnym jest dla niego rytuałem, wymagającym precyzji i starannego przygotowania, jak prawdziwe wędrowki po obcych krajach, z Baedekerem w rękę. Tu Pustelnik wyostrza swój zmysł obserwacji i puszcza w ruch monolog wewnętrzny, jak prawdziwy wędrowiec po dalekim świecie, gwoli poznania i nauki.

„A jednak w autobusie żoliborskim rozmawiano. Łagodne, powściągliwe opinie, jakie tam zasłyszałem, ocaliły mnie przed lekturą wielu niepotrzebnych książek i skłoniły do czytania kilkunastu innych. Być może, te lektury książek, o których wtedy słyszałem, także lektura paru książek napisanych przez pasażerów tego autobusu, uzupełniając parę zasłyszanych tam opowieści, parę pytań, parę wątpliwości, kilka powiedzeń, w których rozpoznałem żart, dały mi razem to poczucie intensywności”.

W tych kilku zdaniach z r. 1973, a dotyczących jazdy warszawskim autobusem w r. 52, zawiera się świadectwo ducha czasów. Pokolenie Pustelnika odcięte było od wiedzy, od lektur, od świata, od prawdy o rzeczach elementarnych, i nierzadko, na modłę przodków, zdobywało wiadomości i rozeznanie w przekazie ustnym, dzięki fortunnym spotkaniom. Ta wędrownicz-

podróżnicza obsesja Pustelnika, ten jego sposób bycia zdaje się być czymś więcej niż *hobby* oryginała: jest obronną reakcją na klaustrofobię, właściwą pokoleniu wchodzącemu w życie w kraju o hermetycznie zamkniętych granicach.

Pustelnikowe peregrynacje po Warszawie mają w sobie coś z przechadzek pana Dulskiego dookoła stołu, który w ten sposób odbywał spacer na Kopiec Kościuszki, w wielką, otwartą aż po Tatry przestrzeń.

Wędrowanie jest u Pustelnika fundamentalną, by tak rzec, orientacją umysłu, duchowym sposobem istnienia. W jego zacieklwym, dochodzącym do manii czytelnictwie książek, różnych druków i rękopisów — czytelnictwo staje się chwilami jego właściwym życiem — widać ten sam wędrowniczy popęd. Wędrowki po bibliotekach, po katalogach bibliotecznych, po słownikach, po kuriozalnych publikacjach, po wieku dziewiętnastym, po historii. Traktuje je Pustelnik jak wielkie eksploratorskie wyprawy. Przywozi z nich cytaty, strzępy świadectw o ludziach znanych i mniej znanych, dziwne tytuły, rejestry wyszłych z obiegu słów i rzeczy, próbki innych niż nasze sposobów myślenia, a wszystko to opatrzone skrupulatnie adresami bibliograficznymi. Te znaleziska dokumentalne staną się ingrediencjami jego alchemii słowa.

Tu dochodzimy do punktu, w którym wędrowanie staje się sposobem robienia literatury, źródłowym napędem stylu pisarstwa. Pustelnikowe pióro prowadzi nas krętymi trasami, meandrami sobie tylko znanych ścieżek, gdzie historia znajomego dozorczy, p. Malinowskiego spotka się z ustępem z Dickensa o zależności etyki jednostki od wysokości jej rocznego dochodu; gdzie zachcianka narratora, by kolekcjonować krzesła, przetnie się ze sceną z „Kordiana” i wykładem filozofii Hegla przez Krasińskiego na użytek ukochanej poety; gdzie rozważania o Bauhausie, wspomnienia z przechadzek po panoramach znajdują swą kulminację w portrecie Jerzego Pomianowskiego i wyznaniach o tym, kim on był dla Pustelnika. Pustelnik prowadzi nas poprzez fakty, cytaty, zdarzenia, poprzez rzeczy z różnych porządków i czasów, spotyka nas z ludźmi, których zna z wyszperanych dokumentów, i tymi, których widywał osobiście w autobusie i na ulicy — a wszystko to istnieje równolegle, jakby na jednym planie, na jednej stronicy, w przejściu od zdania do zdania.

Te różnorakie elementy pisarskiego tworzywa, zestawiane w nieoczekiwane układy, zaczynają jakby dziwić się swemu sąsiedztwu. Opalizują nieoczekiwanymi znaczeniami, współrezonują z rzeczywistością otaczającą, odślaniają, jak w błysku flesza, drobne tajemnice życia bohatera, życia jego współczesnych na szerszym historycznym tle...

Daje nam Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia swoistą wersję dziejów inteligenta w PRL, inteligenta jego pokolenia. Są to — po byle jakich początkach, opisanych przez autora w zwięzłym a przenikliwym tekście pt. „O początkach” — dzieje zmagania o przetrwanie, o jasność rozeznania, w jakim świecie się żyje, o siebie...

Jest historia osobista Pustelnika także wędrówaniem w poszukiwaniu życiowego powołania — a mówiąc jego trzeźwym językiem — zawodu. „Jestem historykiem idei... Historykiem idei jestem jednak od niedawna. Kiedyś byłem krytykiem teatralnym...” — pisze z ironią. Pragnie zostać powieściopisarzem. Karierę powieściopisarza kończy jednak na konspekcie dzieła i studiach przygotowawczych. „Teraz jednak zaczynały się najlepsze lata mojego życia: czytanie. Czytanie według wielkiego programu. Najważniejsze było jednak głębokie poczucie, że właśnie czytając zajmowałem się przecież codziennie swoją powieścią” — pisze w swej „Autobiografii”. Zahaczył o film, uśmiechnęła się doń kariera „socjalistycznego Bustera Keatona”. Studiuje polonistykę, studiuje filozofię. Jest bywalcem bibliotek, uważnym słuchaczem wykładów uniwersyteckich. Szuka prawdziwych nauczycieli, i znalazłszy ich pozostaje im wierny: Ossowscy, Kołakowski, Baczek, Krońska. Nie mówi „mistrzowie”, mówi po prostu „nauczyciele”. I czyta, czyta, czyta. Zostaje powieściopisarzem bez powieści, polonistą bez katedry, filozofem bez auditorium. Nie może? Nie umie? Nie chce? Czyżby bohater naszej książki nie mieścił się w systemie? Czyżby pozerzał go robak perfekcjonizmu? A może kołyszę go słodki w swych podstępach peerelowski nadwiślański Duch Abulii?

W jego ankiecie personalnej w rubryce „zawód” jako jedyną formułę pewną należałoby wpisać: „Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia.”

Należałoby też zadać pytanie, na ile ta nieokreślona kondycja, status prób bez spełnień jest cechą indywidualnego losu Oryginała, a na ile dotyczy całego pokolenia. Pisanie Pustelnika zdaje się nosić w sobie ten znak zapytania. Bycie Pustelnikiem, konstruowanie siebie jako Pustelnika było na pewno rozsądną odpowiedzią na wyzwanie losu. Dodajmy: dla pisarza pokolenia, debiutującego w epoce stalinowskiej.

Andrzej Dobosz pisywał do prasy swe zwięzłe teksty, aż po latach, sama niejako, sposobem sublimacji czy chemicznego osadzenia się molekuł powstała książka. Także przez to jest ona świadectwem pokolenia. Nie jest to generacja wielotomowych pism zebranych, choć znalazłyby się wyjątki (np. Lem). Pisma zebrane są pismami częściowo zebranymi: początków nie sposób przedrukowywać. Nawet niezłomni mają na sumieniu jakiś literacki grzeszek ze swych zielonych lat. A nade wszystko — nie

jest to generacja prozy powieściowej, która jest raczej domeną starszych. Jesteśmy generacją Poetów i Felietonistów¹.

Dziwne sąsiedztwo. Ale Poetów i Felietonistów łączy brak długofalowych a cierpliwych projektów twórczych; teksty ich zwięzłe, natchnienia doraźne, reagowanie szybkie, bez myślenia o jutrze, a mowa aluzji i szyfru bardzo im do twarzy. Tomy i Poetów, i Felietonistów powstają w owym procesie sedymentacji. Może więc nie jest przypadkiem, że to nie powieściopisarze stworzyli w naszej generacji typy bohaterów, mogące służyć za literackie wcielenia czasu.

To liryk Herbert zrodził Pana Cogito, a „felietonista” Andrzej Dobosz Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia². Obydwaj bohaterowie są do siebie podobni. Imiona ich, na pozór różne — jedno odwołujące się do tradycji europejskiego racjonalizmu, drugie do romantyzmu — są pseudonimami, zaczerpniętymi z tradycji, i obydwaj o podwójnym rezonansie ironii i wzniosłości. Zarówno Pan Cogito, jak i Pustelnik są twórcami ironii — czy autoironii ich twórców — noszą się po staroświecku, pozostają wierni podstawowym wartościom, które zdają się być anachroniczne, do poczwanego świata przykładają zwierciadło zdrowego rozsądku, trzymają się godnie w obliczu przeciwności, a w rewolcie swej są skromni. Dylemat ich taki sam: jak ocalić siebie w świecie zdegradowanym.

Ale rodowód ich jest inny. Pustelnik wywodzi się z Królestwa Kongresowego i na analogiach z Królestwem buduje swą strategię pisarską. Przechadza się po peerelowskiej Warszawie, podwojony o duchy przechodniów Warszawy mikołajowskiej, w dialogu z nimi, w grze analogii. Nie interesują go jednak widma powstańcze, które uwzniosłały przechadzki jego kolegów na trasie między Domem Literatury a kawiarnią Czytelnika. Zajmuje się prozą, nie poezją zniewolenia. Gdyby widział się Wallenrodem, to chyba Wallenrodem-Szwejkiem.

Pustelnika frapują pytania elementarne: co dzieje się z językiem polskim, gdy codzienne bytowanie w niewoli zniekształca go, odrywając sens od słowa, i jedną z jego obsesji jest troska, czy polszczyzna sprosta nowym zadaniom, jakie stawia los przed mówiącymi i piszącymi po polsku. I jak wpływają na to szkoły. Píše całe traktaty o książkach kucharskich; z przepisów kulinarnych oraz z ich języka wnioskuje o stanie umysłów polskich i sytuacji kraju. W ogóle polszczyźnie poświęca sporo uwagi.

1. Diagnozie tej zdaje się przeczyć corpus dzieł dramatycznych Mrożka; dалоby się jednak wyinterpretować je jako szczerne sublimacje Felietonu.

2. Herbert jest starszy, ale należy mniej więcej do tej samej generacji debiutantów, co Dobosz.

Jest też jej gorliwym użytkownikiem. Telewizję wzmiankuje tylko raz, i to tonem drwiącym. Pustelnik jest tworem rzadkim dzisiaj, dumnie staroświeckim *homo linguisticus*. Jest perfekjonistą, jubilerem słów, czelazem zdań. Podejrzewam, że tu przeżywa swe najintymniejsze chwile męczeństwa. Jakby po to wędrował — takie wrażenie sprawiają jego najcelniejsze teksty — aby przynieść kilka doskonale wyczelowanych zdań. Tu zaczyna się jego właściwa walka o siebie. To jego wybór podstawowy: wybór języka. Zakreślić magiczny krąg, by — zasymilowawszy poprzez cytaty językowe sygnały otoczenia — odciąć się od gwaru, szumu, bełkotu świata, którego język jest pierwszym symptomem groźnych schorzeń. Z radością też odkrywa objawy językowego zdrowia w tekstach spoza uznanego kręgu mistrzów polskiego słowa: w teatrologicznych pracach Z. Raszewskiego czy raportach dyplomatycznych K. Morawskiego.

A jego własna tradycja językowa? Wierzę mu na słowo, że w jakichś nieznanych bliżej utworach czy dokumentach z okolic r. 1840. Ale ma on, jak sądzę, także swoją tradycję ezoteryczną, którą ujawnia mimochodem. Jest to chyba „Klub Pickwicka” Karola Dickensa w jakimś dawnym przekładzie oraz Laurence Sterne’a „Życie i myśli JW Pana Tristrama Shandy” w tłumaczeniu Krystyny Tarnowskiej. Parafrazę tego ostatniego tytułu pozwolilibyśmy sobie zastosować do książki Pustelnika, gdybyśmy chcieli na nią spojrzeć jako na zarys pewnej całości, zbiór szkiców do powieści, autoportret bohatera...

„Shandy” jest to właśnie powieść, będąca autoportretem bohatera, rozpryskująca się na dygresje, dywagacje, opowieści, anegdoty, pedantyczne traktaty, pełne dziwacznej erudycji. I ów ton uczonej powagi, spoza którego zerka ironiczne oko. Gra na granicy śmieszności i powagi.

Za tym, o czym opowiada nam Pustelnik, kryją się wielkie dramaty zbiorowe i małe w nich dramaty jednostek. Kryją się tam też osobiste dramaty Pustelnika. Ale jego ton, otrzeźwiająca mieszanka powagi i humoru, i umiejętność spojrzenia na siebie samego z rzeczową ironią, bez bolesnego szyderstwa czy wylewnego zatroskania, jest piękną lekcją stoicyzmu we współczesnej polskiej literaturze.

Pustelnik milczał przez lat 15. Emigranckie zagubienie? Indywidualny kryzys formy? *Redivivus*, nie zmienił się wiele: pisze tylko teksty dłuższe niż kiedyś, i nie musi mówić mową szyfrowaną o tym, czego nie lubi. Chodzi po Paryżu, ale jak dawniej odwiedza biblioteki i uniwersyteckie sale wykładowe. Usiłował przemianować się nawet na Pustelnika z Ulicy Sekwańskiej, lecz tak naprawdę wędruje wciąż po Krakowskim Przedmieściu. Dylemat: jak Pustelnik z Ulicy Sekwańskiej może stać się postacią historyczną, jaką jest ten z Krakowskiego Przedmieścia?

A może Pustelnik, jak często postaci z literatury lat czterdziestych ubiegłego wieku, u Dickensa, Balzaka i młodego Dostojewskiego, jest marzycielem? Czyli osobnikiem, który nie jest tu gdzie jest, i nie wtedy, kiedy jest, ale gdzie indziej i kiedy indziej? I który, odbywając swe codzienne marsze i jazdy po znanych trasach Warszawy czy Paryża, z domu do biblioteki i z powrotem, odbywa swą nie kończącą się podróż w poszukiwaniu powieści, która wciąż mu się szkicuje, i nie wiadomo kiedy osiągnie swój kształt ostateczny, zawieszona między serio życia a ironią aktu pisarskiego?

Ludwik FLASZEN

Polska niania

Nie wiem czy czytelnicy „Kultury” pamiętają przedwojenny wierszyk innego Janusza (Minkiewicza) zaczynający się od słów „Polskich dzieci polska niania / Winna uczyć ogumiania”, ale przyszedł mi on do głowy w trakcie lektury „Przyjemności i rozrywek”^{*} z uwagi na klimat tej książeczki w nieco podobny sposób łączącej kpiarstwo z dydaktyką. Ściślej biorąc te dwie kategorie — w zależności od ich porządku — świetnie nadają się do ogólnej charakterystyki obu części książki. W pierwszej, zatytułowanej „W życiu oficjalnym”, kpina z postpeerelowskich form życia politycznego, biurowego i businessowego jest treścią, a dydaktyka formą, por. np. rozdziałek „Jak obsadzać ważne urzędy państwowe?” (autor jest zwolennikiem metody loterii) lub „Jak wykończyć kolegę?” (autor zaleca postawę *festina lente*, dobre rozeznanie terenu i strzelanie z dużej odległości). W drugiej części pt. „W życiu prywatnym”, p. Łętowski wyraźnie ulega pokusom dydaktyki, tak że rozdziały tu zgrupowane często zmieniają się w rzeczowe traktaciki o winach, kobietach i śpiewie (przynajmniej w sensie przenośnym, por. „Zapach muzyki”, rzecz o męskich perfumach). Jak świadczy tytuł całości i dobór niektórych rekwizytów (cygara, sole kąpielowe, etc.) książka propaguje ideał życiowy, który można by nazwać elitarnym epikureizmem i zwraca się głównie do mężczyzn. Autor zdaje sobie sprawę, że jego zalecenia nie przez wszystkich Pola-

* Janusz Łętowski, *Przyjemności i rozrywki*, Wyd. „Twój STYL”, Warszawa 1993, s. 176. Ilustracje: Inez Krupińska.

ków będą realizowane zarówno z przyczyn obiektywnych (ileż w końcu jest tych saun, którym poświęcony jest osobny rozdział?!) jak i subiektywnych (rozsiane w pracy uwagi o „ludzie” wskazują, że piszący raczej *nie* jest słowianofilem typu tołstojowskiego), niemniej intencją jego zdaje się być odtworzenie w małym choćby zakresie typu gentlemana w stylu „jak przed wojną”. Na ile jest to przedsięwzięcie realne trudno mi orzekać, choć pewnym pesymizmem nastraja refleksja, że typ ten na całym świecie jest w wyraźnym regresie i to nie od wczoraj. Pół wieku temu George Orwell — sam pochodzący z ojczyzny tego terminu — napisał *à propos* Conrada: *Był polskim romantykiem i wierzył w istnienie „brytyjskiego gentlemana” w czasie kiedy gatunek ten był już wymarły od co najmniej dwóch pokoleń*. Tak więc Janusz Łętowski również wydaje się polskim romantykiem walczącym o przegraną sprawę, ale heroizm postawy *no staratsia nado* przydaje jego książce blasku „Zwycięstwa”. Z drugiej strony podkreślić też trzeba, że sam autor jest wyraźnie świadom swego mniejszościowego statutu i że świadomość ta wyraża się w sympatycznej powściągliwości zaleceń i lekko zrezygnowanej tolerancyjności przygan, toteż ten swoisty *savoir-vivre* jest chwalebnie wolny od (również rozpowszechnionego w Ojczyźnie Naszej Ukochanej i wśród Pielgrzymstwa Polskiego) samozadowolenia imć panów Podfilipskich i mecenasów Kraykowskich. Z tej racji p. Łętowski wydaje się idealnie predestynowany do napisania większej pracy z tego zakresu: fundamentalnego polskiego podręcznika *bon-ton*’u, które to dzieło w obecnej „chwili historycznej” wydaje się równie pilną potrzebą jak inwestycje zagraniczne, członkostwo we Wspólnym Rynku i konkordat. Ufać należy, że w tym przyszłym polskim *Das grosse Buch der Etikette* (= tytuł symptomatycznego bestsellera niemieckiego z lat „cudu gospodarczego”) znajdzie się też rozdział — boleśnie nieobecny w omawianej pracy — na temat terminowego odpowiadania na listy; przy odrobinie dobrej woli można i tę czynność zaliczyć do przyjemności i rozrywek.

Rozpisałem się głównie na temat drugiej części książki z uwagi na jej bardziej „jednostkowy” charakter, co rokuje większą nadzieję na jej zejście pod strzechy lechickich czupryn. Satyryczny obraz współczesnego „ethosu” (*excusez l’expression prétentieuse*) polityczno-biurowego w części pierwszej jest w sposób przewidywalny zabawny i przygnębiający zarazem, toteż poprzestaję jedynie na jego zasygnalizowaniu amatorom prześmiejchów z huraganów i trzęsień ziemi, tzn. zjawisk na które nie ma sposobu. Od siebie powiem tylko (godząc Cervantesa z Gałczyńskim): „za duży wiatrak na moją wełnę”.

Ponieważ nazwisko „Łętowski/-a” zapisało się trwale i chlubnie w polskiej historii współczesnej z uwagi na działalność

prof. Ewy Łętowskiej, rzecznika praw obywatelskich w okresie pre-postkomunistycznego rządu RP, czytelnik recenzji siłą rzeczy będzie zastanawiał się czy autor tej książki to *any relation*? Tak, mąż — i na odwrocie okładki znajduje się ładne wspólne zdjęcie obojga pp. Łętowskich. Ich uśmiechy plus ilustracje p. Krupińskiej oddają pełną sprawiedliwość tytułowi i panującej w książce atmosferze.

M. BRONSKI

Kłamstwo, fikcja, blaga

Wypada zacząć omówienie tej książeczki-eseju o kłamstwie* od wyznania żenującej prawdy: mimo, iż jej autor jest *de l’Académie française* czyli „nieśmiertelny”, nigdy o nim dotychczas nie słyszałem. Dziełko to skusiło mnie nie z uwagi na autora, a na temat — stale aktualny i skłaniający do refleksji. Ciekaw też byłam co nowego o tym można powiedzieć na 110-ciu stronicach małego formatu, ale za to drukowanych dużą czcionką.

Jak się okazuje dość sporo, choć książka (!) Laurenta zawiera też dużo oczywistości, a czytelnik poszukujący jakiegoś porządku w jego wywodach czuje się mocno zawiedziony (styl francuski, *bélas*). Rzecz składa się z 31 mikrorozdziałów tropiących ruchem pasikonika różne odmiany nieprawdy w życiu, literaturze i myśleniu. Autor deklaruje rodzaj sympatii dla *mensonge* z dwóch powodów: 1) życie byłoby nieznośne bez pewnej dozy udawania — choćby w formie (właśnie!) „form towarzyskich”, a 2) już sama etymologia tego francuskiego rzeczownika (wywodzącego się z łacińskiego *mentiri* „kłamać”; por. polskie „zmyślać”) wskazuje na fakt, że uprawianie kłamstwa jest działalnością intelektualną wymagającą często sporej inteligencji i fantazji. Odrzę autorą budzą tylko kłamstwa utylitarne, zmierzające do osiągnięcia korzyści osobistej lub grupowej. Do tych ostatnich zalicza np. proowieckie wypowiedzi i przemilczenia Romain Rollanda i Sartre’a, przypisując je nie tyle chęci przysłużenia się partii komunistycznej, co poczuciu pychy „wtajemniczonych”, którzy uważali się za w pełni uprawnionych przez swą wyższość umysłową do chronienia „maluczkich” przed zbrukaniem ich

* Jacques Laurent, *Du mensonge*, Plon, Paris, 1994, str. 110., ISBN 2.259.00348-6.

niedojrzałych umysłów, nieistotnymi marginaliami w rodzaju Gulagu i KGB. Z drugiej strony Laurent uważa „kłamstwa” sztuki — wliczając w to sztukę nieobowiązującej konwersacji — za konieczny składnik tej dziedziny. Jest to oczywistość, która byłaby jeszcze oczywistsza, gdyby autor zarezerwował termin „kłamstwo” dla nieprawdy szkodliwej, a pozostałe jej formy nazwał „fikcją” (w sztuce) i „błagą” (w konwersacji). Niemniej refleksje jego nie są całkiem bezużyteczne, ponieważ pobudzają czytelnika do własnych przemyśleń, szczególnie na temat wypadków granicznych. Takim wypadkiem jest sprawa „nieprawdy” mającej na celu pewne upiększenie własnej osoby, np. w formie stosowania kosmetyków czy poddania się odpowiedniej operacji. Czy pani, która poddała się zabiegowi *lifting'u* lub pan, który dał sobie wszczepić włosy w łyse miejsca „kłamią” ohydnie, czy też raczej chwalebnie starają się zmniejszyć ilość brzydoty w świecie? Laurent trafnie zauważa w pewnym miejscu, iż w niektórych dziedzinach ludzkiej działalności — strategii militarnej, boksie czy grze w szachy — zwodzenie przeciwnika należy do reguł gry i nie popada pod kwalifikacje „kłamstwa”, a ściślej: kłamstwo jest tu z góry założone, więc *caveat emptor*. Z tej też racji wyraźnie nienaturalna szminka czy perfumy nie stanowią *mensonge*, gdyż są „kłamstwem” ostentacyjnym czyli uświęconym elementem mody, natomiast sztuczny biust lub inna część ciała podana za prawdziwą traktowane są w wypadku ujawnienia jako wstydlivy fałsz. Wypadek *lifting'u* jest w tym sensie graniczny, że nie jest oczywiste czy należy on do pierwszej kategorii, tzn. czy jest włączonym w reguły gry przybraniem, czy też osoba z „nową” twarzą udaje kogoś kim nie jest naprawdę? Rozważania te stają się jeszcze bardziej interesujące, a przynajmniej „relewantne”, jeśli zastosuje się je do różnych *lifting'ów* w sensie przenośnym, np. zmiany postawy politycznej czy zachowania się danego osobnika wobec innych. Oczywistym kryterium w tym wypadku byłaby „szczerłość” (gwarantująca trwałość danej zmiany), ale właśnie problemem jest brak oczywistości tego wyróżnika, gdyż jak trafnie zauważa autor — termin „kłamstwo” jest w zasadzie tylko supozycją otoczenia, przypisyującego oskarżonemu świadomą złą intencję. „*Żeby wiedzieć, [naprawdę] czy ktoś kłamie, trzeba by zamieszkać w jego mózgu*”, powiada Laurent w jednym z rozdziałów.

Kilka innych spostrzeżeń autora zasługuje na uwagę. Jednym z nich jest refleksja nad statusem przekazu informacji, mieszającego prawdę z fikcją. Laurent, wspominając polemiki dotyczące „prawdomówności” powieści historycznej typu romansów Waltera Scotta, w których postaci fikcyjne występują obok autentycznych (jak np. w „Trylogii”), proponuje zaliczać je do *iluzji* artystycznej i odróżniać starannie od (pseudo-)dokumentów,

które mogą kłamać sugerując, że ich zawartość jest „literacko uwypukloną” prawdą. Jako przykład tej drugiej kategorii (z polskiego podwórka) przychodzi mi w tym miejscu na myśl *The Painted Bird* („Malowany ptak”) Jerzego Kosińskiego — wielokrotnie spotykałem cudzoziemców pytających mnie ostrożnie, jak udało mi się przeżyć wiele lat w kraju zamieszkałym przez takie potwory, jakie zaludniają wspomnianą powieść. Innym użytecznym pojęciem wprowadzonym przez Laurenta jest *tromperie par négligence* („zwodzenie przez niechlujstwo”), szczególnie rozpanoszona w środkach masowego przekazu. Autorowi chodzi o narzucanie odbiorcom pewnych pseudoprawd bez dowodów, jakby były oczywiste same przez się. Na przykład rzucona *en passant* uwaga „Hegel — niezaprzeczalny mistrz współczesnej filozofii etc.” sugeruje, że nikt nigdy nie miał i mieć nie może wątpliwości na temat poprawności i wagi rozumowań tego myśliciela (a co za tym idzie, tychże przymiotów u jego zwolenników). Inny przykład: jakiś dziennikarz stwierdza niefrasobliwie „Mitterrand idzie na przekór prawom Historii”, ignorując (celowo czy z lenistwa, nie wiadomo) fakt, że kwestia istnienia praw w historii (czy nawet „Historii”) była długo debatowana i pozostała nierozstrzygnięta, zaś systemy przyjmujące tę hipotezę jako realną nie spisały się najlepiej w tejże historii. Niemniej, tym sposobem kiczowaty banał utwierdza się w niektórych przynajmniej umysłach.

W sumie: omówiona książeczka może być użytecznym przypomnieniem, że nowomowa ma różnoraką postać i twarde życie. Z drugiej zaś — niezamierzonej — strony, kokietyrny forma literacka w jakiej to przypomnienie zostało podane (użyłbym tu słów Wieszcza: „jak ślicznie, lekko tańczysz pan”) składają do równie użytecznej refleksji, czy tego typu eseje kwalifikują się do kategorii kosmetyków czy też sztucznych biustów.

M. BRONSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- RADZYMIŃSKA (Józefa). *Psalm powstańczy 1944*. Poezje. Str. 74 i 2 nlb. (Wyd. Firma Wydawnicza K2 – seria 50-ta rocznica Powstania Warszawskiego – Warszawa 1994).
- RADZYMIŃSKA (Józefa). *Przymierze z miastem*. Powieść o Powstaniu Warszawskim. Str. 148. (Wyd. Firma Wydawnicza K2 – seria 50-ta rocznica Powstania Warszawskiego – Warszawa 1994).
- SERNICKA (Katarzyna), GAWEŃCKI (Maciej). *Amerykański brzeg Leopolda Tyrmanda*. Str. 134 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo TEWET, Warszawa 1993).
- GRYDZEWSKI (Mieczysław). *Silva rerum*. Teksty z lat 1947–1969 w wyborze Jerzego B. Wójcika. Str. 490 i 6 nlb. (Wyd. Silva Rerum, Gorzów Wielkopolski 1994).
- DANOWSKI (Marek). *Trylogia. Polonia wczoraj i dziś — żyć jako Polak na emigracji (dziennik)*. Dzieła zebrane tom I. Str. 160. (Wyd. B. Kohler Verlag, Zurich 1994).
- KLEJNOCKI (Jarosław). *Oswajanie*. Wiersze. Str. 40 i 4 nlb. (Wyd. Towarzystwo „Ogród Książ”, Warszawa 1993).
- MORAWSKI (Zdzisław). *Gdzie ten dom gdzie ten świat*. Str. 144. (Wyd. „Twój STYL”, Warszawa 1994).
- HARZ (Maria). *Bibliografia zbrodni katyńskiej*. Materiały z lat 1943–1993. Str. 174 w języku polskim i angielskim. (Wyd. Wojskowy Instytut Historyczny, Centralna Biblioteka Wojskowa, Warszawa 1993).
- Współcześni polscy pisarze i badacze literatury*. Słownik bibliograficzny, tom pierwszy A–B. Praca zbiorowa przygotowana w Instytucie Badań Literackich PAN. Str. 370 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1994).
- Literatura na świecie*. Miesięcznik — nr 1–2/1994 (270–271). Str. 272. (Wyd. Agencja Autorska — na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki, Warszawa 1994).
- SROGOSZ (Tadeusz). *Problemy sanitarno-zdrowotne w działalności administracji Rzeczypospolitej w okresie stanisławowskim*. Rozprawa habilitacyjna. Str. 498. (Wyd. Akademia Medyczna w Łodzi, Łódź 1993).
- Kultura skupisk polonijnych*. Materiały z III Sympozjum Naukowego, Warszawa, 12 i 13 maja 1988 r. Str. 436. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1994).
- PIESZCZACHOWICZ (Jan). *Wygnaniec w labiryncie XX wieku*. Poetyckie rodowody z dwudziestolecia. Str. 276. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1994).
- Biuletyn Towarzystwa Naukowego i Literackiego w Łodzi*. Tom II/III, n-ry 1–20. Seria: Badania nad sztuką — *Teatr schyłku XX wieku*. Str. 202 w języku polskim i angielskim. (Wyd. Uniwersytet Łódzki, Łódź 1993/94).
- JANKOWSKI (Edmund). *Z różnych sfer*. Studia i portrety. Str. 358 i 2 nlb. (Wyd. Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Warszawa 1994).
- MACKIEWICZ (Józef). *Lewa wolna*. Wydanie trzecie. Dzieła tom 7. Str. 508 i 4 nlb. (Wyd. KONTRA, Londyn 1994).
- MACKIEWICZ (Józef). *W cieniu krzyża. Kabel Opatrzności*. Wydanie trzecie. Dzieła tom 9. Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. KONTRA, Londyn 1994).
- TOMASZEWSKI (Adam). *Śpiew syren*. Str. 276. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1993).

Wolna trybuna

„Towarzyska szlachta”

Tylko ludy wolne posiadają historię godną uwagi. Historia ludów żyjących pod jarzmem despotyzmu jest jedynie zbiorem anegdot.

Chamfort

Instynkt towarzyski — tak filozofowie XVIII stulecia nazywali popęd społeczny człowieka. Ten przymiotnik sam im się narzucił — jako że większość swego życia spędzali w salonach, gdzie konwersację uczyniono najwyższą ze sztuk (dzisiaj całkiem zapomnianą, co odbija się zresztą na kulturze ogólnej). W XIX w. życie towarzyskie przeniosło się do kawiarni i klubów — samo słowo „towarzystwo” oznaczało od tej pory ścisłą elitę. Wzorem stał się gentleman; jeden z wiktoriańskich poetów posunął się do twierdzenia, że pierwszym dżentelmenem był Chrystus! Żeby otrzymać zaproszenie do arystokratycznych (i zwykle antysemitycznych) saloonów Paryża *fin de siècle*’u, intelektualisci żydowskiego pochodzenia woleli się raczej wyrzec Dreyfusa niż przestać „bywać”.

Jest regułą, że życie towarzyskie zaczyna kwitnąć tam, gdzie możliwości aktywności społeczno-politycznej są zablokowane. Gdy Ludwik XIV uwięził arystokratów na swoim dworze, pogrążyli się oni w miłostkach, intrygach i śmiesznych dysputach na temat etykiety: jak to opisał de Laclos w „Niebezpiecznych związkach”. W krajach pozbawionych normalnego życia politycznego, takich jak Włochy, Rosja czy Polska, salony czy kawiarnie przejmowały funkcje parlamentu. Jak pisał Józef Chałasiński — „dobre towarzystwo to podstawowa instytucja inteligencji polskiej. (...) Własne życie inteligencji kształtowało się na tej podstawie w swoiste getto społeczno-towarzystwie”. Zarówno środowiska jak i reguły kształtujące to towarzystwo w dużej mie-

rze przypadły w strasznych latach 1939-1956. Skoro jednak komuniści mieli parlament, demokrację, pieniądź i w ogóle wszystko jak w normalnym państwie — czemu mieliby nie sprawić sobie także „dobrego towarzystwa”? Z pewnością nie wszystkim z wybranych przypadła do smaku rola członka kasty dworskich artystów i intelektualistów: ale trzeba było przecież chronić najcenniejszą tkankę narodu, a któż mógłby pretendować do miana jego substancji — jak nie oni właśnie?

To wtedy powstały „środowiska twórcze” — matecznik dzisiejszych Autorytetów, które według koncepcji A. Michnika mają pełnić rolę „aristos” w Grecji sprzed Solona. Jak owe środowiska funkcjonowały opisał najlepiej L. Tyrmand w „Życiu towarzyskim i uczuciowym”. Najlepiej zresztą oddać głos Juliuszowi Mieroszewskiemu, który tak oto opisał ten światek w *Kulturze* z czerwca 1963: „Leży przede mną bieżący numer *Nowej Kultury*. Gdyby nie nagłówek z czerwoną flagą i hasło „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!” — można by sądzić, że to biesiada zachodnich koneserów. Melchior Wańkowicz — o Steinbecku; Paweł Hertz — o Prouście; Cat-Mackiewicz o chrześcijaństwie i pokoju.

Lecz władcą tego salonu literackiego jest aparatczyk, który w Anglii, nawet komunistycznej, byłby małym urzędnikiem na prowincjonalnej poczcie. I to jest Wschód”.

W państwie totalitarnym życie polityczne, gospodarcze czy artystyczne było albo niemożliwe albo sterowane przez władze. Jedynym obszarem autentycznych stosunków międzyludzkich pozostało więc życie towarzyskie — i stąd jego rozkwit. Nie można go jednak porównać do przedwojennych przyjęć czy rautów, gdyż w PRL „arystokracja towarzyska” (by odwołać się do terminu S. Bratkowskiego) po prostu skazana była na wspólne stołówki czy domy twórcze: nierzadko związki artystyczne były jedynym miejscem, gdzie muzyk mógł dostać papier nutowy a malarz farby. Po latach niektórym co aktywniejszym uczestnikom tej gry zebrało się na nostalgię — co rozwścieczyło Stefana Kisielewskiego (*Literatura*, XI 1989): „Jacek Bocheński napisał w *Gazecie Wyborczej* jaki cudowny był tamten Związek Literatów. To jest nieprawda i ja mu zrobię awanturę. Związek iwaskiewiczowski to było w Warszawie psie gówno. Trzy razy stawałem na różnych gremiach wniosek, żeby posłowie literaci w Sejmie wnieśli projekt ustawy o cenzurze: czego dotyczy i jakie są jej uprawnienia. Wniosek przeszedł dwa razy jednomyślnie — a potem zniknął z protokołów. Iwaskiewicz go po prostu skreślał”.

Z czasem ludzie obdarzeni rzeczywistym talentem zaczęli wypytywać na wody międzynarodowe, co dało im pewną quasi-niezależność. Np. Wajda, którego pierwszych filmów lepiej nie

przypominać, mógł w 1977 r. zagrozić skandalem w wypadku zatrzymania „Człowieka z marmuru” — i władza poszła na kompromis (wymuszono zmianę finału). Komunistyczny reżim, który z początku był rodzajem skrajnie fanatycznego kalifatu, stopniowo podlegał korupcji i w tym okresie przypominał już bardziej Bizancjum, gdzie dojście do faworytów władcy mogło pomóc ominąć różne zakazy. Ten bizantyjski system protekcji, zależności, „dojść” i „układów” decydował o karierze — stąd owe opisywane m.in. przez Konwickiego boje o miejsce przy odpowiednim stoliku w Spatifie czy heroikomiczne zmagania w KC. Niejeden Czytelnik uśmiechnie się w tym miejscu, ale zapewniam, że dla samych bohaterów i przedmiotów tych dyslokacji były to triumfy i tragedie godne pióra Balzaka czy Prousta.

W ustrojach niedemokratycznych możliwość protestu, który nie byłby narażony na zbrojną przemoc, mają tylko warstwy uprzywilejowane; i taka też była geneza Marca 68. Podobnie przedsierniowa opozycja, a potem pogrudniowe podziemie oparte były na związkach towarzyskich: nieformalne struktury bazujące na kontaktach przyjacielskich stały się oparciem dla różnych inicjatyw politycznych czy kulturalnych. Idea Bujaka „niezależnego społeczeństwa” — przedmiot tyłu drwin *Polityki* czy *Trybuny Ludu* — brała się właśnie z faktu, że — jak to swego czasu sformułował Marcin Czerwiński opisując społeczeństwo peerelowskie — „stosunki towarzyskie tworzą w środowisku miejskim główny układ odniesienia dla współczesnej zminiaturyzowanej rodziny dwupokoleniowej wypierając i zastępując w wielu funkcjach związki oparte na więzi krwi”.

Obyczaje (gr. *ethos*) regularnie kultywowane tworzą tradycję, ta zaś zastępuje prawa, tam gdzie ich nie ma — np. w Wielkiej Brytanii. Mickiewicz i Norwid w swojej obronie Pierwszej Rzeczypospolitej dowodzili, że *liberum veto* było emanacją szlachetności polskiej tak długo, dopóki posłowie wstrzymywali się z jego użyciem. Tak tworzy się norma moralna: owo „nie godzi się”, które niekiedy staje się ostatnim punktem oporu wobec zakusów tyranii. Jak ta normatywna świadomość społeczna może być bolesna dla totalizmu, przekonaliśmy się podczas bojkotu aktorskiego w latach po 13 grudnia, gdy aktorzy jednocześnie, nie umawiając się, przestali występować w oficjalnych mediach. (Na tym „SIE” Martin Heidegger zbudował całą swoją filozofię, której znaczenia dla naszego stulecia trudno przecenić). Odporne na przemoc, normy te są jednak zazwyczaj podatne na przekupstwo, zwłaszcza jeśli zmienią się warunki polityczne: tak było z *liberum veto*, tak było z aktorami, którzy gremialnie stanęli po stronie obozu Grubej Kreski — tak było i z Bujakiem, który przehandlował swoją legitymację „Solidarności” w zamian za zaproszenie na imieniny (u boku Europejczyka dekady) do Urbana.

Słowo „etos” odegrało później znaną rolę w historii najnowszej; nie będę tu jej przypominał, chciałbym tylko zwrócić uwagę na znaczące nieporozumienie wokół tego pojęcia jakie nastąpiło z okazji pojawienia się pisma *Res Publica*. Recenzując jego pierwszy numer historyk i socjolog Jerzy Jedlicki skrytykował niektóre tezy w nim zawarte pisząc, że „lepiej umówić się, iż nie ma od dawna żadnej 'inteligencji', żadnej 'warstwy' i żadnego dającego się jej przypisać ethosu”. Spotkało się to z repliką redakcji, która piórem I. Bialeckiego wskazała, że inteligencja jak najbardziej istnieje, skoro jest dużo ludzi z wyższym wykształceniem, którzy się do niej przyznają i że posiada ona swój etos, gdyż ma „wspólne interesy, czy jeśli kto woli — cele i projekty”. Otóż z pewnością Jedlicki uważał etos za coś różnego od interesów: ta semantyczna kontrowersja odbija różnicę daleko większą niż tylko pokoleniową.

Co łączyło poza więzami towarzyskimi grupę, która w 1987 zmajoryzowała opozycję, a w 1989 wynegocjowała 35 % wolności — by w roku następnym przejąć niepodzielną władzę nad środkami masowego przekazu i sprawować odtąd „rząd dusz”? Odpowiedź na to pytanie wymagałaby badań psycho-socjologicznych, tylko nie wiem, kto się ich podejmie — najwybitniejszy bodaj polski psycholog, prof. Kazimierz Obuchowski prowadził co prawda kiedyś badania nad zachowaniem decydentów, wątpię jednak czy znalazłby dziś siły, środki i odwagę, by przebadać dzisiejszą „szlachtę towarzyską” (by utrzymać się w nieocenionej terminologii p. S. Bratkowskiego). Znamienne, że to, co się dzieje uchwycił z oddali nie socjolog ale pisarz, Gustaw Herling-Grudziński, pisząc w lipcu 1989 roku: „Na drodze do demokracji i pluralizmu kierownictwo opozycji musi też zerwać z gabinetowo-konwentyklowym stylem 'porozumienia elit' oraz z zastrzeżeniem wszelkich istotnych prerogatyw dla Wodza i jego Drużynie wyszłaby na zdrowie ostrożność w posługiwaniu się dość śmiesznymi conceptami Wielkiej Gry i Wielkich Graczy, i większa powściągliwość w lansowaniu 'zmienionej na plus opinii o generale Jaruzelskim' (choćby w imię szacunku dla nie zmienionej opinii 'solidarnościowych dołów'...)”. Ciekawe, że precyzyjny teleskop, którym pisarz obserwuje z Neapolu nasz polityczny nieboskłon, zamglął się przy ocenie wystąpienia Krzysztofa Wyszowskiego — znając uczciwość Herlinga sądząc jednak, że wkrótce odwoła swoją ówczesną ocenę.

„Żeby być kimś, trzeba być częścią czegoś”, powiedział kiedyś Martin Luther King. Cokolwiek miałyby znaczyć to stwierdzenie, na planie socjotechnicznym jest opisem rzeczywistego mechanizmu i ma wymiar ponadnarodowy. Jeśli chodzi o kraje komunistyczne, to w nich wszystkich powstały ekskluzywne

grupy „inżynierów dusz” — które pod łagodnym panowaniem następców Stalina zaczęły zrzucać wędzidło. Na Węgrzech proces ten zanalizował Miklos Honaszti w książce „Aksamitne więzienie: artyści w realnym socjalizmie”. W NRD artyści i intelektualiści z tolerowanej opozycji do końca, wbrew opinii reszty społeczeństwa, próbowali ocalić swoją „republikę”. W Czechosłowacji znany eks-opozycjonista Jan Urban wyznał w piśmie *Lidove Noviny* z września 1990r.: „Wielu z nas w Forum Obywatelskim podświadomie bało się 'irracjonalnego zachowania mas’”. Najbardziej wnikliwy opis tej formacji znajdujemy jednak w eseju prezesa Pen Clubu Słowenii Drago Janczara pt. „Przedłużona przeszłość”:

„Byliśmy naiwni (...) Przeszłość bowiem wcale się nie skończyła. Widzimy ją codziennie: na ekranach telewizorów oglądamy twarze ludzi, którzy jeszcze wczoraj wnikliwie komentowali partyjne sobory i ich liturgię, w gazetach widzimy te same podpisy, które jeszcze wczoraj widniały pod gwałtownymi atakami na opozycję, pod tekstami wyśmiewającymi wyrzuconych z uniwersytetu profesorów. Wszędzie na kierowniczych stanowiskach są jeszcze ludzie, którzy głośno albo z milczącym przyzwoleniem umożliwiali funkcjonowanie systemu represji i zakazów.

Ale z tym jakoś dałoby się wytrzymać. (...) Problem polega na tym, że ci ludzie, pozostając na swych świetnych stanowiskach krzyczą teraz o wolności prasy i twórczości, o wolności wykonywania zawodu, autonomii uniwersytetu i niezależności sądownictwa. Ci sami, którzy niegdyś robili wszystko, by te najbardziej normalne na świecie rzeczy ominęły nasz kraj, są teraz ich zagorzałymi apologetami. Oczywiście zawsze zajmują bardzo zasadniczą postawę wobec każdej decyzji demokratycznie wybranych władz, decyzji postulującej konkretne przemiany. W płomiennych słowach ostrzegają naród nie tylko przed indolencją nowej władzy, czyli dotychczasowej opozycji, lecz... nawet ostatnio przed totalitaryzmem. (...) Krzyczą o represjach, choć nikomu nie spadł nawet włos z głowy. A do tej wrzawy (...) dołączają też intelektualiści. Chcąc nie chcąc stali się kontynuatorami tradycji, która tępiła 'prawicowość' w kulturze, która 'zapozyczała' na Zachodzie różne lewicowe idee i usłudnie ofiarowywała je jednej (i jedynej) lewicy będącej wówczas u władzy”.

W naszej najnowszej historii istnieje tajemniczy epizod związany z nieudaną próbą powołania PPS — czyli Polskiej Partii Solidarność. Jej konieczność sformułował na łamach *Gazety Wyborczej* Piotr Pacewicz tego samego dnia, gdy pomimo wysiłków Adama Michnika misję powołania nowego rządu (nikt go nie nazywał wówczas niekomunistycznym, jako że komuniści mieli w nim udział nader ważki) otrzymał Tadeusz Mazowiecki. Partia ta miała mieć charakter obecnego BBWR, tyle że zamiast

na 6% głosów, mogła liczyć na 66%. Naczelną ideą była jedność moralno-polityczna narodu pod przewodnictwem Autorytetów, które przeprowadzą Polaków przez ciernistą drogę reform do nowego wspaniałego świata. Ponieważ nie było jeszcze wówczas organizacji przedsiębiorców, a i oni sami dopiero stawali na nogi, więc kreacja klasy średniej miała się odbywać właśnie pod nadzorem Elity. Byłby to więc korporacjonizm, o jakim Georges Sorel i jego najwierniejszy uczeń Benito mogli tylko marzyć. Jeśli zaś komuś wydaje się to pomysłem z góry poronionym, powinien się zapoznać z sondażem CBOS z października ub.r. na temat społecznej akceptacji idei demokracji. Jak informuje Piotr Starzyński w 37 numerze *Kultury i Społeczeństwa* 36% respondentów odparło TAK na temat oceny zdania, iż „niekiedy rządy niedemokratyczne mogą być bardziej pożądane niż rządy demokratyczne” (38% nie miało opinii, 26% było przeciwnych). Nie oznacza to tęsknoty za dyktaturą, bo dla 52% demokracja jest najlepszą formą rządów — ciekawe jest natomiast, że jak pisze (niezbyt precyzyjnie) autor: „częściej niż pozostali skłonne są zaaprobować rządy niedemokratyczne (...) osoby z wyższym wykształceniem, pracownicy umysłowi niższego szczebla, kadra kierownicza i inteligencja”.

Taki rząd Autorytetów nie musiałby być rządem autorytarnym — ale rządzenie za pomocą plebiscytów to od czasu Napoleona bardzo popularny sposób na paraliż demokracji. Miałyby on zaplecze w postaci „towarzyskiej szlachty” (by znów skorzystał ze słownictwa nieocenionego p. Bratkowskiego) czyli inteligencji pierwszego pokolenia, której uczestnictwo w obozie Michnika i Kołakowskiego nadaje nobilitację społeczną. Wchodzimy tu już w tę niezmiernie delikatną i trudną do socjologicznej penetracji dziedzinę, jaką jest społeczna psychologia. (Któż odpowie ankieterowi twierdząco na pytanie czy czuje się snobem?) W społeczeństwie, które można nazwać archipelagiem grup towarzyskich, nieuchronnie postępuje to, co wybitny socjolog francuski Emile Durkheim nazwał segmentaryzacją społeczeństwa. Równie wybitny psycholog szwajcarski Jean Piaget tak streścił jego poglądy w tej kwestii: „W społeczeństwach typu segmentarycznego konformizm dochodzi do szczytu: każda grupa społeczna jest zamknięta w sobie, (...) tradycja (pisana i niepisana) kładzie się zatem całym swoim ciężarem na świadomość każdego. (...) Życie społeczne i życie indywidualne stanowią jedność. Panuje wszechwładnie sugestia i naśladownictwo... pozostają jedynie różnice prestiżu, zwykle zależne od wieku. Środowiskowa reguła jest przymusowa, konformizm obowiązkowy”.

Taka sytuacja musi sprzyjać niejawności życia społecznego, na jaką skarżył się jakiś czas temu w wywiadzie radiowym Marcin Król. Komunistyczna reguła „wiedzieć, rozumieć” została prze-

jęta przez nową centralę opiniotwórczą. Najwyraźniej ją było widać w przypadku Jana Walca, którego nazwisko stało się w swoim czasie synonimem nonkonformizmu. W opublikowanej rozmowie z Andrzejem Celińskim wyznał on, że miał wielką ochotę pisać w *Tygodniku Solidarność* po tym, gdy przejął go Kaczyński — ale zwyczajnie nie wytrzymał nacisku otoczenia. Dobrze ten kastowy mechanizm odbija się w obyczajowości politycznej, czy nawet po prostu zawodowej. Kiedy Józef Orzeł wyrzucił mnie z tegoż *Tygodnika*, to brutalność, z jaką to zrobił, nie wynikała z antypatii, gdyż ani przedtem ani potem nie mieliśmy żadnych zadrażnień — po prostu ludzie z Elity *nie potrafią rozmawiać z kimś, kto jest wobec nich niezależny*. Widać to po stylu polemik prasowych w wysokonakładowej prasie: ludzie skądinąd kulturalni zaczynają nagle wyrzucać z siebie obelgi i wyzwiska, gdyż ich adresaci nie należąc do „towarzystwa” — nie liczą się: służą jedynie jako tarcza strzelnicza. Ludzie typu Adama Michnika czy Aleksandra Małachowskiego dobrze poznali komunistyczne więzienia i nigdy, jak mam prawo sądzić, nie przyszło im do głowy zapisać się do partii — ale dekomunizacja to dla nich zagłada świata, w którym przeżyli całe swoje dojrzałe życie i w którym doszli na społeczny Olimp. „*Les honneurs déshonorent!*” — zauważył Flaubert w jednym z listów... Co nie znaczy, by ta choroba dotknęła tylko tzw. laicę — także Jan Parys nie potrafi rozstać się z Ryszardem Abramowskim, eks-ochroniarzem Maciejem Szczepańskim, ani Wojciechem Bogaczykiem, wyrzuconym z ZChN za defraudację. Po prostu w „warszawce” niczego nie załatwia się normalnie, wszystko jest funkcją znajomości i układów: normalna różnica poglądów staje się powodem zerwania stosunków, zaś sprawy poważniejsze muszą w tej bizantyjskiej atmosferze wyrastać do rozmiarów Apokalipsy. W zasadzie obowiązują tylko dwa modele: albo towarzystwo wzajemnej adoracji, albo niedostrzeżenie siebie na ulicy. Czy można się dziwić, że w tym klimacie kwestia kto do kogo pierwszy zadzwoni urasta do problemu niemal egzystencjalnego? Ktoś, kto mówi to, co myśli staje się osobnikiem niebezpiecznym — a jeśli jeszcze robi, to co mówi, to staje się wyrzutkiem. W tym dziwnym, wyobcowanym z reszty społeczeństwa światku, ludzie są naprawdę przekonani, że jeśli publicznie powie się o wyczynach Bronisława Geremka, który jako aktywista ZMP wyrzucił ludzi ze studiów, albo o momencie słabości skądinąd zasłużonego prof. Samsonowicza, gdy pod jego przewodnictwem Komitet Uczelniany PZPR potępił Kuronia i Modzelewskiego — to Polska tego nie przetrzyma.

Geremek po wyborze Wałęsy na prezydenta powiedział, że naród polski nie dojrzał do demokracji. Dramat profesora polega na tym, że nie może po prostu wyjść z sali i nie wrócić, tak

jak to nasi jaśnie oświeceni uczynili najpierw w Komitecie Obywatelskim, a potem w OKP kiedy ich „poniżono”, to znaczy po prostu — przegłosowano. Mam nadzieję, że jakiś poeta doceni kiedyś i opíše poświęcenie tych ludzi, którzy zmuszeni są do rządzenia tą ciemną masą, zamiast opalać się na plaży albo grać w polo.

Mówiąc serio, fakt niesformalizowania tych powiązań wewnątrzgrupowych utrudnia skrajnie wszelkie socjologiczne badania. Jaki komputer zanalizuje informacje typu: „jego matka była w Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy i była prześladowana przez Moczarę, więc gdy jej były protegowany z ZMP załatwił mu stypendium, to on musiał teraz załatwić córce tego faceta posadę kierownika działu”? Najlepszy IBM znacznie się iskrzy — a to przecież jest warszawska rzeczywistość. Nie tłumaczy to jednak zdumiewającego ubóstwa badań, a przynajmniej opracowań socjologicznych w tak frapującym dla tej dziedziny okresie przełomu społecznego. Byłem pewien, że po ostatnich wyborach czeka nas zalew studiów i prac wykorzystujących tę kopalnię danych, jaką przy tej okazji zebrał INFAS. Jakież było moje zdumienie, gdy zamiast zgiefku młodych i starych naukowców usiłujących przekonać nas do swoich tez — nastąpiła głucha cisza. A potem znów — jak gdyby nigdy nic — te artykuły utytułowanych uczonych, gdzie zamiast liczb napotykaemy wciąż publicystyczne wytrychy typu „można sądzić”, „jak się wydaje”, „należy przypuszczać”, itd. itp. Jeśli taki jest stan polskiej socjologii, to chyba trzeba pomyśleć nad sensem jej istnienia. (To znaczy — dotowania).

A może po prostu te dane były zbyt ambarasujące? Jak na przykład wytłumaczyć fakt, że wyborcy Tymińskiego głosowali przede wszystkim na SLD, potem na PSL, a na trzecim miejscu... na UD? Albo jak wytłumaczyć, że przeciętny wiek wyborcy wyniósł 47 lat?

Konformizm jest czymś przeciwnym inwencji i kreatywności — a więc temu, co uczyniło kapitalizm ustrojem realizującym potrzeby *homo sapiens*. Jak wykazał Max Weber, rozwój cywilizacji Zachodu był możliwy tylko dzięki temu, że związki osobiste zastąpiła ona odpersonalizowanymi, „bezdusznymi” prawami — które umożliwiły rozbitcie więzi klanowych i rodowych i dały wolność jednostce. Dopóki u nas bardziej będzie się liczyć to, kto kogo zna, a nie co umie — dopóty nie mamy czego szukać w Europie.

Piotr SKÓRZYŃSKI

KRAJ — BLOK WSCHODNI

27.01.94

Z okazji przyznania nagrody odbył się w Klubie Księgarza w Warszawie wieczór promocyjny książki Anny Strońskiej pt. „Sennik galicyjski”.

21.04.94

Zmarł w Warszawie w wieku 64 lat Bogdan Wojdowski, znany pisarz.

7.05.94

Jak informuje *Kurier Polski* zaczyna funkcjonować Prawosławny Ordynariat Polowy, który ma zatrudnić 13 osób duchownych i 3 cywilne. Szef ordynariatu, arcybiskup Sawa, nie otrzymał jeszcze nominacji na stopień generalski. Wniosek na jego nominację nie został jeszcze podpisany przez prezydenta Wałęsę. Według nieoficjalnych informacji z MON bp Sawa może otrzymać najwyżej stopień pułkownika. Jeszcze jeden wyczyn naszego prezydenta.

22.05.94

W Rosyjskim Teatrze Dramatycznym Litwy odbyła się prapremiera „Ślubu” Witolda Gombrowicza. Teatr mieści się w dawnej siedzibie Teatru na Pohulance i w chwili obecnej, jako zespół wielonarodowościowy, gra po rosyjsku. Przekładu sztuki dokonał Michał B. Jagiełło z Łodzi, a scenografem i reżyserem jest Jacek Zembrzuzki z Warszawy. Przedstawienie jest sponsorowane przez Ministerstwo Kultury RP.

30.05.94

Staraniem Katedry Politologii Uniwersytetu Gdańskiego odbyło się symposium naukowe pt. „1944–1994: 50-lecie głównych wydarzeń w dziejach polskiego i niemieckiego ruchu oporu wobec Trzeciej Rzeszy”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

2.04.94

Zmarł w Adelajdzie (Australia) w wieku 74 lat Józef Stanisław Ostojak-Kotkowski, wybitny artysta-plastyk.

9.04.94

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 72 lat dr Mieczysław Maneli, b. profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Od roku 1968 Professor of Law and Political Science Queens College City University of N.Y. Redagował w Stanach Zjednoczonych pismo *Politics-Morality*.

27.04.94

W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się odczyt p. Wiesława Walendziaka, szefa Polskiej Telewizji, o sytuacji w telewizji w Polsce.

28.04.94

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego oraz Stowarzyszenia Francusko-Białoruskiego „Ecofrabe” odbył się odczyt Jerzego Kłoczowskiego pt. „Obecna sytuacja krajów Europy Środkowo-Wschodniej”. Prof. Kłoczowski jest przewodniczącym Polskiego Komitetu d/s UNESCO, dyrektorem Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie oraz profesorem na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

3.05.94

Czarny rok dziennikarstwa. W sprawozdaniu organizacji *Reporters sans Frontières* podano, że w ubiegłym roku 63 dziennikarzy zostało zabitych w czasie pełnienia swych obowiązków lub z powodu ich poglądów, a 139 było uwięzionych. 30 dziennikarzy zostało zabitych w Europie, 8 w Bośni i Hercegowinie, 17 w dawnym ZSSR, 19 w Afryce, 10 w Ameryce Południowej, 3 w Azji i 1 w Libanie.

5.05.94

W Stacji Polskiej Akademii Nauk w Paryżu odbył się odczyt profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Franciszka Ziejki. Poprzednio, 4 maja, odbyła się konferencja poświęcona obrazowi literackiemu powstania warszawskiego, pod przewodnictwem Jean Offredo, z udziałem Zofii Bobowicz, Alexandry Kwiatkowskiej-Viatteau i Paula Thibaud.

10.05.94

Z okazji 50-letniej rocznicy powstania warszawskiego odbył się na Sorbonie wieczór pod patronatem ambasadora Jerzego Łukaszewskiego z odczytem prof. Aleksandra Gieysztor pt. „Powstanie warszawskie w Europie 1944”. Przewodniczył zebraniu gen. Jean Delmas, prezydent Instytutu Historii Wojskowej. Ponadto został wyświetlony film dokumentalny o powstaniu Witolda Zadrowskiego.

14.05.94

Zmarł nagle w Londynie w wieku 81 lat Ryszard Zakrzewski, sekretarz generalny Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii.

17.05.94

W teatrze *L'Espace Paul Eluard* w Stains pod Paryżem odbyła się premiera sztuki „Le petit manoir” S.I. Witkiewicza. Przedstawienie odbyło się przy pomocy Instytutu Polskiego w Paryżu.

18.05.94

Staraniem Polskiej Delegacji przy UNESCO i Wydawnictwa Editions Noir sur Blanc odbyła się w Księgarni Polskiej w Paryżu prezentacja książki „Young Poets of a New Poland” z udziałem znanego poety Bronisława Maja.

KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

Według niedawno opublikowanych wyników spisu ludności, przeprowadzonego w Australii: stan liczbowy ludności przekroczył siedemnaście i pół miliona; na jeden kilometr kwadratowy przypada 2,3 osób (w Japonii 329, w Polsce 117); 85 % ludności żyje w miastach; przeciętna długość życia mężczyzn wynosi 74, a kobiet 80 lat; trzy miliony osiemset tysięcy osób (23 % ludności Australii) urodziło się poza Australią i pochodzi z ponad 200 krajów, a dwa i pół miliona używa w domu jednego z 68 języków, innego niż angielski (poza angielskim, najczęściej mówionymi w domu językami jest włoski a następnie grecki); więcej jest kobiet niż mężczyzn; pracujących jest osiem milionów; na wyższych uczelniach studiuje milion; 45 % gospodarstw domowych (*household*) ma dwa i więcej samochodów. ■ Stan liczbowy polskiej grupy etnicznej określa się na około 160 tysięcy, włączając osoby urodzone w Australii z polskich rodziców. W podanej liczbie polskiej grupy etnicznej mieści się około 25 tysięcy osób z najnowszej emigracji, głównie z lat osiemdziesiątych. ■ Można przyjąć, że w Australii powstaje wielokulturowy naród, na podstawie ponadetniczności. Taki naród istnieje w Szwajcarii. Jak przypomina prof. Jerzy Smolicz, w artykule, zamieszczonym w miejscowej prasie polonijnej: „Były premier Australii Bob Hawke oświadczył podczas obchodów dwóchsetlecia przyjazdu europejskich osadników (1788), że Australia może służyć światu jako przykład największego narodu imigracyjnego na świecie. Przez to swoje powiedzenie nadał pewne nowe znaczenie pojęciu naród, które odbiega zasadniczo od pojmowania narodu, jako etnicznie jednolitej grupy, ze wspólną kulturą, świadomością odrębności i przywództwem kulturalnym... Takie sformułowanie państwowości australijskiej na zasadzie ponadetniczności i równouprawnienia dla wszystkich obywateli, bez względu na ich pochodzenie czy religię, stwarza stałą podstawę, na której buduje się społeczeństwo australijskie”. Na tej zasadzie — według prof. Smolicza — powstało państwo wieloetniczne, dające wszystkim obywatelom możliwość bezpośredniego wpływu na swoje losy i zmuszające partie polityczne do zabiegania o głosy emigrantów i ich potomków. Sytuacja taka ogromnie kontrastuje z tym, co obecnie dzieje się w Europie. ■ Od połowy lat osiemdziesiątych rozpoczął się większy napływ emigrantów z Azji. Kiedy rząd australijski zdecydował, po zakończeniu drugiej wojny światowej, że najlepszą formą obrony kraju jest zwiększenie stanu ludności, powstało ministerstwo imigracji. Pierwszy minister imigracji Arthur Calwell uznał, że pierwszeństwo w napływie emigrantów mają mieć Brytyjczycy i wyraził nadzieję, że na każdego zagranicznego emigranta będzie 10 osób z Wielkiej Brytanii. W roku 1947, kiedy rozpoczął się masowy napływ emigrantów, około 90 % ludności Australii urodziło się w Wielkiej Brytanii i Irlandii lub było potomkami emigrantów brytyjskich i irlandzkich. Do połowy lat siedemdziesiątych Brytyjczycy posiadali automatycznie wszelkie przywileje przysługujące obywatelom australijskim (bez nabywania tego obywatelstwa), włączając prawo do udziału w wyborach do australijskiego parlamentu. Do roku 1976 osoby urodzone w Wielkiej Brytanii stanowiły połowę napływu emi-

grantów do Australii. Duża zmiana nastąpiła w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Między 1986-91 co drugi emigrant, przybywający do Australii, pochodził z Azji. Tylko co siódmy był z Wielkiej Brytanii. Dziesięć lat temu ok. 2% ludności Australii pochodziło z Azji. Obecnie dochodzi do ośmiu procent i zapowiada się, że dalszy napływ emigrantów z Azji będzie wzrastał. ■ Następuje coraz większa integracja gospodarcza Australii z azjatyckim rynkiem (obecnie 43% eksportu Australii). Dawny największy partner handlowy Australii — Wielka Brytania — został od dawna już zastąpiony przez Japonię. Bliskie sąsiedztwo geograficzne z Azją oraz wielka chłonność tego rynku stwarzają dla uprzemysłowionej Australii atrakcyjną perspektywę. ■ Wizytująca Australię 24-osobowa polska misja handlowa spotkała się z dużym zainteresowaniem ze strony australijskich instytucji finansowych, handlowych oraz biznesmenów. Misji handlowej przewodniczył członek Rady Polskiej Izby Gospodarczej i poseł na sejm z ramienia PSL — Józef Łochowski. W Brisbane misja wzięła udział w seminarium, zorganizowanym przez stanową Konfederację Przemysłu a w Sydney w Międzynarodowych Targach Sydney 94 i seminarium zorganizowanym przez Australijską Komisję Handlu Zagranicznego. W Melbourne, Australijsko-Polska Izba Handlowa urządziła spotkanie z polską misją w Centrum Inwestycji. Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii urządziła w Melbourne spotkanie misji z Polonią i polskimi biznesmenami. ■ Papież Jan Paweł II mianował prof. Jerzego Zubrzyckiego (przewodniczącego Australijskiego Instytutu Spraw Polskich i architekta wielokulturowości w Australii) członkiem 31-osobowej Pontyfikalnej Akademii Nauk Społecznych. ■ Pierwszy lektorat języka polskiego w Australii powstał w roku 1975 przy Australijskim Uniwersytecie Narodowym w stolicy Australii — Canberze. Przy tym uniwersytecie jest polski księgozbiór liczący ponad 18 tys. pozycji. W roku 1983 Australijski Uniwersytet Narodowy, z przyczyn finansowych, nie mógł dalej sponsorować polskiego lektoratu. Lektorat został przeniesiony na Uniwersytet Macquarie w Sydney (dzięki temu, że uniwersytet ten otrzymał pieniądze od federalnego rządu na otwarcie lektoratów języków etnicznych). Uniwersytet Macquarie zaoferował kursy korespondencyjne, co umożliwiło rozpoczęcie studiów na tym lektoracie dla studentów na terenie całej Australii. Próby utworzenia polskiego lektoratu podjął również Uniwersytet Monash w Melbourne; zakończyły się one niepowodzeniem. Zabrakło pomocy finansowej. Tak więc obecnie istnieje w Australii jeden polski lektorat, pod nazwą Polska Sekcja na Uniwersytecie Macquarie w Sydney. Od roku 1983 Sekcja Polska prowadzi nie tylko działalność w zakresie nauczania języka i kultury polskiej, ale także nauczania politycznej historii Polski i działalności propagandową (odczyty, artykuły w prasie itd.). Początkowo Sekcja zatrudniała cztery osoby, w teraźniejszym okresie — ze względu na ograniczenia finansowe — ma jednego stałego pracownika. Dzięki utworzonej przez australijską Polonię Fundacji Studiów Polskich, Sekcja Polska na Uniwersytecie Macquarie może nadal prowadzić nauczanie o kulturze polskiej oraz wiedzy o Polsce. Sekcja Polska jest częścią działu slawistycznego na Wydziale Języków Nowożytnych. Szefem Sekcji Polskiej jest dr Edmund Ronowicz, specjalista w dziedzinie nauczania języków, prowadzący zajęcia językowe, magisteria i doktoraty oraz koordynujący prace asystentów. Od czasu powstania Sekcji Polskiej przewinęło się około tysiąca studentów. Wśród

studentów około połowa to emigranci z Polski i ich dzieci; pozostałe pięćdziesiąt procent stanowią głównie osoby pochodzenia anglosaskiego (handlowcy, lekarze, prawnicy i australijscy dyplomaci. ■ W tym roku upływa 15 lat od utworzenia w Australii Fundacji Popierania Kultury Polskiej (*Polcul Foundation*), jedynej tego rodzaju polskiej fundacji na emigracji. Do roku 1989 celami Fundacji w nagradzaniu były: podtrzymanie niezależnej działalności społecznej i popieranie dążeń demokratycznych, wzorowanych na wolnych społeczeństwach. Po zmianach politycznych w Polsce, zmieniły się też cele Fundacji. Obecnie przydzielane są nagrody za tworzenie podstaw społeczeństwa obywatelskiego, które rozwijają cnoty obywatelskie — zaangażowanie społeczne, tolerancję, bezinteresowną pomoc bliźniemu. Fundacja wyróżnia również osoby, zasłużone w rozwijaniu przyjaźni i współpracy między narodami (a szczególnie z sąsiadującymi z Polską). Pojedyncza nagroda wynosi od pięciuset do tysiąca dolarów amerykańskich. Łącznie przyznano już 790 wyróżnień wartości ponad czterystu tysięcy dolarów amerykańskich. Nagrody Fundacji wręczane są uroczystie w Warszawie dwa razy w roku. ■ Australijski Instytut Spraw Polskich, powstały w końcu 1991 roku, w dużym zakresie przyczynia się do powstawania polskiego *lobby* na tym kontynencie. Instytut ten ma na celu upowszechnianie na terenie Australii informacji o Polsce i przyczynianie się do wzmacniania stosunków polsko-australijskich. Bardzo udane okazały się wizyty w Australii, na zaproszenie Instytutu, osobistości z emigracji i kraju. Dotychczas przybyli do Australii na zaproszenie Instytutu: były dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa — Jan Nowak-Jeziorański, naczelny redaktor *Gazety Wyborczej* — Adam Michnik; historyk, ambasador RP w Wiedniu — Władysław Bartoszewski; były wicepremier i minister finansów w rządach Tadeusza Mazowieckiego i Krzysztofa Bieleckiego — Leszek Balcerowicz; były emisariusz rządu RP w Londynie, w okresie drugiej wojny światowej — Jan Karski. ■ W marcu br. przebywała przez dwa tygodnie w Australii, na zaproszenie Australijskiego Instytutu Spraw Polskich, była premier dr Hanna Suchocka. ■ Na XV światowym zjeździe w Londynie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, delegat tego Stowarzyszenia z Nowej Zelandii, Andrzej Matuszewski, zaznaczył: „Jesteśmy najmniejszą i najdaleszą placówką na mapie światowego SPK, lecz mimo to SPK w Nowej Zelandii jest organizacją prężną i czynną. Mimo naturalnego ubytku, ilość członków oscyluje wokół liczby 100”. ■ W Nowej Zelandii zawiązał się komitet obchodu 50-letniej rocznicy przybycia 733 polskich sierot i półsierot, które w latach 1939-1942 były deportowane do Związku Sowieckiego. Ten polski transport zapoczątkował powstanie nowej Polonii w naszej diasporze — Polonii nowozelandzkiej. Drugą z kolei grupą, tworzącą się Polonią byli żołnierze Drugiego Korpusu, przybyli do Nowej Zelandii w latach 1948-51; trzecią grupą, przybyłą w latach 1951-52, byli Polacy z niemieckich obozów przymusowej pracy a także niemieckich obozów koncentracyjnych. W latach osiemdziesiątych przybyło do Nowej Zelandii około trzystu osób, z tzw. solidarnościowej emigracji. Obecna Polonia liczy ponad cztery tysiące osób, posiada dwa Domy Polskie (w Wellingtonie i Auckland); centralną organizacją jest Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii (powstałe w roku 1948), wydaje od wielu lat biuletyn organizacyjny *Wiadomości Polskie*.

Listy do Redakcji

9 IV 1994

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 3/558 *Kultury* spotykamy na stronie 136 zdanie, iż „w pierwszej połowie XVII wieku” Gdańsk był jednym z zamożniejszych miast Europy.

Wielu czytelników zapewne zainteresuje uściślenie tego twierdzenia. W okresie 1550-1565 tylko dwa miasta w Europie wykazywały większy dochód na głowę mieszkańca: Antwerpia 285 dolarów amerykańskich (w skali cen z roku 1960), Kraków 245 dolarów, Gdańsk 234 dolary, potem szły Wenecja, Lukka, Lwów, Mediolan i reszta miast europejskich.

Polska ostatniego Jagiellona była drugim co do wielkości państwem europejskim, liczyła w 1561 roku ponad 815 000 km², większym było tylko księstwo moskiewskie. W roku 1634 będzie miała 990 000 km². Była najbogatszym krajem europejskim, przed Holandią, Wenecją.

Państwa tego i jego bogactw broniła stała armia w sile 1500 dusz. Na powiększenie jej nie zgodził się żaden sejm od roku 1477. Szlachta bardziej się bała ewentualnego absolutyzmu swego króla niż aktualnych najazdów Mołdawian, Moskali, Tatarów, Turków. Wynikłe z tego konsekwencje są czytelnikom znane.

W połowie XVII wieku, w okresie „potopu”, Gdańsk nie był już „jednym z zamożniejszych miast Europy”.

Łączę wyrazy szczerzego szacunku i poważania

Stanisław BÓBR-TYLINGO

15.IV.1994

Szanowny Panie Redaktorze,

Niestety p. Ryszard Surmacz (*Kultura* Nr 4/1994, „Opolszczyzna”) należy do tej grupy Polaków, którzy się łudzą tym, jakoby większość Górnoszlązaków na terenie Rzeszy czekała gorliwie na polskie czasy. Zapomina on o tym, że już podczas plebiscytu w r. 1921 60 % Górn-

szlązaków głosowało na Niemcy. Ten procent zwiększył się znacznie w trakcie poprawiania się standardu życiowego w Niemczech w latach końcowych 20-tych i 30-tych. Gdyby odbyło się nowe głosowanie powiedzmy już w późnych latach 40-tych, no to nie wiem, jak wysoki byłby wynik na korzyść Niemiec. Krótko przed opuszczeniem mojego Górnego Śląska w r. 1959 czytałem wypowiedź starego i zawiedzionego powstańca śląskiego: „Czego Niemcy nie zdążyli do końca tutaj zgermanizować, tego dokonała doszczętnie Polska Ludowa”.

Jeżeli chodzi o prof. Franciszka Marka, to pytam się, kiedy w ogóle po wojnie można było się modlić po niemiecku, już nie mówiąc o posługiwaniu się mową Goethego. Ja raz nawet zostałem wyrzucony z konfesjonatu, gdyż ani nie umiałem, ani wtedy nie chciałem spowiadać się po polsku.

Cenię p. Stanisława Bieniasza, którym się opiekowałem na początku jego bytności w RFN, kiedy kołował między niemiecką i polską orientacją i tożsamością. On jednakowoż patrzy na te sprawy przez okulary mieszkańca polskiego Górnego Śląska, a orientuje się mniej, co dotyczy ziomków swoich, którzy żyli przed r. 1945 po stronie niemieckiej. Chyba nie jest przypadkiem, jeżeli starszowie b. oficerowie „Wehrmachtu” do dziś są pełni chwały wobec ich żołnierzy-Górnoszlązaków i że stanowili oni większość *Ritterkreuzträgerów*, jeżeli chodzi o zwykłych żołnierzy i podoficerów „Wehrmachtu”.

Instytut Śląski i jego badania są dla prawdziwego demokrata bez znaczenia, gdyż był on przez naście lat pseudonaukową agit-prop-instytucją na usługach komunistów.

Niemcy straciły w roku 1945 cały Górny Śląsk, Polska jednak straciła walkę o Górnoszlązaków, gdyż większość głosowała nań nogami, wyjeżdżając do Niemiec. Niemniej tenże Górny Śląsk ma nadal szanse stać się pomostem między Niemcami i Polską oraz być ciekawym euroregionem.

Z poważaniem

mgr Joachim Georg GORLICH

KILKA SŁÓW KOMENTARZA DO KRÓLEWIECKICH ZAPISKÓW L. UNGERA W STYCZNIOWO-LUTOWYM NUMERZE *KULTURY*

Autor zapisków królewieckich, za punkt wyjścia których wzięte zostało zestawienie Immanuela Kanta z rosyjskim kaliningradczykiem anno 1993 imieniem Wołodia, zechce przyjąć ode mnie powinszowania. Winstuję Autorowi i tego, że bez względu na utajnienie lokalizacji kaliningradzko-królewieckiego (dalej będę używał tylko nazwy Królewiec) międzynarodowego dworca lotniczego jest faktem, że dane mu było, jak pisze, zostać z Kopenhagi do Królewca dowiezionym i następnie odwiezionym luksusowym samolotem SAS-u. Ale nade wszystkim i w pierwszej kolejności tego, iż mimo jednorazowości i krótkości swego pobytu grudnio-

wego nad królewską Pregotą potrafił w tym, z czym występuje, przekazać multum bystrych spostrzeżeń i imponujące bogactwo treści (sam jeźdźcą nad Pregotą dość regularnie od 1989 roku i daje mi to, jak śmiem twierdzić, prawo do ferowania oceny).

M.in. bardzo, naprawdę bardzo, zaimponowało mi, że w polu widzenia p. Ungera znalazły się, będące na Pregotą w toku, przygotowania do obchodów jubileuszu 450-lecia królewskiej Albertyny przypadającego w bieżącym roku. Tak jest, przygotowania takie są jak najbardziej w toku i jubileusz ma być uroczystie święcony we wrześniu. Przy czym p. Unger ma pełną rację gdy zwraca uwagę na godne pożalowania niezaangażowanie w rocznicę strony polskiej i pozostawienie sprawy w sferze zainteresowania Rosjan i Niemców. A karty polskie historii Uniwersytetu Królewskiego — karty, o których na wrześniowym królewskim jubileuszowym zgromadzeniu naprawdę ktoś powinien coś powiedzieć, są bardzo chlubne. To przecież nie kto inny a polski humanista, Andrzej Frycz Modrzewski, po powołaniu w roku 1544 do bytu Królewskiej Akademii, wystąpił z piękną pochwałą jej założyciela księcia Albrechta Pruskiego. Na dokumencie zatwierdzającym erekcję Królewskiej Akademii figuruje nie czyj inny podpis jak tylko podpis króla polskiego, Zygmunta Augusta, i w zaraniu istnienia jednym z jej studentów był młody Jan Kochanowski.

Kończąc jeszcze raz gratuluję p. Ungerowi tego, że przeoczona przez innych dziennikarzy polskich w ich reportażach z Królewca rocznica 450-lecia uniwersytetu nie uszła jego uwadze. I obydwojma rękami podpisuję się pod p. Ungera stwierdzeniem, że anno 1993 rosyjscy kaliningradzcy „chętnie wykorzystaliby nie tylko możliwości, jakie daje musztarda z Elbląga, ale także te jakie przynieść może kultura polska (...)”.

Z poważaniem

Andrzej KEMPF

17.04.94

Szczecin, dnia 29 marca 1994r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W polemicznym szkicu Józefa Lewandowskiego o książce Mikołaja Siwickiego „Dzieje konfliktów polsko-ukraińskich” (*Kultura* 1994, nr 1-2) znalazło się m.in. następujące zdanie: „Smutne jednak, że wymieniony jako redaktor dzieła Andrzej Zabrowarny ponoć jest znanym działaczem ukraińskim w Polsce, osobą z wyższym wykształceniem, pracownikiem naukowym” (s.199). Pragnąłbym rozwiać smutek pana Józefa Lewandowskiego, który sam sobie zawinił, gdyż nie znając dobrze realiów nie wysilił się, by sprawdzić podawane przez siebie fakty.

Jedno z ogromnego bogactwa przysłów ukraińskich mówi, że *ne odnomu psu na imia Bryško*. Nazwisko Zabrowarny spotyka się w Polsce wprawdzie rzadko, lecz nie oznacza to, że jest tutaj tylko jeden Zabrowarny, właśnie ten „ponoć znany działacz ukraiński” i do tego

„pracownik naukowy”. I nie ma on na imię Andrzej, lecz Stefan. I to nie Stefan, lecz Andrzej jest redaktorem wspomnianej książki, a do tego nie naukowym lecz technicznym. W tym miejscu przypominam się znana anegdota rosyjska o błędnej informacji, jakoby Iwan Pawłowicz kupił wołgę w salonie samochodowym. Prawda zaś okazała się taka, że to nie Iwan Pawłowicz, lecz Paweł Iwanowicz, i nie kupił, lecz ukradł, i nie wołgę, a rower, i nie w salonie samochodowym, lecz na Placu Czerwonym w Moskwie.

Wszelako może się zdarzyć, lecz nie powinno się zdarzyć poważnemu historykowi, troszczącemu się o prawdziwość podawanych faktów, wyrażanie niepewnych i nie sprawdzonych informacji, a tym bardziej wyciąganie z nich nieuzasadnionych przypuszczeń i wniosków. Zwłaszcza gdy może to przynieść komuś osobistą szkodę. Moi znajomi, którzy czytali ten materiał w *Kulturze*, jednoznacznie kierują tę uwagę pod moim adresem. Byłbym usatysfakcjonowany, gdyby sam Autor szkicu zechciał naprawić swój błąd.

Przy okazji pragnę także zwrócić uwagę na kilka nieścisłości i nie-domówień w krótkiej informacji o poświęceniu cmentarza żołnierzy ukraińskich w Aleksandrowie Kujawskim (a nie — jak napisano — Aleksandrowie). Okropnie przekręcono tam imię i nazwisko ambasadora Ukrainy w Polsce, który nie nazywa się Gienadir Butowenko, lecz Genadij Udowenko. Pominęto najważniejszą osobę w składzie delegacji ukraińskiej, wiceministra obrony narodowej, gen. Wołodymyra Mulawę. Ukraińskie Siły Zbrojne reprezentowała ponadto nie kompania honorowa, lecz poczet sztandarowy i reprezentacyjna orkiestra wojskowa Kijowskiego Okręgu Wojskowego. W nawiązaniu zaś do pierwszego tematu dodam, że cmentarz odnowiono staraniem Komisji Pamięci Narodowej Związku Ukraińców w Polsce, której to komisji przewodniczy właśnie ten „ponoć znany działacz ukraiński”, lwowski organizator „Memoriał” i „Nekropolis” oraz miejscowych władz Aleksandrowa Kujawskiego.

Z wyrazami głębokiego szacunku

prof. dr hab. Stefan ZABROWARNY

dn. 28 kwietnia 1994

LIST DO REDAKCJI „KULTURY”

Na temat Radia Wolna Europa — Radia Swoboda napisano ostatnio wiele, nie tylko w polskiej prasie. Powodem niezliczonych publikacji były wiadomości o planowanej likwidacji bądź też daleko idących zmianach w statucie i finansowaniu rozgłośni. Rosnąca popularność tematu jest, jak się zdaje, odwrotnie proporcjonalna do merytorycznej wartości ogłaszanych artykułów. Spora ich część to publikacje inspirowane przez radiowe lobby, zainteresowane znalezieniem uzasadnienia dla własnej, dostatniej egzystencji. Inna kategoria to teksty pisane *bona fide*, jednak przez autorów, których znajomość tematu pozostawia wiele do życzenia.

Bez liku takich artykułów wydrukowano w prasie krajowej, która w postkomunistycznych warunkach wyraźnie dryfuje w stronę formuły komercyjno-sensacyjnej, kosztem rzetelnego dziennikarstwa, opartego na sprawdzonych informacjach i zbadaniu tematu.

Również wielu dziennikarzy zachodnich nie zawsze wie, o czym pisze: „obrońcy” RWE/RS podkreślają, że radiostacja popiera ugrupowania reformatorskie w krajach obszaru nadawania. Tymczasem rozgłośnia zobowiązana jest prawnie do zachowania politycznej neutralności i nie może popierać żadnych partii czy kierunków politycznych ani w krajach, do których nadaje, ani na emigracji. Z tą neutralnością różnie zresztą bywało.

Zapewne trudno znaleźć jednego choćby zachodniego autora, który pisząc o programach RWE/RS znałby ich treść, już ze względów językowych. Informacje na ten temat pochodzą po prostu z działu *public relations* rozgłośni. Cała debata przypomina zatem dyskusję o życiu na Marsie. Powinno się ją było zresztą podjąć już w roku 1989, kiedy to zabrakło konceptu i odpowiedzi na elementarne pytanie: co — i jak — dalej? Prezes radia Mr. Pell w pokazanym w 1990 r. w telewizji polskiej filmie odpowiedział na pytanie o rolę RWE/RS w nowych warunkach starym sloganem — „informować”, choć akurat wszelkie informacje, którymi mogła służyć rozgłośnia, były już w Polsce dostępne.

Artykuł Monachijczyka w marcowej *Kulturze* („RWE/RS: brak kontroli nad publicznym pieniądzem”) dotyczy problemu równie istotnego, co eksponowana w obecnej dyskusji „wielka polityka”. Pieniądze, zwłaszcza w tzw. walutach wymiennych, są z polityką ściśle związane, to wiadomo nie od dziś. Szkoda, że rewelacjom o legalnych i nielegalnych dochodach p. Pella i jego kolegów nie towarzyszą pytania o rzeczywistą rolę polityczną RWE/RS za jego rządów. Oceny sprowadzają się do chlubnej konstatacji, że rozgłośnia obaliła komunizm, czego zresztą prezes nie omieszkiał podkreślić w licznych wywiadach, gdy jeszcze pełnił swe funkcje. Czy aby na pewno? Służyło obaleniu komunizmu zaproszenie Jerzego Urbana do odwiedzenia RWE w 1988 r. (wycofane w ostatniej chwili)? A nadawanie od 1987 r. w serwisach informacyjnych rozgłośni *in extenso* depeš agencji TASS (p. Pell niewzruszenie zapewniał jednak w wywiadach prasowych, że RWE/RS nadaje wyłącznie wiarygodne informacje pochodzące z dwóch niezależnych źródeł)? A kolportowanie informacji (czy raczej dezinformacji), że zabójstwo księdza Popieluszki było prowokacją godzącą we władzę PRL? Upowszechniał tę wersję we własnych komentarzach Zdzisław Najder, zanim jeszcze z podobnym twierdzeniem wystąpił niedoszły gość p. Pella — Jerzy Urban (wówczas rzecznik rządu PRL). A jakiej polityce miało służyć powierzenie Najderowi tajnego funduszu w wysokości 360 000 USD, którym dowolnie mógł dysponować (i dysponował)? Kiedy już paraliż Rozgłośni Polskiej RWE na skutek skłócenia zespołu wymagał jakichś kroków, p. Pell zapewniał, że on, owszem, chce usunąć Najdera, ale — jak oświadczył po jednej z podróży do Waszyngtonu — *“I met very strong resistance at the centre”*. Monachijczyk twierdzi, że Pell odchodząc z RWE/RS otrzymał 137 000 USD. W Monachium mówi się o odprawie w wysokości 1,5 miliona USD i wersja ta nie jest pozbawiona podstaw, zważywszy, że pan prezes po odejściu z rozgłośni znalazł się na liście płac... RWE/RS, tyle że w Waszyngtonie.

Polityczni przywódcy III R.P. domagają się w apelach, oświadczeniach, listach utrzymania RWE, aby uczyły demokracji i kapitalistycznej gospodarki. Nie wiem, ile w tym skutecznego „lobbyingu”, ile naiwności a ile mentalności ubożego krewnego, który prosi o wsparcie bogatego wuja z Ameryki... Jednym słowem: Piotr Mroczyk z zespołem jako nauczyciel demokracji. Zanim p. Mroczyk został dyrektorem Sekcji Polskiej RWE starał się o posadę korespondenta rozgłośni w Londynie. Jego kandydaturę odrzucono, z uwagi na brak odpowiednich kwalifikacji.

W *Gazecie Polskiej* z 31 marca 1994 czytam dramatyczny apel Jana Parysa „Nie wolno sprywatyzować tego archiwum”. Chodzi o plan przeniesienia archiwum RWE poza obszar państw NATO, do krajów, gdzie — jak to ujmuje autor — rządzą komuniści (ale — dodajmy — komunistyczne wilki przywdziały owczą skórę kapitalistów, popieranym przez USA). J. Parys obawia się, że przekazanie w ich ręce tajnych materiałów, może narazić na więzienie ludzi, którzy dostarczali informacji RWE. Cóż, przyszłość to wielka niewiadoma, ale w niedawnej przeszłości w kierowanej przez p. Johnsona RWE, pod prezesurą p. Pella, znaczną część archiwów wywieziono ciężarówką do składnicy makulatury. Zniszczono w ten sposób tzw. karty osobowe, kompletowane od początku istnienia rozgłośni oraz zbiór artykułów prasowych z kilkudziesięciu lat.

Czytając wypowiedzi przedstawicieli elit politycznych w Polsce (niezależnie od opcji, jakie reprezentują) na temat RWE, niejednokrotnie można odnieść wrażenie, iż poruszają się oni w obszarze fikcji. Inaczej Mr. Pell: swą pożegnalną mowę do personelu RWE/RS w Monachium zakończył słowami: „Praca z wami bez miary wzbogaciła moje życie”. Bez wątpienia.

Nazwisko i adres podaję do wiadomości Redakcji Kultury



"Słownik synonimów"

autorstwa Andrzeja Dąbrówki, Ewy Geller i Ryszarda Turczyzna, opatrzone słowem wstępnym **prof. Jana Miodka**.

- **nowoczesny** - uwzględnia najnowsze słownictwo
- **wyczerpujący** - zawiera 53.000 haseł
- **wszechstronny** - obejmuje wszystkie rejestry stylistyczne
- **niezawodny** - precyzyjnie kieruje do konkretnych znaczeń
- **bardzo trwała oprawa** zapewni długie użytkowanie

Zamówienia można kierować bezpośrednio do wydawcy:

Cena: Europa - 15 USD; poza Europą - 20 USD (wliczony koszt wysyłki). Kwoty odpowiadające ilości zamawianych egzemplarzy prosimy wpłacać na nasz rachunek.

MCR S.C., Bank GLOB SA; 00-372 Warszawa; Foksal 16; r-k Nr 624990-502588-2511

Kopie wpłat prosimy przelać na adres wydawnictwa:

MCR S.C.; 01-446 Warszawa; Koszycka 1a

Słowniki zostaną Państwu przesłane zaraz po otrzymaniu kopii wpłaty.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1994.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.

42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.



KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1994			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 15,00	\$ A. 90,00	\$ A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	F1h 20,00	F1h 110,00	F1h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstrasse 39/41, Postfach 3401 08, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06)77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224

Cena F. 95,00



TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolda)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Str. 312

Cena F. 120,00



TOM 484 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO ÓSMY

zawiera opracowania: Bohdan W. Oppenheim: *Spółeczna rola Kościoła katolickiego w Polsce. Rozmowy i wypowiedzi*; Józef Łaptos, Grzegorz Mazur: *Stosunki państwo-Kościół w pierwszej połowie lat 50-tych w świetle raportów dyplomatów francuskich i belgijskich*; Tadeusz Wyrwa: *Oświata i propaganda rządu polskiego na emigracji podczas 2-jej wojny światowej*; M. Rolicka: *Polacy a tajemniczy problem epidemii w czasie wojny koreańskiej*; Piotr Wandycz: *O stosunkach polsko-czechosłowackich: garść refleksji*; Andrzej Friszke, Jerzy Poksiński: *Pomiędzy Londynem a Warszawą. Rozmowa z Marianem Utnikiem*; Danuta Mostwin: *Notatki z amerykańskiej prowincji (grudzień 1981 – styczeń 1982)*; Andrzej Bogusławski: *Przez Finlandię do Narviku — rok 1940*; Waldemar Żaba: *Moje wspomnienia z okresu wojny i okupacji*; H. Martynowa: *Dokumenty KGB*; T. Wyrwa: *Studia nad historią wojskowości krajowej i emigracyjnej*; E. Halicz: *Kwestia narodowa w Europie Wschodniej*; St. Lewandowska: *Audiatur et altera pars*;
OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 55 F